

# LIBERTÉ!

numer 38/wrzesień 2019



## JAK ZWYCIĘŻAJĄ DEMOKRACJE?

SYLWIA GREGORCZYK-ABRAM ° BŁAŻEJ LENKOWSKI ° MAGDALENA M. BARAN  
MACIEJ ZAJĄC ° EWA WOYDYŁO-OSIATYŃSKA ° JAROSŁAW GUGAŁA  
AGNIESZKA ROSNER ° ARTUR NOWAK-GOCLAWSKI ° SŁAWOMIR DRELICH  
PIOTR BENIUSZYS ° PAULINA MATYSIAK & MARCELINA ZAWISZA ° EWA LIPSKA



**MAGDALENA M. BARAN**

Zastępczyni redaktora naczelnego *Liberté!*

## GŁOS W DEMOKRACJI...

*Żyjesz tu, teraz. Hic et nunc.  
Masz jedno życie, jeden punkt.  
Co zdążysz zrobić, to zostanie,  
Choćby ktoś inne mógł mieć zdanie.*

*/Czesław Miłosz, Traktat moralny/*

Każdy z nas ma głos. Przy jego pomocy – jakkolwiek wydaje się to odległe czy wręcz nierealne – sprawujemy władzę. Ktoś powie: „A cóż to za władza, raz na kilka lat, w którąś z niedziel, postawić krzyżyk przy tym czy innym nazwisku?” Ogromna. W wersji idealnej to władza wprowadzania zmian, to władza kształtowania rzeczywistości, to władza pchania całej wspólnoty – nawet tym jednym wyborczym ruchem – w określonym kierunku. To władza mówienia „Tak” lub „Nie” pomysłem, planom, szansom, ale również zagrożeniom, jakie niesie ze sobą oddanie

owej władzy w takie czy inne ręce. To władza oceny rezultatów działalności dotychczasowych rządów, przedłużenia ich mandatu lub przeciwnie, decyzja o konieczności zmiany, gdy nasze interesy nie są odpowiednio reprezentowane, gdy rzeczy dzieją się nie po naszej myśli, a naszej wolności w państwie, jakie „się” ukształtowało robi się coraz ciasniej i duszniej. To władza, która jednostkowym wyborem przyczynia się do trwania, a w dalszej perspektywie do zwycięstwa demokracji.

To władza jednostki, która nie jest bezsilna. A tej nie wolno powtarzać „Ja jedna się nie liczę. Co mogę zmienić?” Otóż wszystko. I to zarówno samodzielnie, jak i jako część wielkiego organizmu współpracujących ze sobą drobinek, jakie tworzą wspólnotę, społeczeństwo, państwo. Wszak pouczał poeta (co przypominać, tłuc do głów trzeba): „Nie jesteś jednak tak bezwolny, / A choćbyś był jak kamień po-

lny, / Lawina bieg do tego zmienia, / Po jakich toczy się kamieniach. / I, jak zwykł mawiać już ktoś inny, / Możesz, więc wpływ na bieg lawiny (...).” Trudne, a... takie proste...

Owa potężna władza oznacza również ograniczenie samych siebie (w imię zachowania wolności osobistej i gwarancji określonych praw) i oddanie się w czyjeś ręce. A chyba nikt z nas nie chce oddawać swojej wolności w ręce tych, którym nie potrafimy zaufać, w ręce niewprawne, chciwe, w ręce psujów, którzy z upodobaniem rozmontowują to, co z niemałym trudem wypracowali ich poprzednicy. Jak ich unikać? Drogę stanowi tu edukacja, szczególnie ta obywatelska, ale także zwykła wiedza, choćby próba dowiedzenia się „co w trawie piszczy”, co zapowiadają „budowniczy” bądź „burzyciele” demokracji, jaką przyszłość rysują, czy jest ona otwarta, zamknięta, czy jest wielowymiarowo korzystna (jak i dla kogo)

i czy jest ona chociaż w minimalnym zakresie logiczna i racjonalna. George Orwell pisał niegdyś, iż „ludzie głosujący na nieudaczników, złodziei, zdrajców i oszustów, nie są ich ofiarami. Są ich współnikami”. O tym również musimy pamiętać szukając drogi dla zwycięstwa demokracji... Bo pobłądzić jest bardzo łatwo.

Zastanawiając się nad kondycją demokracji, nad opcjami przetrwania/zwycięstwa tego systemu pytamy dziś nie tylko o idee, partie, scenariusze sukcesu, sposoby głosowania, porządek prawny, ale również o ludzi. A raczej... przede wszystkim o ludzi, o każdego z nas. Bo od nikogo innego, ale właśnie od nas, każdego z osobna, nas jako wspólnoty, zależy sukces demokracji, sukces liberalnych swobód, przetrwanie praw obywatelskich, sukces... wolności.

## IGRZYSKA WOLNOŚCI 2019

**6** • **DEKALOG DEMOKRATY**  
Błażej Lenkowski

## JAK ZWYCIĘŻAJĄ DEMOKRACJE?

**8** • **GDY ZACZYNAMY SIĘ SIEBIE BAĆ**  
Z Sylwią Gregorczyk-Abram rozmawia Magdalena M. Baran

**20** • **JAK ZWYCIĘŻAJĄ DEMOKRACJE?**  
Błażej Lenkowski

**28** • **ŚWIAT BEZ LIBERALNEJ DEMOKRACJI**  
Piotr Beniuszys

**40** • **WSPÓLNOTA, JAKIEJ POTRZEBUJEMY**  
Magdalena M. Baran

**52** • **LIBERAŁOWIE I LEWICA: PRZYJACIELE CZY WROGOWIE?**  
Sławomir Drelich

**58** • **JAK WYGRYWAJĄ DEMOKRACJE?**  
Maciej Zając

## „W IMIĘ...”

**70** • **ZROZUMIEĆ FRANCISZKA**  
Jarosław Gugala

## CO DALEJ?

**78** • **WOLNOŚĆ NIE MOŻE IŚĆ W PARZE Z DZIADOWSKIM PAŃSTWEM**  
Z Pauliną Matysiak i Marceliną Zawiszą rozmawia Sławomir Drelich

## LEKTURY LIBERAŁA

**104** • **MODEL, KTÓRY MUSIMY ZMIENIĆ**  
z Ewą Woydyłło-Osiatyńską rozmawia Magda Melnyk

## SŁOWNIK LIBERAŁA

**112** • **WOLNOŚĆ ABSOLUTNA LIBERTARIANIZMU**  
Piotr Beniuszys

## EKONOMIA A WARTOŚCI

**120** • **BOGIEM BIZNESU JEST LICZBA. JA PROPONUJĘ INNĄ RACHUBĘ**  
Z Arturem Nowak-Goławskim rozmawia Agnieszka Rosner

## WIERSZ WOLNY

**128** • **KIEDY STALIŚMY SIĘ FAKTEM**  
Ewa Lipska



# DEKALOG DEMOKRATY

BŁAŻEJ LENKOWSKI

**Po pierwsze:** Szanuj tych, którzy myślą inaczej niż Ty. Ale żądaj szacunku i prawa dla własnych poglądów. Twoim wrogiem nie jest ten kto myśli inaczej, lecz ten kto chce zmusić innych do życia według jego zasad.

**Po drugie:** Współpracuj z ludźmi. Wspólnie możemy osiągnąć więcej. Zarówno na poziomie indywidualnym jak i globalnym. Popieraj rozwiązania, które wspomagają współpracę,

swobodną kooperację, wolny handel. Wówczas wszyscy zajdziemy dalej.

**Po trzecie:** Szukaj kompromisów. W większości spraw można spotkać się w połowie drogi, albo znaleźć wyjście komfortowe dla wszystkich stron. Pamiętaj jednak, że istnieje margines kwestii, w których trzeba pozostać pryncypialnym, w życiu indywidualnym – by móc spojrzeć na siebie w lustrze – w życiu publicznym zaś

wyznacza je zapomniane lecz kluczowe słowo racja stanu. Musimy przywrócić to pojęcie do życia publicznego. Najmądrzejszymi z ludzi są ci, którzy potrafią odpowiednio ustawić granice własnej pryncypialności.

**Po czwarte:** Ufaj. Każdy z nas zapewne doświadczył bolesnego zawodu od tych, którym zaufał. Jednak patrząc szeroko, lepiej żyje się tym i więcej osiągają ci, którzy ufają innym. Generalnie nasi bliźni chcą być życzliwi i uczciwi, i tacy w ogromnej większości przypadków są. Oczywiście nie może oznaczać to naiwności.

**Po piąte:** Ceń przedsiębiorczość i innowacyjność. Takim cechom należy pozwalać wzrastać. Społeczeństwo rozwija się dzięki przedsiębiorczym i wybitym jednostkom. Nie wolno pozwolić na stłamszenie takiej energii.

**Po szóste:** Wspieraj słabszych. To moralny obowiązek. Jednak to wsparcie nie może zniszczyć możliwości działania przedsiębiorczych, bez których rozwój społeczeństw się załamuje. To nie przypadek, że najbardziej cenimy państwa które potrafią znaleźć równowagę między tymi dwoma wartościami.

**Po siódme:** Bądź solidny i uczciwy. Zbyt często folgujemy bylejakości. Uczciwość popłaca. Jednocześnie jedyną gwarancją dla możliwości uczciwego funkcjonowania w społeczeństwie są niezależne od władzy i sprawne sądy.

**Po ósme:** Dotrzymuj danego słowa. Po prostu. To strasznie ważne.

**Po dziewiąte:** Buduj rodzinę i wspólnotę. Warto żyć z innymi i dla innych. I naprawdę nie ma znaczenia jaki kształt ma Twoja rodzina. Ma przynosić jej członkom szczęście. Niezależnie od tego czy tworzy ją kobieta i mężczyzna, dwie kobiety, dwóch mężczyzn, mama z babcią czy jakkolwiek inny układ między ludźmi. To miłość jest kluczem, nie czyjeś wyobrażenie o jedynym możliwym modelu.

**Po dziesiąte:** Kochaj życie. Mamy je tylko jedno. I potrafi być wspaniałe. Walczmy o i doceniajmy każdą chwilę szczęścia. I pamiętajmy, że naszym przodkom nie było dane życie w czasach pokoju. Doceniajmy i dbajmy o dalsze funkcjonowanie pokojowego świata.



**BŁAŻEJ LENKOWSKI**

Politolog, publicysta, prezes zarządu Fundacji *Liberte!*

# GDY ZACZYNAMY SIĘ SIEBIE BAĆ

Z SYLWIĄ GREGORCZYK ABRAM ROZMAWIA  
MAGDALENA M. BARAN

**Magdalena M. Baran:** W roku 1748 Monteskiusz publikuje swoje monumentalne dzieło „O duchu praw”. Poucza w nim siebie współczesnych, ale również i nas, że istnieją trzy władze: ustawodawcza, wykonawcza i sędziowska. Pokazuje, że władze te, choć wspólnie stanowią o kondycji państwa, o sposobie jego zarządzania, muszą pozostać rozdzielone. Jeśli bowiem dzieje się inaczej rodzą się rozmaite niebezpieczeństwa. Pośród nich to szczególne, a mianowicie zagrożenie władzą ciemnych, czy też dojścia do głosu tyranii. Władzę, o której rozmawiamy, a która w naszym kraju została w praktyce rozmontowana, nazywa filozof władzą sądową, czyli tą, co ma za zadanie sądzić i rozstrzygać spory. I formalnie wszystko się u nas zgadza. Mamy trzy władze. Ale kiedy zaczynamy bacniej przyglądać się sytuacji, to jak na dłoni widać, że ich wzajemny stosunek jest zaburzony. Powiedz mi gdzie to się sypie, kiedy przychodzi taki moment, że zagrożenie ową tyranią staje się bardziej niż realne?

Sylwia Gregorczyk-Abram: Zaczęłabym tutaj od Trybunału Konstytucyjnego, chronologicznie, bo to jest pierwsza instytucja, która została brutalnie najechana i rozebrana i pozbawiona swoich ustawowych kompetencji. Nie dziwi mnie to, bo marginalizacja sądów konstytucyjnych czy podobnych

do nich instytucji była zawsze pierwszym krokiem do niszczenia państwa prawa, czego Węgry są doskonałym przykładem. Z czystym sumieniem, mogę powiedzieć, że Trybunał nie spełnia swojej podstawowej roli. Powinien stać na straży zgodności ustaw z konstytucją i rozstrzygać spory kompetencyjne pomiędzy ośrodkami władzy. Innymi słowy, Trybunał powinien dbać o to, aby całe prawo stanowione w Polsce było zgodne z ustawą zasadniczą – Konstytucją. Tymczasem Trybunał w obecnym składzie jest tylko narzędziem w rękach polityków. Tu mamy pierwsze historyczne rozebranie, wykręcenie tego bezpiecznika jak my to mówimy, w postaci trójpodziału władzy. To nie jest tak, że ja sobie wymyślam to, bo nie lubię partii rządzącej, ale są liczne dowody na to, że ten trybunał nie działa. To są dowody w postaci raportów, na przykład Fundacji Batorego, które bardzo dobrze pokazują, że dochodzi do manipulacji składami, pokazując konkretne sprawy, przykłady. Wiemy, że gdy sprawa miała być rozstrzygnięta w dany sposób, to skład zmieniano tak, by zasiadali tak zwani Sędziowie Dublerzy, którzy jak wiemy rozstrzygną po myśli Władzy. To jest taki sygnał mocny i namacalny, że można się już nie czuć bezpiecznie. Żaden obywatel mając taką świadomość nie powinien czuć się bezpiecznie. Już nie mówiąc o wyrokach... tak zwanych wyrokach Trybunału Konstytucyjnego dotyczących na przykład Krajowej Rady Sądownictwa, który był w moim przekonaniu i o tym też mówimy w postępowaniu przed Trybunałem Sprawiedliwości Unii

Europejskiej, wyrokiem „na zamówienie”. Służył pokazaniu, że nie ma żadnego zagrożenia, że ta Rada Sądownictwa, która została wybrana przez polityków, jest zgodna z porządkiem prawnym. Tymczasem członków nowej Krajowej Rady Sądownictwa wybrano niezgodnie z Konstytucją. I mamy, kolejną po Trybunale Konstytucyjnym,

jak atak na Sąd Najwyższy, który udało nam się w połowie powstrzymać, dzięki Trybunałowi Sprawiedliwości Unii Europejskiej i nie dopuścić do całkowitej wymiany kadrowej sędziów Sądu Najwyższego. Mimo to, dzięki innym zmianom, czyli np. zwiększeniu ilości sędziów w Sądzie Najwyższym, i stworzeniu dwóch nowych Izb

### **Całe nasze życie jest kontrolowane przez prawo – nie da się nawet urodzić ani umrzeć bez odpowiedniego aktu potwierdzającego te zdarzenia**

atrapę instytucji, którą można wykorzystywać dla celów politycznych.

Równoległe z przejściem KRS zaczęto rozmontowywać sądownictwo powszechne, między innymi poprzez wymianę kadrową w sądach np. tak zwane „odfaksowywanie” prezesów Sądów. To nie jest tak, że Prezes Sądu to jest osoba, która ma klucze do sądu i go otwiera i na tym jego rola się kończy. To osoba, która sądem kieruje, odpowiada za niego i dlatego jest tak ważna. Dlatego to „odfaksowywanie”, czyli odwoływanie prezesów faksem przez Ministra Sprawiedliwości przez pierwsze sześć miesięcy. Wszystko po to by mógł robić „co chce” mówiąc kolokwialnie, mógł odwołać i powołać każdego. A po co? By mieć wpływ na to jak dany sąd funkcjonuje. To był kolejny stopień. Następnie przeprowadzono atak, bo ja tego nie umiem inaczej nazwać

nowi sędziowie, których wybór jest obciążony grzechem pierworodnym, pojawiają się w Sądzie Najwyższym. Grzechem pierworodnym bo zostali wybrani przez Krajową Radę Sądownictwa, która jak już była mowa została wybrana z naruszeniem konstytucji stając się narzędziem politycznym.

**Połączenia dają się zauważyć na każdym poziomie, zawsze gdy łączymy wspomniane władze, to w jakimś sensie wykręcamy te bezpieczniki. Jeżeli wrócimy do przywołanego na początku Monteskiusza, to przecież wskazuje on, iż nie może być łączności między władzą prawodawczą a wykonawczą. Ich połączenie doprowadza do powstania zależności, poddaństwa jednej względem drugiej, co z kolei – mówiąc najogólniej – psuje państwo. Tu mamy problem, bo**



**u nas dopuszczono właśnie do takiej zależności.**

Tak, mamy do czynienia z faktyczną i formalną zależnością władzy sądowniczej od ustawodawczej i wykonawczej.

**Dokładnie. To dzieje się też z sądownictwem, wystarczy wspomnieć połączenie funkcji ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego. To jest moment, kiedy możemy powiedzieć o dążeniu do tyranii, czy w wersji „łagodnej” do autorytaryzmu, czy – jak kto woli – do tyranii mniejszości. Owa mniejszość, która myśli w określony sposób i postępując się takim „myśleniem” sprawuje władzę, a sprawuje ją de facto niepodzielnie, zagraża każdemu z nas.**

To „każdemu z nas” jest najważniejszym elementem w naszej rozmowie. To jest taki przekaz, który jako prawnicy staramy się cały czas przekazywać społeczeństwu, że to jest ogromne zagrożenie dla każdego obywatela. Każdy z nas może kiedyś stanąć w sytuacji: Ja contra Państwo. To może dotyczyć spraw o wywłaszczenie na przykład. Może zdarzyć się tak, że ten sędzia, który będzie „zafaksowany” przez Ministra Sprawiedliwości, będzie albo do tego nakłaniany, żeby wydać określone rozstrzygnięcie albo będzie stworzona atmosfera, która sędziom sugeruje, że interes fiskalny Państwa będzie ważniejszy niż ten obywatela. To jest sprawa, która dotyczy absolutnie każdego. Całe nasze życie jest kontrolowane przez prawo – nie da się nawet urodzić ani umrzeć bez odpowiedniego aktu potwierdzającego te zdarzenia. Nasze prawo jazdy, mieszkanie czy



Photo by Wesley Tingey on Unsplash

emerytura – to wszystko zależy od odpowiednich rozstrzygnięć prawnych. Co jeśli państwo będzie chciało je zakwestionować i nie będzie niezależnych sądów?

**Chyba za mało zwracamy na to uwagę. Nie tylko jako obywatele. Często rozmawiam z sędziami, a mając do czynienia na przykład z sędziami okręgowymi można usłyszeć: „Słuchaj, siedzę sobie w tym moim małym sądzie, wyrokuję o jakichś niewielkich sprawach, to jest taka moje podwórko. Nie angażuję się ani po tej, ani po tamtej stronie, udaję, że mnie to nie dotyczy”. Ale polityka, w tej czy innej postaci zawsze nas dotknie, nawet jak mieszkamy na odludziu i mamy domek, to ktoś kiedyś postanowi przeprowadzić koło tego domku drogę**

**i czy chcemy czy nie, ta rzeczywistość nas prędej czy później osiągnie. Mam wrażenie, że całe nasze społeczeństwo myśli tak o sądach, mim, że mamy tak silny, coraz silniejszy jest przecież ruch ich obrony.**

Tak, zdecydowanie, bo to jest przekaz, który powinien się do opinii publicznej dostawać i się sęczyć w każdym możliwym momencie, bo ta retoryka, na której gra Partia Rządząca, jest łatwa. Każdy obywatel miał jakąś sprawę w sądzie, albo znał kogoś, kto miał tę sprawę, z rodziny, ze znajomych, kogoś, kto tę sprawę przegrał i uważa, że czuje się pokrzywdzony przez działania. Słowem ma poczucie, że został skrzywdzony przez sędziego.

**To jest łatwe, bo to granie na najniższych emocjach.**

Tak, to łatwe, gra na najniższych emocjach i łatwo grać taką kartą: „Teraz wprowadzimy nowy ład”.

**To de facto powiedzenie: „My wam odajemy sądy”.**

Tak zwana reforma sprawiedliwości miała być realizacją hasła „Sąd bliżej ludzi” miała być remedium na rzekome elity sędziowskie które są

**Wolność i bezpieczeństwo obywatela to też wolność polityczny. I znowu Monteskiusz. „Wolność polityczna obywateli jest to ów spokój ducha, pochodzący z przeświadczenia o własnym bezpieczeństwie. Aby istniała ta wolność, trzeba rządu, przy którym żaden obywatel nie potrzebuje lękać się drugiego oby-**

**To są gorące kule wrzucane w społeczeństwo, które mają na celu je rozsadzić, by funkcjonowało niepewnością, z nieufnością, nienawiścią, jakimś antagonizowaniem**

oderwane od ludzkich spraw. Spójrzmy na głośną ostatnio tzw. „afere Emi”, czy jak kto woli „afere Piebiaka” pokazującą siatkę hejterów związanych z Ministerstwem Sprawiedliwości, którzy szykanowali sędziów otwarcie krytykujących wprowadzone reformy. Czy o taką wymianę elit chodziło? W jednym z fragmentów ujawnionych rozmów przewija się wątek przyspieszenia rozpoznania sprawy przez sędziego na prośbę osoby fizycznej. Czy jakiś obywatel chciałby mieć proces, w którym manipulowano by w taki sposób?

**Nie sądzę.**

To pokazuje, że cała tak zwana reforma była fikcją. Łącznie z tym, o czym mówisz, o wprowadzeniu tyranii mniejszości.

**watela”. A przecież to, co się dzieje na ulicach, to co się dzieje między nami, powoduje, że my się zaczynamy na siebie patrzeć podejrzliwie. Zaczynamy się siebie bać. Nie sądzisz, że to wynika z tej maszyny?**

Rządy Prawa i Sprawiedliwości to nieustanne znajdowanie sobie wroga i dawanie sygnału do ataku. Kiedyś to byli uchodźcy. Znam ich perspektywę, wiem jak byli traktowani w Polsce, wielokrotnie ich reprezentowałam. To jest trudny kawałek chleba w Polsce, bronić osób, które poszukują tu ochrony międzynarodowej, bo oni tu już w końcu tego łańcuszka, nie mają pieniędzy, wsparcia państwa, w ogóle rzeczywistości najwrażliwszy klient. Kolejnym wygenerowanym wrogiem jest społeczność LGBT, która zdaniem PiS zagraża



## SYLWIA GREGORCZYK-ABRAM

Adwokatka. Specjalizuje się w postępowaniach i sądowych, prawie cywilnym i karnym. Jest współtwórczynią inicjatywy obywatelskiej „Wolne Sądy” oraz członkinią zarządu Stowarzyszenia im. Profesora Zbigniewa Hołdy. Od kwietnia 2016 roku jest koordynatorką do spraw kontaktów z organizacjami pozarządowymi przy Okręgowej Radzie Adwokackiej w Warszawie. Od wielu lat współpracuje w sposób stały z organizacjami i inicjatywami społecznymi, które podejmują próby przeprowadzania zmian systemowych oraz organizuje dla nich wsparcie finansowe. W swojej działalności pro bono realizuje misję wspierania rozwoju społeczeństwa obywatelskiego w Polsce. W 2016 została nagrodzona tytułem prawnika pro bono. W ramach KOS reprezentuje sędziów SN i NSA powyżej 65. roku życia w postępowaniach mających na celu zablokowanie usunięcia ich ze stanu czynnego na podstawie ustawy o SN z 2017 roku. Występuje także przed TSUE w postępowaniach wywołanych zadanymi przez SN pytaniami prejudycjalnymi dotyczącymi niezależności sądownictwa.

polskim dzieciom, polskiej rodzinie i polskiemu Kościołowi. To są gorące kule wrzucane w społeczeństwo, które mają na celu je rozsadzić, by funkcjonowało niepewnością, z nieufnością, nienawiścią, jakimś antagonizowaniem. To jest coś, co niestety funkcjonuje ostatnie 4 lata. I tak jak powiedziałaś, zaczynamy się siebie bać.

**W tym wszystkim mamy problem, że to społeczeństwo jest przede wszystkim niewyedukowane. Pięknie przypomina o tym Czesław Miłosz w opublikowanym już po jego śmierci wierszu *Flet***

**szczurołapa. To jest problem naszej edukacji po roku 89'. Rousseau mówił, a Miłosz przypominał, że zanim się wyzwoli się niewolników należy ich najpierw wyedukować, oświecić, bo inaczej przyjdzie szczurołap, zagra odpowiednią melodię i... oni za nim pójdą. Szczurołap gra melodię „z repertuaru naszej małej stabilizacji”. To jest ta stabilizacja z kinem do którego chodzimy, z piwem przed telewizorem. Ale konstatacja jest smutna... bo „minie jedno, może dwa pokolenia, I młodzi odkryją**

**nieznane ich ojcom poczucie wstydu. Wtedy dla swego buntu będą szukać wzorów w dawno zapomnianej anty-imperialnej rebelii”. A może rewolucja jakiej dokonają, to będzie rewolucja anty-wszystko. Bo już niczego nie będą rozumieli.**

To wspaniałe porównanie, a wiesz, że Miłosz jest ulubionym autorem Fransa Timmermansa? Dla mnie, która od trzech lat jest zaangażowana w obronę niezależności polskiego sądownictwa to ważna postać. Jak mówi o Polsce, to bardzo często wspomina o Miłoszu. Ale wróćmy do edukacji

cji. Szacujemy, że we wszystkich sześciu edycjach „Tygodnia Konstytucyjnego” wzięło udział ponad 200 tys. uczniów. To się może z jednej strony wydawać mało, ale z drugiej strony pokazuje, że oddolna inicjatywa może, jeśli tylko chce, takie popołudnie ruszenie prawników zorganizować.

**A oni opowiedzą o tym w domu.**

Dokładnie! To się rozprzestrzenia, rozlewa i to jest program, który się cieszył ogromną popularnością wśród szkół. Program opowiada o Konstytucji, co w niej jest, dlaczego ona jest dla Ciebie ważna Janku z óc, że to nie jest jakiś dokument, który

**Jeżeli dane państwo nie ma niezależnych sądów to znaczy, że nie realizuje i nie chroni idei praworządności, i powstaje pytanie czy nadal może być częścią wspólnoty**

społeczeństwa... Jako prawicy odrabiamy lekcję. Ja też miałam taką refleksję, może nie tak pięknie ujętą jak zrobił to Miłosz, po rozjechaniu Trybunału Konstytucyjnego, że edukacja to podstawa. Co wtedy zrobiliśmy? Jako Stowarzyszenie im. Profesora Zbigniewa Hołdy uznaliśmy, że trzeba iść do szkół i rozmawiać z młodzieżą. Zrobiliśmy program, który będzie miał teraz siódmą edycję. Nazywa się „Tydzień Konstytucyjny”, dwa razy do roku zakasujemy rękawy, tysiące prawników rusza do szkół idzie rozmawiać z młodzieżą o Konstytu-

jest abstrakcyjny, ale są ważne rzeczy dla Ciebie napisane, porozmawiajmy o nich. Zawsze rozmawiamy omawiając tzw. kazusy, czyli takie sytuacje, które mogły się przytrafić każdemu z tych uczniów. To nie jest tak, że przyszedł prawnik w garniturze czy garsonce i wygłaszał mądrości. Robimy to tak, aby mieć rzeczywisty kontakt z uczniami z nimi rozmawiać.

**Rozmawiać z nimi zrozumiałym językiem i pokazywać, że te rzeczy mogą**



**działać, że te rzeczy mają dla nich znaczenie.**

To robimy, cyklicznie. Rzuciliśmy się, jako niewielkie wtedy Stowarzyszenie na głęboką wodę i było warto. To pokazuje, że każdy z Nas może się zaangażować. Gdyby każdy prawnik zaangażował się w swojej miejscowości i spotykał z lokalną młodzieżą, społecznością, edukował to skala byłaby ogromna.

**Tu też skala edukacji byłaby ogromna i świadomość bycia... Mam wrażenie, że temu pokoleniu wciąż brakuje świadomości bycia obywatelem, świadomo-**

**ści wspólnoty, która nie musi być tak dramatycznie rozdarta.**

I takiej odpowiedzialności za drugiego człowieka, zwłaszcza tych słabszych od nas, mniej uprzywilejowanych tale nie tylko człowieka, także środowisko, wszystko co Nas otacza. To kwintesencja tego po co żyjemy.

**Ale jak zapytasz „Za co jesteś odpowiedzialnym?“, w ogóle co dziś znaczy być odpowiedzialnym?**

No właśnie... Jeśli nadal pytasz mnie o wspólnotę to dla mnie jest to poczucie odpowiedzialności przed innymi za powodzenie wspólnych spraw

i chęć działania w tym kierunku. Tak rozumiana odpowiedzialność rodzi zaangażowanie, energię i entuzjazm, daje poczucie wpływu na rzeczywistość.

**Może ta świadomość, że „kładąc swoją cegiełkę biorę udział w budowie świata”.**

Ja się pod tym podpisuję, to jest myślenie, które należy zaszczepiać młodym ludziom i zaprocentuje za kilka lat. Wychowamy sobie takie społeczeństwo, które będzie myślało dalej niż „mój sklep” i „moje podwórko”.

**Jak myślę nad najważniejszymi ideami, to na krótkiej liście są odpowiedzialność, sprawiedliwość i chyba jednak ciągle solidarność... To są te trzy wartości, których powinniśmy się uczyć i jakie powinniśmy kultywować, żeby to społeczeństwo nam się całkiem nie rozpadło. Żebyśmy jakoś ocalali demokrację.**

Solidarność międzyludzka jest ważnym aspektem nowoczesnego społeczeństwa. Świadczy o jego dojrzałości, zrozumieniu i otwartości na problem. Jeśli otwieramy się na drugiego człowieka, to znaczy, że mamy w sobie dużo odwagi i współczucia na krzywdę innych. Znowu wrócę do tematu uchodźców. Moja klientka, aktywistka walcząca o prawa kobiet w Iranie nie mogła zrozumieć, dlaczego Polacy nie chcą jej przyjąć skoro Iran podczas II wojny światowej przyjął tysiące polskich uchodźców.

**Ale sami Polacy często tego nie rozumieją, Znam ludzi, którzy niegdyś sami byli uchodźcami, przeszli przez obóz we Włoszech, wyjechali do Stanów, a dziś głosują na PiS, albo Konfederację. Kiedy ich dorosła córka, dziś poważna profesor pyta: „Czy wy tego nie widzicie? Że nam ktoś pomógł? Byliśmy uchodźcami. Czy nie widzicie, że z zasady solidarności, to samo co było nam, powinno być świadczone tym ludziom?” I tu pada argument religijny, rasowy itd „Bo my przyjechaliśmy jako...” Mnie ta retoryka przeraża.**

Nie jesteśmy dobrym gospodarzem dla ludzi, którzy uciekają przed wojną, przemocą i torturami. Nie jest to wyłącznie moje zdanie. Polskie i międzynarodowe organizacje zajmujące się uchodźcami biją na alarm, nie spełniamy międzynarodowych standardów, procedur. Przyczynkiem jest też ta retoryka, że przyjdzie obcy i nam zabierze nam to co narodowe.

**Ci „Oni”.**

Ci Oni przyjdą i zrobią swój świat.

**Jak w ogóle doszliśmy do powrotu figury „Onego”, który jest nam obcy, bo to była retoryka, która pojawiała się w poprzednim systemie, że są „Oni” jacyś obcy, tak naprawdę to wraca i to... jest potworne.** Ale to działa niestety... Dlatego wrócę do solidarności. Bo myślę, że my musimy uczyć się



solidarności nie tylko z drugim człowiekiem, ale też z instytucjami.

**Tim Snyder, w swojej maleńkiej książeczce *O tyranii* pisze: „To instytucje pozwalają nam zachować przyzwoitość. Nie mów o naszych instytucjach jeśli nie przechodzisz od słów do czynów i nie działasz na ich rzecz. One nie obronią się same. Jeśli nie będziemy ich bronić od początku, to runą jedna po drugiej”. Tak naprawdę to jest czytanie o tym, z czym mamy do czynienia w przypadku sądów, sprawiedliwości, w przypadku ruchu równocześnie, który się buduje by tego bronić, a z drugiej strony dochodzi do ściany.**

To jest piękny cytat, bardzo mi bliski. Obywatel powinien mieć zaufanie do każdej instytucji, niezależnie czy to jest instytucja administracji publicznej, czy sąd w najmniejszym mieście, czy sąd najwyższy. Obywatel powinien mieć do niego szacunek i czuć się bezpiecznie. I dlatego powinien stawać w obronie tych instytucji. Broniąc ich broni swoich praw i wolności.

**Wracamy do wolności politycznej, która się buduje ...**

Powinna się budować, tymczasem trójpodział władzy który od lat jest zakorzeniony w demokracjach zachodnich u nas jest niszczone, okazuje, że ktoś to wszystko próbuje wysadzić w powietrze.

**Chyba wciąż brak nam świadomości, że wolność polityczna to jest naprawdę naszą wolność osobista, to jest ten moment, to jest wolność nowożytna, o której mówił Constant, czy Locke. Że to są nasze wolności „od” i „do”, że zabezpieczają nas byśmy nie byli przymuszeni, a z drugiej strony wszystkie wolności z gatunku; „Możemy”. Tej świadomości chyba nadal nie ma. A druga myśl... czy jeśli sytuacja polityczna się zmieni, to co zrobić, by odbudować to zaufanie do sądów? Jak to zbudować tak naprawdę od nowa?**

To jest obecnie najważniejsze pytanie. Zanim odpowiem chciałam powiedzieć istotną rzecz, która powinna wybrzmieć. Mamy wciąż armię niezależnych sędziów, adwokatów i innych prawników, którzy są strażnikami tego, o czym rozmawialiśmy, czyli trójpodziału władzy. Mamy też armię obywateli, którzy konsekwentnie wyrażają niezgodę na demontaż państwa prawa. Jesteśmy silni jeśli działamy razem. Sędziowie są poddawani różnego rodzaju represjom, prowadzone są postępowania dyscyplinarne, odbierane są im awanse, są przedmiotem zorganizowanego hejtu. Znowu, to nie jest moja niechęć do Prawa i Sprawiedliwości, skale represji wobec sędziów, prokuratorów, a ostatnio także adwokatów pokazują raporty organizacji pozarządowych na przykład Komitetu Obrony Sprawiedliwości. Dlatego to takie ważne, żebyś ty Obywatelu był solidarny z tymi, co walczą o Twoją wolność polityczną i wolność do wszystkich wartości.

**Wolność byś mógł być sobą... Tak po prostu.**

Tak, może się okazać, że nie będziemy mogli być sobą bez niezależnych sądów. Pytałaś mnie o odbudowanie zaufania do sądów, to jest praca do wykonania i nie będę ukrywać, że środowisko prawnicze przygotowuje się sumiennie do tej odbudowy. Mam nadzieję, że Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej przyjdzie Nam z pomocą. Wszystko na to wskazuje, bo Rzecznik Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, ocenił, że nowo powołana Izba Dyscyplinarna SN nie spełnia wymogów niezawisłości oraz że tryb powoływania członków KRS nie zapewnia jej niezależności od polityków. A w Europie gramy wszyscy do jednej bramki. Nie jest tak, że Polska wybiera sobie z Unii co chce, dotacje, jakieś „smakowite kąski” i może ignorować podstawowe wartości. Praworządność jest wspólną wartością Unii i powinna być poza wszelkimi politycznymi podziałami, partykularnym interesem państwa. Jeżeli dane państwo nie ma niezależnych sądów

to znaczy, że nie realizuje i nie chroni idei praworządności, i powstaje pytanie czy nadal może być częścią wspólnoty. To, co obecnie dzieje się w Polsce w zakresie funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości to mentalny Polexit, niestety. Wyrok TSUE mam nadzieję będzie przełomowy jeśli chodzi o odbudowę państwa prawa. Może dać wskazówki, co dalej. Reszta zależy od nas.

**Myszę, że powinniśmy sobie życzyć byśmy jak najszybciej mieli szansę przez to przejść.**

Zdecydowanie, im dłużej do organizmu włączana jest zła krew, tym jesteśmy bardziej chorzy. To samo dotyczy wymiaru sprawiedliwości. Im dłużej będziemy pozwalać na sterowanie sądami przez polityków, na wybór sędziów przez polityków, na represjonowanie sędziów tym trudniej będzie ten wymiar sprawiedliwości uleczyć. To remedium powinno pojawić się jak najszybciej, by odwrócić i ustabilizować tę sytuację. ●



## MAGDALENA M. BARAN

Doktor filozofii, historyk idei, publicystka; adiunkt w Instytucie Filozofii i Socjologii Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie. Naukowo zajmuje się problematyką wojny, filozofią polityki i etykami praktycznymi. Autorka książek *Znaczenie wojny. Pytając o wojnę sprawiedliwą* (Liberté! 2018) oraz *Oblicza wojny* (Arbitror 2018). Pracuje nad kolejną książką zatytułowaną *The Tools of War*. Zastępca redaktora naczelnego miesięcznika *Liberté!*

# JAK ZWYCIĘŻAJĄ DEMOKRACJE

BŁAŻEJ LENKOWSKI

Jak mamy przekonywać nieprzekonanych, jeśli będziemy nieśli na plecach wór pokutny z wielkim napisem „Byliśmy głupi”?

## „Jak zwyciężają demokracje”

– taki właśnie tytuł ma tegoroczna, szósta już edycja Igrzysk Wolności. Truizmem jest stwierdzenie, że niełatwo na to pytanie odpowiedzieć. Ja również nie ośmielę się dać Państwu na nie łatwej odpowiedzi. Uważam, jednak że rozważając ten dylemat warto sięgnąć do dwóch ważnych książek: *Jak umierają demokracje* Stevena Levitsky’ego, Daniela Ziblatta oraz *Nowego Oświecenia* Stevena Pinkera. Pokazują one odmienne, ale niezwykle ważne perspektywy.

Jeśli spojrzymy na krajobraz medialny Polski – lecz nie tylko, bo podobne zjawisko widoczne jest w wielu krajach Zachodu – widok jest raczej smutny. W naszych głowach kształtuje się przygnębiający obraz przyszłości liberalnej demokracji. Media na okrągło relacjonują kryzysy, konflikty, problemy i zagrożenia. W wielu krajach triumfy święcą populisci, politycy nieodpowiedzialni, gotowi do kroków tak szkodliwych dla ich własnych krajów jak Brexit. Z wielu stron nasila się antywolnościowa i antyoświeceniowa retoryka, w Polsce niezwykle wzmocniona przez dużą część ultrakonserwatywnej hierarchii kościelnej. Mamy Trumpa, Jonhsona, Salvinię, Orbana, Kaczyńskiego, Erdogana. Polscy liberałowie z przerażeniem patrzą na rzecz niedawno jeszcze trudną do wyobrażenia, bo oto – po czterech latach niezwykle kontrowersyjnych rządów – poparcie dla Prawa i Sprawiedliwości ugruntowało się na wysokim poziomie około 40%.

Steven Levitsky i Daniel Ziblatt opisują szereg praktyk jakie po dojściu do władzy podejmują wrogowie wolności, aby krok po kroku rozmontować system liberalnej demokracji. W zasadzie nie poruszają przykładów polskich, ale ilość analogii do działań opisanych w innych krajach jest więcej niż znacząca. Ta książka to wręcz podręcznik dla wszystkich demokratów, wskazująca z jakimi zjawiskami należy walczyć i czemu się przeciwstawiać. To pesymistyczna przestroga, pokazująca, że walka o wolność jest zadaniem permanentnym i nigdy nie dobiegającym końca.

Pesymistyczny obraz rzeczywistości, jaki na co dzień otrzymujemy z ekranów naszych komputerów czy telewizorów, powoduje, że wielu liberałów zaczyna wątpić we własne idee. Jeśli mamy kryzys, jeśli wrogowie wolności odnoszą sukcesy, to gdzieś w naszych założeniach ideowych został popełniony błąd – konstatują. Słyszymy samobiczowanie, hasła „byliśmy głupi”, zwątpienie. Słyszymy tyrady, czytamy książki i opracowania, w których kolejni ekonomiści po kryzysie ekonomicznym ogłaszają koniec kapitalizmu jaki znamy i konieczność wielkich zmian, które z kolei są merytorycznym uzasadnieniem dla pojawiania się następnych populistycznych liderów. Wielu obywateli czuje się coraz bardziej zagubionych. Jeśli słyszą, że ta liberalna demokracja to się w zasadzie nie udała, zewsząd docierają do nich wiadomości o zmierzchu systemu, widzą, że szeroko rozumiani liberałowie przegrywają

wybory, to mimo że bzdury opowiadane przez populistów nie wydają im się sensowne, obierają bezpieczną strategię wycofania w sferę życia prywatnego. Istne *perpetuum mobile* zmierzające do katastrofy. Rzeczywistość medialna staje się ważniejsza niż fakty.

Czy rzeczywiście jest tak źle i perspektywy demokracji są aż tak negatywne? Aby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba oderwać się od medialno-politycznej „bieżączki” i sięgnąć do dwóch wielkich nauczycielek ludzkości: historii i statystyki. Jeśli chcemy w racjonalny sposób oceniać zachodzące wokół nas procesy trzeba patrzeć na nie z długofalowej perspektywy.

### **I nie, „nie byliście” głupi, że tego procesu nie zatrzymaliście. W ostatnich trzydziestu latach Polska odniosła spektakularny sukces społeczno-ekonomiczny, z którego możemy być dumni**

Genialnie czyni to w swojej książce Steven Pinker. Z wielką dokładnością analizuje kluczowe wskaźniki jakości życia i dobrobytu człowieka oraz te dotyczące stanu demokracji i wolności na świecie w perspektywie historycznej, wskazując na twarde liczby i dane.

Ludzkość wraz z nastaniem epoki oświecenia, wiary w rozum i naukę, rewolucją przemysłową i ukształtowaniem się systemu kapitalistycznego

przechodzi przez proces bezprecedensowego postępu, który przyspiesza. Pinker udowadnia, że z historycznej perspektywy żyjemy w czasach najlepszych z możliwych, jakich nie mieli szansy doświadczyć żadni z naszych przodków.

Przedstawię kilka przykładów przywoływanych przez Pinkera. Przyjmując średnią dla całego świata, oczekiwana długość życia człowieka według Our World in Data w roku 1920 wynosiła 35 lat, zaś roku 2020 ma osiągnąć 72 lata. W roku 1920 około 73% ludzkości żyła poniżej progu, który dziś uznajemy za skrajne ubóstwo. W roku 2020 ten odsetek spadnie do około 10%. Żyjemy w okresie niespotykanego wcześniej po-

koju, tragedia wojny w Syrii powinna poruszać wszystkich, ale porównując statystyki z przeszłości nie możemy mieć wątpliwości czego globalnie doświadczamy. Jeszcze w latach 70' XX wieku na każde 100.000 mieszkańców ziemi rocznie przypadało globalnie około dziewięć zgonów bitewnych, w roku 2015 liczba ta spadła do jednego zgonu (Human Security Report Project). Warto przypomnieć też rewolucję, jaką ludzkość przeżyła w podejściu do wojny. W okresie



Photo by Evan Dennis on Unsplash

od roku 1500 do początków XIX wieku w stanie wojny było ze sobą ponad 50% światowych mocarstw. Później nastąpił czas wielkich wahań natężeń konfliktów zbrojnych, a od początku XXI wieku wskaźnik ten wynosi 0, co jest absolutnym historycznym ewenementem.

W wielu krajach świata, w tym również w Polsce, nie zakończyła się walka o równe prawa. Nie sposób nie dostrzegać panujących trendów i tendencji. W roku 1920 liczba krajów, które oficjalnie zdekryminalizowały homoseksualizm wynosiła 12%, w roku 1970 było to około 30%, w 2015 było to już 90% krajów na świecie.

Stan demokracji na świecie świetnie oddaje opisany przez Pinkera Polity Project (HumanProgress.org) mierzący stan demokracji w różnych krajach według skali -10 – pełna autokracja, +10 idealna demokracja. Twórcy statystyki za demokratyczne uznają te kraje, które uzyskują wynik ponad +6.

Jeszcze w 1971 roku mieliśmy jedynie 31 państw demokratycznych na świecie, w 1989 roku już 52 demokracje, aby w 2015 roku osiągnąć rekordowy historycznie poziom 103 państw. Osoby zainteresowane dalszymi dowodami i statystykami świadczącymi o naszym miejscu w historii świata odsyłam do ponad 600 stron książki Pinkera. Warto spojrzeć na moment historyczny, w którym się znaleźliśmy obiektywnie i z historycznej perspektywy.

Gospodarka kapitalistyczna rozwija się cyklami koniunkturalnymi, pogłębianymi lub łagodzonymi działalnością rządów, decyzjami podmiotów rynkowych. Kryzys roku 2008 przyniósł wiele negatywnych zjawisk (akurat Polska poradziła sobie z nim szczególnie dobrze), ale nigdzie nie doprowadził do krachu systemu i przewrotów politycznych. A przecież świetnie znamy to z przeszłości. Kryzys ekonomiczny początku lat 30' XX wieku uitorował drogę do władzy dyktatorom

i zbrodniarzom, wiele państw i społeczeństw pogrążył w mroku biedy, a następnie totalitaryzmu. To, w jaki sposób świat Zachodni poradził sobie z kryzysem roku 2008, pokazuje, że wciąż się uczymy, a demokratyczne systemy są coraz bardziej odporne na zawirowania. Oczywiście mamy do czynienia z naturalną po kryzysie falą zafascynowania populizmem i ideami antyosiwieceniowymi (sympatie polityczne społeczeństw też można ułożyć w sinusoidę), ale szkodliwi jeźdźcy płynący na tej fali – Trump, Kaczyński i Orban – są niczym w porównaniu do dyktatorskich i totalitarnych wspomnień z przeszłości. Nie znamy ich intencji, jest natomiast pewne, iż oświeceniowe idee liberalnej demokracji tak mocno zmieniły społeczeństwa, że zaprowadzenie w pełni dyktatorskich porządków jest trudniejsze niż kiedykolwiek. Nie twierdzę, że w Polsce nie da się zbudować drugiej Białorusi, ale byłoby to naprawdę trudne, szczególnie, że kluczowa z punktu widzenia wyborczego zwycięstwa PiS grupa wyborców jest wierna tej partii tylko z powodów hojnych transferów socjalnych. Te z kolei będą możliwe długofalowo tylko wówczas, gdy Polska pozostanie częścią bogacącego się systemu liberalnej gospodarki.

Zamiast więc narzekać w jakich to trudnych czasach przyszło nam żyć, warto być świadomym historycznego miejsca, w którym się znajdujemy i spojrzeć na siebie i „nasze” prodemokratyczne środowiska. Po pierwsze zbyt mało w nas wiary w demokratyczne, oświeceniowe i liberalne

idee. Fakty mówią same za siebie, wskazując, że to właśnie im zawdzięczamy spektakularny rozwój ludzkości i jakości naszego życia. Nie oznacza to, że one nie tworzą żadnych problemów, które wymagają refleksji. Nie oznacza to, że w sposób permanentny nie dzieje się na naszych oczach walka z licznymi wrogami wolności. Jestem jednak przekonany, że w długiej perspektywie zwycięstwo leży po stronie liberalnej demokracji, która po prostu oferuje człowiekowi najwięcej. Nikt na Zachodzie, żadni populiści nie zaproponowali sensownej alternatywy, ich rozwiązania znamy z przeszłości i zawsze prowadziły one katastrofalnych skutków. Jeśli coś budzi mój niepokój o dalekosiężny model rozwoju świata to tylko przypadek Chin. Mam jednak nadzieję, że kulturowo ten model nie przyjmie się nigdzie indziej.

Dlatego pytam, jak mamy przekonywać nieprzekonanych, jeśli będziemy nieśli na plecach wór pokutny z wielkim napisem „Byliśmy głupi”? Jest to z resztą kolejny przykład megalomanii części intelektualistów i ich oderwania od rzeczywistości. Kapitalistycznego systemu demokracji liberalnej nie wymyślono w Polsce. Po roku 1989 weszliśmy w proces imitacyjnej transformacji mającej upodobnić nas do zachodnich systemów gospodarczo-politycznych, które już wcześniej odniosły spektakularne sukcesy. Polska płynęła na geopolitycznej fali, a główną zasługą polskich polityków było to, że nie zepsuli zbyt wiele i szczęśliwie nie byli w stanie tego procesu

zatrzymać (jak np. stało się na Białorusi czy Ukrainie). I nie, „nie byliście” głupi, że tego procesu nie zatrzymaliście. W ostatnich trzydziestu latach Polska odniosła spektakularny sukces społeczno-ekonomiczny, z którego możemy być dumni.

Powinniśmy tłumaczyć dlaczego liberalna demokracja jest najlepszym systemem do życia. Ludzie różnią się między sobą i to jest piękne. To wielka wartość demokratycznego społeczeństwa, które nie ma totalitarnych ambicji tworzenia identycznie myślących klonów. Dialog powinien być podstawą demokracji. Tylko wówczas możemy próbować zrozumieć motywacje drugiej strony

### **Mądrością jest tworzenie ram, w których zachowując swoją podmiotowość możemy żyć obok siebie, zamiast wracać do czasów inkwizycji czy Robespierre’a**

i wykuwać kompromis. Jeśli ktoś uważa, że nie ma potrzeby dialogu, to wystarczy, aby zastanowił się, czy chciałby żyć w kraju, gdzie co cztery lub osiem lat jedna ze stron wielkiego konfliktu politycznego wygrywa wybory o przysłówiowe 1% i ma prawo w 100% narzucać swoją wolę, swoje wartości i swój styl życia pozostałym 49%. A później odwrotnie. Demokracja liberalna dlatego jest tak dobrym systemem, bo pozwala żyć w zgodzie, obok siebie, ludziom wyznającym różne wartości. Możliwość komfortu życia w zgodzie z sobą samym i własnymi wartościami

mi wydaje mi się czymś bardzo istotnym dla każdego, kto ma kręgosłup moralny, zarówno dla każdego ortodoksyjnego katolika jak i każdego ateisty. Mądrością jest tworzenie ram, w których zachowując swoją podmiotowość możemy żyć obok siebie, zamiast wracać do czasów inkwizycji czy Robespierre’a. To takie proste, a tak często o tym zapominamy. Jednym słowem... potrzebujemy armii zdeterminowanych obrońców liberalizmu.

Po drugie potrzebujemy innej liberalnej wspólnoty. Tak, liberałowie nie tylko powinni budować wspólnotę, ale wyciągnąć lekcje z budowy róż-

nych organizacji o szeroko rozumianym profilu liberalnym. To co gubiło kolejne powstające instytucje, wspólnoty polityczne, to niezrozumienie przez liberalnych liderów, że stawanie na czele wspólnoty politycznej jest czymś zdecydowanie innym niż kierowanie prywatną instytucją. Firmę, spółkę, prywatną fundację możemy budować tak, aby zapewnić sobie wieczystą władzę. Wspólnota polityczna – partia czy stowarzyszenie o celach politycznych – musi rządzić się zupełnie inną dynamiką. Tam liderem się bywa, a pracuje się dla wspólnoty, której celem jest przejęcie

władzy i wdrażanie prodemokratycznego programu. Potrzeba nam próby odbudowy więzi międzyludzkich w organizacjach politycznych. I to nie jest naiwne założenie. W polityce oczywiście zawsze ma miejsce wewnętrzna rywalizacja o władzę i wpływy, zawsze ścierają się ze sobą liderzy. Ale pytanie czy jest to walka, po której przegrany odchodzi z organizacji, czy raczej jest jasne, że będzie dla niego przestrzeń do działania, a on nadal będzie chciał pracować dla wspólnoty. Naprawdę można ze sobą zdrowo rywalizować z myślą, że celem jest coś więcej niż indywidualna władza. Nie muszę chyba wyliczać tu konkretnych przykładów wskazujących, że takie myślenie gubiło powstające wspólnoty. Zamiast więc bić się w piersi za wyznawane przez nas idee, może warto uderzyć się piersi i głęboko zastanowić się w jaki sposób budowaliśmy swoje polityczne wspólnoty.

Niezwykle ważne jest też rozszerzenie skali struktur politycznych. W dużych, licznych organizacjach dużo trudniejsza i mniej cenna staje się umiejętność politycznego „dealownia”, w którym politykierskie umiejętności tego czy innego partyjnego sekretarza decydują o kształcie wspólnoty. W tego typu organizacjach przyciąga się

tylko „swoich”, są one wsobne i zamknięte, zaś kluczową umiejętnością jest niedopuszczenie do struktur konkurencji i ustawienie wyborów na tym czy innym szczeblu. Tylko masowa organizacja może zmienić ten fatalny, wykluczający mechanizm i sprawić, że w większym stopniu będzie oceniana wiedza, program, charakter, charyzma danego kandydata niż tylko posłuszeństwo aktualnemu wewnątrzpartyjnemu układowi.

Czy te dwie wskazówki wystarczą aby demokracja zwyciężała? Oczywiście, że nie. Wpływ na to będą miały setki czynników. Ale nie lekceważyłbym tych dwóch, o których pisałem. One zależą też w dużym stopniu od nas samych i mogą czynić różnicę. Na wiele innych nie będziemy mieli wpływu. Pewne mechanizmy po prostu działają, mam zatem nadzieję, że liberalna demokracja przetrwa obecny kryzys bez straszliwych kosztów jakie w przeszłości ponosiła ludzkość. Bo na koniec chciałbym tchnąć w naszych czytelników trochę optymizmu... W długiej perspektywie zwycięstwo leży z pewnością po stronie liberalnej demokracji, dziś dla ludzi nie ma lepszego systemu. Pytanie dotyczy raczej kosztów naszego zwycięstwa i strat, jakie poniosą obywatele zanim ono nastąpi. ●



## BŁAŻEJ LENKOWSKI

Politolog, publicysta, prezes zarządu Fundacji *Liberte!*.

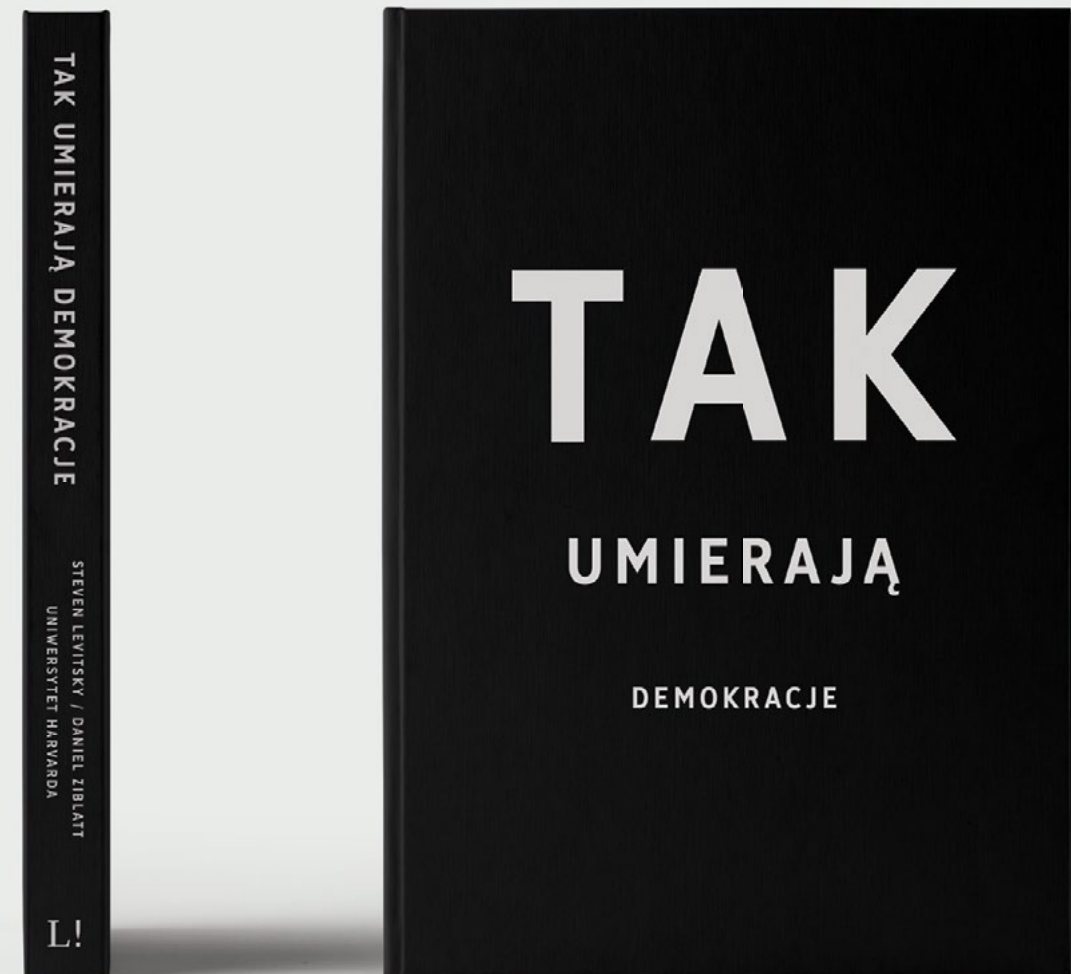
# „Tak umierają demokracje”

Dwa lata temu książka tego typu nie powstałaby: dwójka wiodących politologów, ekspertów w zakresie kryzysów demokracji w różnych częściach świata, wykorzystuje swoją wiedzę do tego, by uświadomić Amerykanom zagrożenia, przed jakimi obecnie stoi ich własny system polityczny.

**Francis Fukuyama**

Levitsky i Ziblatt to wiodący badacze systemów demokratycznych, opisują przykłady z wielu zakątków świata, z ogromnym zapalem i uczciwością wykorzystują swoją wiedzę do analizowania bieżących problemów, z jakimi borykają się Stany Zjednoczone. (...) Dzięki temu Czytelnik nie tylko odczuwa intelektualne podekscytowanie, lecz także jest świadom zawartej w tej książce politycznej przestrogi.

**Timothy Snyder**



BIBLIOTEKA LIBERTÉ!



Kup bezpośrednio: [sklep.liberte.pl](http://sklep.liberte.pl)

# ŚWIAT BEZ LIBERALNEJ DEMOKRACJI

PIOTR BENIUSZYS

Ten artykuł to także przestroga, że nawet ludzie o liberalnych poglądach odrzucą demokrację i będą działać na rzecz wolnościowej merytokracji, w której wielu przeciętnych obywateli zostanie odciętych od polityki, także dla własnego dobra, jeśli upadnie liberalna demokracja.

Czy aktualność odzyskuje stary pogląd niektórych klasycznych liberałów, że demokracja jest raczej wrogiem niż gwarantem wolności indywidualnej człowieka? Czy głosujący w wyborach lud postanowi pozbawić się wolności, aby następnie utracić też demokrację, ewentualnie poza jakąś jej fasadą? We współczesnym świecie widać wiele niepokojących sygnałów, które na to wskazują.

Wielki Benjamin Constant przestrzegał przed demokracją i rządzeniem na drodze powszechnego głosowania. Wskazywał, że staje się ono w naturalny sposób narzędziem pozbawienia ludzi wolności poprzez ich formalne, acz powierzchowne umocowanie w procesach władczych. Zyskując prawo głosu przy wyborze władz, zwykli ludzie wystawiać się mieli opacznie na ryzyko utraty wszystkich praw na drodze zwykłego werdyktu arytmetycznej większości. Zainspirowani rozważaniami Constanta, inni filozofowie jęli się więc tworzyć bezpieczniki. Przyjęły one ramy demokracji liberalnej, czyli ograniczonych rządów większości z naciskiem na to ograniczenie właśnie. Trójpodział władzy, *checks and balances*, niezależne sądownictwo, normy rangi konstytucyjnej, rządy prawa...

Czy w dzisiejszym świecie demokratycznym nie postępuje powolna degeneracja tych zabezpieczeń? Objawia się coraz większa liczba liderów politycznych o populistycznym, ekstremistycznym charakterze, którzy otwarcie sugerują zastąpie-

nie demokracji liberalnej demokracją ludową, plebiscytową, nieliberalną, odrzucającą wszelki prawnokonstytucyjny „impossybilizm”, służący rzekomo tylko interesom elit, a pomijający wolę ludowego suwerena. Żądają oni oto pełnej swobody dla rządów większości, za której emanację sami się uważają. Popularność tych liderów rośnie, wręcz gwałtownie. Nie tylko w demokracjach raczkujących, jak Polska czy Węgry, ale i w USA, i we Włoszech, i we Francji, a nawet w Wielkiej Brytanii. Coraz więcej ludzi postrzega zabezpieczenia liberalno-demokratyczne niczym dyktat, jako narzędzie nie ochrony, a pozbawienia ich przyrodzonych im praw. To wyborcy wspomnianych liderów. Coraz więcej obywateli woli oddać swój los w ręce arbitralnie rządzącego, omnipotentnego, ale ukochanego przez nich trybuna, aby tak uwolnić się od suchych i sztywnych przepisów starego prawa.

Szkoły tracą kontrolę nad procesem politycznego wychowania do liberalnej demokracji. Wraz z tym procesem widmo degeneracji demokracji ku ochlokracji powraca. W świecie coraz bardziej skomplikowanym, gdzie polityczne, społeczne i gospodarcze decyzje pociągają za sobą niesłychanie złożone skutki, miałyby się poszerzać zakresy decydowania w referendum, kosztem decyzji eksperckich. Tymczasem poddawanie w wątpliwość intelektualnej gotowości obywateli do decydowania w referendum o np. Brexicie jest nadal tak niepoprawne politycznie, że wręcz wyklucza z debaty. Mało kto ma odwagę postawić



Photo by Kaleb Nimz on Unsplash

pytanie o skutki deficytów wiedzy dla procedur demokratycznych.

Antyelitarny ton w debacie dodatkowo przyspiesza te negatywne trendy. Wyborca pogardza ekspertem, odrzuca kandydatów merytorycznych i umiarkowanych, wybiera show i politycznych showmenów (wręcz clownów), którzy potrafią mu go dostarczyć. Podupada jakość debaty publicznej. Drastycznie. W jej miejsce wchodzi *hate speech*, rozrastają się ekstremistyczne bańki internetowe, posiadanie skrajnych poglądów przestaje być powodem do wstydu. Walka o głosy zamienia się w wyścigi na rozdawnictwo pieniędzy. A nowoczesna technologia informatyczna drastycznie uderza w procesy wyborcze i opiniotwórcze.

Dotychczasowa debata o niedomaganiach związanych ze zbyt wąskim zakresem realnej partycypacji obywateli we współdecydowaniu politycznym dawała nadzieję, że opinia publiczna opowie się nie za usuwaniem barier dla nieograniczonego działania rządu, ile raczej za narzuceniem na rządzących nowych, dodatkowych barier związanych z: masowymi konsultacjami społecznymi, dalszą delegacją kompetencji na jak najniższy poziom samorządu terytorialnego (gdzie pojedynczy głos w dyskusji waży więcej), używaniem nowych technologii do włączania obywateli do polityki, obywatelskimi wnioskami o wiążące referendum nad projektami ustaw napisanymi i zgłoszonymi przez tychże samych obywateli.

Tymczasem demokratyczne większości optują za ofertami politycznymi, których rzecznicy żądają

dla siebie po wyborach całkowicie wolnej ręki przy uchwalaniu ustaw. Przykład Polski pokazuje, że także po 4 latach doświadczenia takich rządów, większość jest skłonna mandat do rządu przedłużyć i w ten sposób ostatecznie i już od strony logicznej niepodważalnie, udzielić takim metodom rządzenia demokratycznego mandatu. Dzisiaj krystalizuje się zatem nowa konkurencja ustrojów. To batalia demokracji liberalnej z jej pluralistycznym społeczeństwem i spontanicznym ładem przeciwko demokracji plebiscytowej

gorętszej wodzie. Świadcami pierwszego etapu jesteśmy w niektórych krajach już teraz. To przejście przez partię władzy kilku kluczowych instytucji, bez których nie jest możliwe zatrzymanie i zanegowanie zmian naruszających przepisy konstytucyjne i demontujących bezpieczniki liberalno-demokratyczne. Równolegle następuje osadzanie się członków klikki władzy we wszystkich możliwych strukturach zależnych od rządu: instytucjach administracji, mediach, fundacjach, organizacjach celowych, instytucjach kultury oraz

## Wyborca pogardza ekspertem, odrzuca kandydatów merytorycznych i umiarkowanych, wybiera show i politycznych showmenów (wręcz clownów), którzy potrafią mu go dostarczyć

z jej państwem objętym kuratelą grupy rządzącej i społecznym ładem organizowanym dzięki przywilejom przez ową grupę rozdawanym. Jak ona się potoczy? Co jeśli potoczy się źle? Co czeka nas w świecie bez liberalnej demokracji?

### Autorytaryzm XXI wieku

Jednym z prawdopodobnych kierunków ewolucji ustrojowej państw dotąd demokratycznych jest nowa forma autorytaryzmu. W sposób naturalny w jego kierunku ewoluować będzie wspomniana powyżej demokracja plebiscytowa. Ten proces będzie miał kilka etapów przypominających anegdotę o powolnym gotowaniu żaby w coraz

oczywiście spółkach skarbu państwa. W połączeniu z utworzeniem przestrzeni do zastąpienia modelu rządów prawa arbitralnymi decyzjami partyjnej „góry”, ta kadrowa rewolucja prowadzi do stworzenia rzeczywistości grupy (klasy) uprzywilejowanej, zwolnionej w pewnym stopniu z konieczności przestrzegania prawa oraz dysponującej synekurami, pieniędzmi publicznymi oraz przywilejami, które mogą być rozdysponowywane pośród obywateli skłonnych poprzeć nową rzeczywistość. Zachowane pozostają natomiast nadal całkowicie wolne wybory, więc teoretycznie proces może zostać powstrzymany klęską wyborczą partii.



Drugi etap wiąże się z zanikiem opozycyjnych mediów oraz rozpowszechnieniem się świadomości w społeczeństwie, że odmowa przystąpienia do grona apologetów władzy w realny sposób niweczy szanse na realizację życiowych planów zawodowych lub biznesowych. Do tego dochodzi nierówność wobec prawa – brak szans na dojdzie do swoich praw przed sądem lub w prokuraturze, gdy drugą stroną sporu jest uczestnik klasy uprzywilejowanej. Masa krytyczna społeczeństwa porzuca wówczas wszelką myśl o opozycji. W tym momencie klęska wyborcza partii

przymusu bezpośredniego i zastraszania. Jednak w realiach XXI w. ten trzeci etap może w ogóle nie zaistnieć. Współczesne środki techniczne ułatwiają budowę stabilnego autorytaryzmu bez uciekania się po brutalne metody. Autorytaryzm może istnieć w warunkach demokracji.

Potencjalni realizatorzy tego modelu ustrojowego w XXI w. zapewne będą odwoływać się do wartości prawicowych, narodowych i nacjonalistycznych, konserwatywnych, tradycyjnych, religijnych, będą podkreślać takie wartości jak duma z po-

### Wyborca pogardza ekspertem, odrzuca kandydatów merytorycznych i umiarkowanych, wybiera show i politycznych showmenów (wręcz clownów), którzy potrafią mu go dostarczyć

władzy przestaje być realna, a wybory zyskują charakter fasadowego, pozbawionego znaczenia rytuału, nawet mogą pozostać zupełnie wolne. Zniewolenie ludzi wynika bowiem z ich wewnętrznego konformizmu i pragnienia spokoju, a nie ze względu na jakieś represje czy sankcje.

W etapie trzecim potencjalnie można przejść do zainstalowania klasycznego autorytaryzmu, doskonale znanego z przeszłości, z prześladowaniem polityków opozycji, wykluczaniem ich z wyborów, likwidacją formalną wolność słowa, zrzeszania się i zgromadzeń, stosowaniem

chodzenia, godność, przywiązanie do starannie dobranych wątków historycznych, nieufność wobec obcego świata, uznanie innych kultur za gorsze, homogeniczność społeczeństwa. Jednak zarówno dla nich samych, jak i dla przemożnej większości ich zwolenników i beneficjentów nowego ustroju te elementy ideologiczne będą tylko ozdobnikami, swoistym wypełnieniem wymogu posiadania *raison d'être*. Nie będą całkowicie irrelewantne, chętnie przywoływane przecież z okazji różnorodnych świątecznych marszów i oficjalnych zgromadzeń, będą służyć jako rodzaj „karmy dla maluczkich”. Dla wtajemniczonych



jednak będą w zasadzie dowolnie wymieniać na inne, pod warunkiem bycia efektywnym narzędziem dla utrzymania przywilejów i wpływów. Gdy światowe trendy i źródła strachu się zmienią, klika władzy chętnie przefarbuję się na socjaldemokratyczną, proekologiczną, a nawet wolnościową.

Największa część społeczeństwa, daleka od znaczących przywilejów, ale też świadoma sztuczności ideologicznej „nadbudowy”, będzie trzymana w ryzach posłuszeństwa nie poprzez masową indoktrynację, na którą czas, energię i środki mu-

siaty marnować dyktatury przeszłości, ale poprzez oczywistość powszechnej inwigilacji realizowanej nowoczesnymi technologiami doby cyfrowej. Dla każdego będzie jasne, że w rzeczywistości sieci żadne działanie, mające charakter antyrządowy, nie pozostanie przeoczone. Wszystko będzie rejestrowane i na zawsze wiązane z życiorysem każdego obywatela. Obywatel będzie wiedzieć, że władza nie jest narodowo-konserwatywna, tylko to udaje. Władza będzie wiedzieć, że obywatel nie jest narodowo-konserwatywny, ale nie będzie miała z tym żadnego problemu, dopóki i on – tenże obywatel – będzie swój narodowy

konserwatyzm udawać, tak samo jak ona. To wspólne zakłamanie będzie spoiwem lojalnościowym.

Ten mechanizm oczywiście funkcjonował także w dawnych autorytaryzmach XX wieku. Jednak wówczas pewną zachętą do podjęcia ryzyka bycia dysydem był brak istnienia technologii totalnej i permanentnej inwigilacji. Można było (często na wyrost, ale jednak) spekulować, że akt antyreżimowy pozostanie niezarejestrowany,

## Zniewolenie ludzi wynika bowiem z ich wewnętrznego konformizmu i pragnienia spokoju, a nie ze względu na jakieś represje czy sankcje

umknie służbom, nie trafi do osobistego rejestru i nie pogrzebie szans na karierę w przyszłości. Dzisiaj krąg technologiczny się zamyka i nie ma takiej możliwości. Nadzieja na taki obrót spraw zakrawa na całkowitą głupotę.

Za demonstracyjne wystąpienie przeciwko systemowi i jego formalnym „wartościom” nie będą zatem musiały grozić okropne sankcje z minionej epoki. Wystarczy będzie perspektywa dożywotniego odcięcia od potencjalnej lub realnej szansy na wejście do układu przywilejów. Skazanie na życie nieudane, niespełnione i to w sposób nieodwołalny. Autocenzura, kalkulacja, cynizm ludzi, a przede wszystkim ich tzw. myślenie o przyszłości

będą wystarczającymi narzędziami kontroli. Po co w wieku 30 lat zaatakować władzę i na zawsze stracić wszystkie szanse, skoro przecież w wieku lat 45 może będzie się szczerym zwolennikiem rządu? Kto wie?

Większość ludzi w takiej rzeczywistości odnajdzie się z łatwością i ułoży sobie życie. Nie będzie się to im podobać, ale przełkną to bez trudu, także dzięki minimalizacji zjawiska brutalnych sankcji. W końcu nie będzie to nawet słynne „urządzenie

się w dupie”, o którym pisał Stefan Kisielewski. Raczej w ładnym, przytulnym i komfortowym ośrodku terapii, gdzie co prawda nie my decydujemy, gdzie idziemy, co jemy i co oglądamy w telewizji, ale jest nam wygodnie i prawie nigdy nikogo nie krzywdzą.

### Demokracja totalna

Ale jest też inna droga rozwoju sytuacji. Dużo mniej prawdopodobna w naszej części Europy, ale z pewnym potencjałem w Europie zachodniej, a zwłaszcza w południowej. To droga buntu przeciwko bezpiecznikom liberalnej demokracji nie z punktu widzenia ograniczenia praw ludu-suverena przez jajogłowe elity, a z punktu

widzenia niemocy kartki wyborczej i żądania radykalnego poszerzenia zakresu demokratycznej partycypacji. Wśród populistycznych liderów współczesności nie brak takich, którzy spekulują, że największe wpływy polityczne mogliby uzyskać oddając niemal pełnię władzy decydowania w ręce obywateli, w formule niepełnej, ale nawiązującej do utopii demokracji bezpośredniej. To trybuni o różnych barwach ideowych, gotowi wskoczyć na każdą falę społecznego poparcia. Jednak osią ich filozofii jest niewątpliwie otwarcie szerokiego strumienia transferów socjalnych, czyli kupienie dostępu do władzy w państwie publicznymi pieniędzmi.

Tak samo jak powszechną inwigilację, także realizację projektu całkowitej demokratyzacji – kiedyś niewykonalnego – umożliwiła nowoczesna technologia. Przeprowadzanie zarówno akcji poparcia dla projektów ustaw, częste stosowanie referendum oraz upowszechnienie konsultacji społecznych jest współcześnie łatwe do przeprowadzenia dzięki nowym środkom komunikacji. Co prawda ostatnie doświadczenia z zaangażowaniem się hakerów z wrogo nastawionych państw w procesy polityczne krajów demokratycznych rzucają cień w postaci obawy o zakłócenie lub sfałszowanie całkowicie digitalnych procedur głosowania, jednak można założyć, że nie pozostanie to na zawsze problemem nierozwiązywalnym. Tak oto pojawia się potencjalna możliwość, aby nawet w dużych państwach, o znacznie większej niż dotąd liczbie spraw decydować z pominię-

ciem parlamentu, a więc także filtra złożonego jednak z pewnych elit.

Wszystko mogłoby stać się przedmiotem referendum. Za tak zaprojektowanym systemem stałaby idea, iż tzw. zbiorowa mądrość przewyższa analizę ekspercką, a zatem trafność podejmowanych decyzji nie zależy od wykształcenia i wiedzy głosujących, a od ich liczby. Czyli im wyższa jest frekwencja, tym lepsza decyzja zostaje podjęta. Przyjęcie takiego założenia oznaczałoby zaś, że podtrzymanie systemu bezpieczników liberalno-demokratycznych jest wykluczone. Pozbawienie obywateli prawa do decydowania na temat jakichkolwiek kwestii musiałoby zostać odebrane jako zamach nie tylko na ich wolność polityczną, ale także – paradoksalnie – jako zamach na jakość procesu decydowania.

Oczywiście w pierwszej kolejności owocem demokracji totalnej byłaby hojna polityka finansowego wspierania obywateli. Tutaj istniałyby dwie drogi. Albo obywatele działaliby „solidarnie” i powstałaby niepisana zasada wspierania każdej grupy przez swoją „aklamację” prawie całego społeczeństwa. Albo – najpewniej wraz z odczuwaniem niedoborów w zasobie finansów publicznych – pojawiłaby się konkurencja i walka o transfery, wskutek której wsparcie zostałoby ograniczone do tylko najbardziej licznych i wpływowych grup, tudzież takich, które utworzyłyby trwałą i większościową „koalicję” społeczną. Wówczas grupy spoza tej „koalicji”,

niewykluczone, że często bardziej potrzebujące, ale nieliczne i pomijalne w procesie liczenia głosów, pozostawałyby bez wsparcia socjalnego na odpowiednim poziomie. Dodatkowym ciosem byłaby polityka obarczania ciężarem podatkowym grup mniejszościowych, zapewne w pierwszej kolejności grup majątnych (podatkami nawet bardzo wysokimi, sięgającymi 75-100% dochodu), ale w dalszej kolejności także grup o przeciętnych dochodach, lecz znajdujących się poza społeczną „koalicją” większościową. Wszystkie te decyzje – siłą rzeczy, zgodnie z naturą głosowania powszechnego – byłyby całkowicie arbitralne. Skutki ekonomiczne demokracji totalnej są łatwe

wego. Innymi słowy nawarstwienie się konfliktów międzynarodowych o spłatę hiperdługów doprowadziłoby najpewniej do wojny.

Demokracja totalna zakładająca demontaż bezpieczników liberalno-demokratycznych otworzyłaby jednak oczywiście drzwi także do innego procesu, niż tylko wielka wyplata. Powstałyby niechybnie większościowe „koalicje” społeczne na rzecz narzucenia prawnie całości społeczeństwa hierarchii wartości, religii i stylu życia większości. Żadne prawa konstytucyjne nie chroniłyby już indywidualnej wolności w tym zakresie, a wyłączenie tego rodzaju problemów spod głosowania

**Demokracja totalna zakładająca demontaż bezpieczników liberalno-demokratycznych otworzyłaby jednak oczywiście drzwi także do innego procesu, niż tylko wielka wyplata**

do przewidzenia. Powstanie spirali długu z rosnącymi kosztami jego obsługi, ale nakręcaniej z premedytacją i zawołowanym zamiarem ostatecznej odmowy jego spłaty decyzją kolejnego głosowania obywateli, a więc decyzją demokratyczną. To naturalnie pociągnęłoby za sobą domino bankructw firm rodzimych oraz ryzyko dezintegracji międzynarodowych struktur, zarówno w sensie globalnych rynków finansowych, jak i regionalnych systemów bezpieczeństwa zbioro-

zostałoby odebrane jako zamach na demokrację i prawa ludu-suwerena. W połączeniu z zapadłą gospodarczą i wzrostem zagrożenia międzynarodowym konfliktem zbrojnym przerażona „koalicja” społeczna może nie mieć wyjścia, jak przegłosować oddanie władzy komuś o tzw. silnej ręce, który przeprowadzi państwo przez okres kryzysu. Zatem ten scenariusz może spowodować powstanie autorytaryzmu i to być może nawet w stylu XX w.



Photo by Randy Colas on Unsplash

### Wolnościowa merytokracja

Trzeci scenariusz przyszłości w świecie bez liberalnej demokracji jest zdecydowanie najmniej prawdopodobny. Jest to alternatywa, w kierunku której pójść będą musieli ci wszyscy obrońcy liberalnej demokracji i jej dorobku, którzy za zasadniczy sens istnienia państwa i społeczeństwa z ich wszystkimi strukturami uznają ochronę praw i indywidualnych wolności jednostki ludzkiej. W przypadku klęski projektu liberalnej demokracji i zastąpienia jej demokracją plebiscytową lub demokracją totalną, obrońcy wolności będą zmuszeni powrócić do pozycji i poglądów Benjamina Constanta i opowiedzieć się za ograniczeniem demokracji na rzecz merytokracji sprawowanej przez elity wiedzy.

W tych warunkach możliwy byłby pryncypialny powrót do funkcjonowania wszystkich zasadniczych bezpieczników znanych z liberalnej demokracji, zwłaszcza trójpodziału władzy oraz nawet rozbudowanej sieci mechanizmów spod znaku *checks and balances*, który pełniłby niewątpliwie rolę prawnej bariery dla degeneracji merytokracji zarówno w kierunku oligarchicznym, jak i plutokratycznym, a zwłaszcza dyktatorskim. Kluczową rolę w systemie sprawowałyby sądy, które wzięłyby na siebie większą część uprawnień w procesie kształtowania prawa poprzez blokowanie wszelkich przepisów naruszających liberalne normy konstytucyjne. Władze ustawodawcze i wykonawcze państwa zostałyby trwale pozbawione możliwości ingerowania w życie

prywatne, religijne, intymne, osobiste i rodzinne obywateli. Jedynie sądy byłyby uprawnione do takich punktowych ingerencji, ale wyłącznie w celu ochrony wolności i autonomii jednego człowieka przed próbami zniewolenia przez innych ludzi lub grupy społeczne.

Zakres spraw decydowanych metodą demokratyczną zostałby ograniczony do wyłaniania parlamentu, który jednak miałby – jak zaznaczono – ograniczony konstytucyjnie zakres uprawnień ustawodawczych. Decyzje o doniosłym znaczeniu dla państwa byłyby wypracowywane standardowo przez zespoły ekspertów, których członkowie kwalifikowałiby się do nich wyłącznie na podstawie posiadanego wykształcenia i międzynarodowo uznanego dorobku naukowego. Ich rekomendacje nie podlegałyby istotnym zmianom na etapie procedowania parlamentarnego, lecz mogłyby być odrzucane w całości lub konfrontowane z wynikami analiz konkurencyjnych zespołów eksperckich.

Ograniczeniu pierwiastka demokratycznego w procesach *stricte* decyzyjnych towarzyszyłoby realne otwarcie kompetentnym obywatelom drogi do wywierania wpływu na te procesy w ramach niewiążących konsultacji społecznych. Merytokratyczny duch przenikający ustrój generowałby mentalność uczestników takich konsultacji, którzy automatycznie wykluczałiby udział ludzi niekompetentnych, niestrzymujących wysokich standardów debaty publicznej, ignorujących powikłania

wiążące się z radykalnymi rozwiązaniami złożonych problemów. Jakość debaty publicznej urosłaby znacząco. Obywatel rozumiałby, że udział w debacie nie jest przyrodzonym uprawnieniem, a możliwością, którą poprzedza zobowiązanie zdobycia adekwatnego przygotowania merytorycznego.

Dla stabilności wolnościowej merytokracji jednym z jej filarów byłaby umowa społeczna, na bazie której każdy członek społeczności miałby gwarancję życia na poziomie socjalnego minimum określonego na bazie realnej zamożności państwa i jego gospodarki, lecz wszelkie prawne mechanizmy dawałyby jasny priorytet celowi idealnemu, czyli sytuacji utrzymywania się przez każdego z własnej pracy. Dodatkowo umowa społeczna obejmowałaby całkowicie bezpłatną edukację, dostępną dla każdego obywatela na zasadzie absolutnej równości szans.

### Lepsze to, co mamy

Liberalna demokracja ma wiele wad. Jednak ten model ustrojowy wypracowany na bazie już kilku stuleci doświadczeń całego szeregu państw i narodów tworzących (nie tylko) zachodnią cywilizację jest lepszy od każdej z trzech alterna-

tyw, które mogą nadejść w świecie bez liberalnej demokracji.

Ten artykuł to ostrzeżenie przed ulegnięciem fatum autorytaryzmu XXI w., może kuszącym, bo zwalniającym z uciążliwych obowiązków obywatelskich, z przyprawiającego o ból głowy samodzielnego myślenia, przyciągającym też wizją kojącego objęcia opieką troskliwego władcy w zamian za milczenie. Ten artykuł to ostrzeżenie przed hurraoptymizmem demokracji totalnej, przed jej naiwną ufnością w mądrość ludową i utopijną wiarą, że ludzie ludziom nie okażą się wilkami, gdy da się im pełną swobodę w sprawowaniu rządów. Ten artykuł to także przestroga, że nawet ludzie o liberalnych poglądach odrzucą demokrację i będą działać na rzecz wolnościowej merytokracji, w której wielu przeciętnych obywateli zostanie odciętych od polityki, także dla własnego dobra, jeśli upadnie liberalna demokracja.

Ten artykuł to apel, aby zachować liberalną demokrację. ●



### PIOTR BENIUSZYS

Politolog i socjolog, mieszka w Gdańsku. Członek zespołu redakcyjnego i autor licznych publikacji w *Liberté!*. Specjalizuje się w tematyce ewolucji myśli liberalnej oraz w historii zachodnioeuropejskich partii liberalnych.

# WSPÓLNOTA, JAKIEJ POTRZEBUJEMY

MAGDALENA M. BARAN

Czy skoro wybraliśmy dla siebie jakąś wspólnotę to bezwzględnie musimy w niej trwać do końca naszych dni? Otóż nie. Skoro bowiem zakładamy/wierzymy, iż jesteśmy świadomymi, refleksyjnymi jednostkami, skoro wybieramy raczej rozwój i samodoskonalenie niż gnuśność czy stagnację, to niejako z konieczności pozostajemy otwarci na cały wachlarz opcji i możliwości. Na nowe życie.

Wspólnota potrzebuje wyobraźni. Dopiero ta pozwala dostrzec ją jako całość wraz ze wszelkimi dobrodziejstwami, ale również niedogodnościami, jakie ze sobą przynosi. Wspólnota potrzebuje wizji, zakładającej warunki jej rozwoju. Potrzebuje również wartości, jakie połączą jej członków. Niegdyś niemal idealnym modelem wspólnoty wydawała się klasyczna kamienica, ot choćby taka, jak w ikonicznym serialu Jana Łomnickiego. „Dom” mógłby być dla wielu synonimem dobrze ułożonej wspólnoty. Wszyscy się znają, odnoszą się do siebie z troską i życzliwością, pozostają nieco podejrzliwie otwarci na przychodzących z zewnątrz, których ostatecznie akceptują, gdy ci wpasowują się w pewien styl życia, w reguły, w obowiązujący schemat. W owym domu jeden drugiemu poda pomocną dłoń, pomoże w sprawach prostych, ale i w życiowych dylematach. Nie łączą ich więzy krwi, nie łączy ich wyznawana ideologia, łączy ich los. łączą ich te wszystkie codzienne, drobne sprawy, smutki, radości, kłopoty, sukcesy. Stanowią wspólnotę, sąsiedztwo, która jest jedną z jej najbardziej pierwotnych, dostrzeganych już przez starożytnych, form. Taki dom budować dziś jednak można na wiele sposobów. Może nie tak tradycyjnych, ale i tak dających nam poczucie więzi. Więzy, które coraz częściej świadomie wybieramy i kształtujemy, zarówno w świecie realnym/fizycznym, jak i w cyberprzestrzeni. Wszędzie tam, gdzie wchodzimy we wspólnoty lub świadomie bierzemy udział w ich tworzeniu.

\* \* \*

O naturalnym dobroczynnym wymiarze wspólnoty pouczali już starożytni. To z nią wiązano wyobrażenie dobrego życia i odpowiadającego mu społeczeństwa. Życie w greckim *polis*, jak słusznie zauważał Benjamin Constant oznaczało jednak nierozłączność dobra jednostki z pomyslnością wspólnoty. Wspólne miało prymat nad indywidualnym. Bo jak żyć bez wspólnoty, poza nią czy niezależnie od niej, gdy za Arystotelesem powtarzano, że człowiek jest „zwierzęciem politycznym”, które ze swej natury musi żyć właśnie we wspólnocie. „Kto zaś nie potrafi żyć we wspólnocie albo jej wcale nie potrzebuje – powiadał Stagiryta – jest albo zwierzęciem, albo bogiem”. Idąc dalej wskazanym przezeń tropem, osiągnięcie przez człowieka szczęścia, czy nawet praktykowanie cnoty poza wspólnotą zdawało się nierealne. Życie wspólnotowe było tym, które wiodło człowieka ku szczęśliwości, eudajmonii. W wiekach późniejszych życie wspólnotowe wybierano by zapewnić kres „wojny wszystkich ze wszystkimi” (Hobbes) czy dla właściwego funkcjonowania umowy społecznej (Rousseau). Na potrzeby współczesności niejako na nowo zdefiniował je jednak dopiero Ferdinand Tönnies, często określany wprost mianem ojca nowożytnej wspólnoty. Wskazuje on, że prawdziwa wspólnota buduje się w pierwszym rzędzie na wspólnocie krwi. Ona właśnie postrzegana jest jako podstawowy składnik stosunków społecznych. Podobnie jak dla starożytnych pierwotnym kręgiem był ten domowy (*oikos*), tak

i w jego teorii rodzina oraz najbliżsi stanowią zaczątek życia społecznego. Tönnies dostrzega przy tym przejście od takiej wspólnoty naturalnej do wspólnoty ducha. Pisze: „naturalna jedność, jaką jest wspólnota krwi, rozwija się i ukonkretnia we wspólne terytorium (...). Ta z kolei przekształca się we wspólnotę ducha, to jest wspólne działanie w jednym kierunku (...) Wspólnota ducha, nakładając się na wspólnotę krwi i terytorium, tworzy swoiście ludzki, najwyższy rodzaj wspólnoty”. Rozwijając swoją teorię socjolog wskazuje

**„Kiepskie jest życie w samotności, ale i nie lepsze we wspólnocie, która zniewala. Wydaje się, że to czego potrzebujemy, to liberalizm bez samotności i wspólnota bez przymusu”**

dalej na inne związki, takie jak pokrewieństwo, sąsiedztwo czy wreszcie przyjaźń. Wspólnota (*Gemeinschaft*) pozostaje jednak dla niego zamknięta w wymiarze cielesnej obecności i jako taka „wyraża się w czynach i słowach”. Współczesność pokaże, że wcale być taka nie musi.

Historia idei wikła nas dalej w spór pomiędzy zwolennikami prymatu jednostki nad wspólnotą i wyznawcami opcji przeciwnej, co można przyrównać do niekończącej się debaty o prymacie świąt bożego narodzenia nad świętami wielkiej nocy. Oba trudno rozwiązać, a jednocześnie każda ze stron ma świadomość, iż trudno w sen-

sowny sposób wyobrazić sobie jedne bez drugich, co w pewnym sensie czyni spór nierozstrzygalnym. Jednak – tak w jednym, jak i w drugim przypadku – spierające się strony przytaczają argumentację zakotwiczoną w przesłankach historycznych, filozoficznych, politycznych, ideologicznych, kulturowych, prawnych czy nawet religijnych. Wobec ich ogromu, a także zasięgu samego sporu, na myśl przychodzi pytanie czy spór ten jest w ogóle możliwy do rozstrzygnięcia, a jeśli tak to w jaki sposób. Jednak dziś roz-

ważania o kształcie i znaczeniu wspólnoty wychodzą poza utarte niegdyś schematy i muszą sprostać wyzwaniom współczesności. Dziś myślenie o wspólnocie zdaje się już nie wykluczać daleko posuniętej indywidualizacji, a przynajmniej pozwala mieć nadzieję, że formy wspólnotowości, o których będzie tu mowa, pozostają otwarte na świadome wybory wolnych jednostek.

„Kiepskie jest życie w samotności, ale i nie lepsze we wspólnocie, która zniewala. Wydaje się, że to czego potrzebujemy, to liberalizm bez samotności i wspólnota bez przymusu” – pouczał

Zygmunt Bauman. Tylko jak to zrobić? Co jeśli faktycznie życie we wspólnocie jest nam potrzebne do osiągnięcia szczęścia czy wyznaczonych sobie celów (rozumianych nie zawsze w 100 procentach odmiennie od tego, o czym śnili starożytni)? Żyjemy przecież daleko inaczej niż oni, ciesząc się już nie tylko odkryciem unikalności czy niepowtarzalności, ale i rozwojem indywidualności każdego z nas. Z jednej strony ochoczo czerpiemy z dobrodziejstw wolności osobistej, zarówno tej określanej mianem wolności negatywnej (gdzie wolni jesteśmy, a przynajmniej być powinniśmy, od wszelkiego przymusu, strachu, czy interwencji w nasze życie prywatne), jak i pozytywnej (gdzie z kolei wskazać możemy cały katalog wolności/praw przysługujących każdemu bez wyjątku, jako jednostce). Mamy zatem tę ogromną, rozumianą po nowożytnemu, wolność, mieszczącą nasze prawo do wyznawania własnych systemów wartości, do głoszenia własnych poglądów, do rozstrzygania spraw na mocy własnego sumienia czy zmysłu etycznego etc, a zatem do samodzielnego podejmowania wyborów. W tym i do decydowania o przynależności do wspólnoty, jeśli znajdziemy taką, która będzie nam prawdziwie bliska.

Z drugiej jednak strony, przy wszelkich korzyściach, jakie płyną z cieszenia się wolnością osobistą czy z daleko posuniętej indywidualizacji, pozostaje arystotelesowska prawda, od której zbyt trudno uciec. Jakbyśmy się bowiem nie upierali, jakbyśmy się nie wili w najlepiej nawet

przyprawionym indywidualistycznym sosie, to pozostajemy „zwierzętami politycznymi”, stworzeniami potrzebującymi wspólnoty, a przynajmniej w sposób naturalny w nią uwikłanymi. Możemy się zżymać, że taka czy inna forma zaangażowania sama się o nas upomni (w najmniej spodziewanym, a czasem i najbardziej niedogodnym momencie), albo uznać – na Andrzejem Szahajem – że „uniwersalna obcość panująca w społeczeństwie nowoczesnym, rodzaj tęsknoty za swojskością, zakorzenieniem i przynależnością” jest, albo przynajmniej staje się, naszym udziałem. Szukamy zatem wspólnot, ale innych niż te, w jakie włączyły nas niemal „plemienne” schematy, wspólnot których członkami nie stajemy się w wyniku urodzenia, dziedziczenia czy niemal genetycznej przynależności, ale wspólnot, które sami wybierzemy, a może nawet sami stworzymy. Wspólnot różnego, czasem nieoczywistego do niedawna rodzaju. Wspólnot uszytych na miarę naszych indywidualnych potrzeb, odpowiadających naszym wartościom, takich, w które wejść można bez lęku, ale z pewnego rodzaju ufnością, jeśli nie nadzieją. W takich poszukiwaniach coraz trudniej odnaleźć się w myśleniu w duchu Michaela Sandela, który wskazywał, że „wspólnotowość musi być konstytutywną cechą podzielanego przez uczestników pojmowania samego siebie i przejawiać się w ich instytucjonalnych formach organizacji”. Jednostkom, także w dobie rozwijającej się sieci wirtualnych relacji i takich właśnie wspólnot owa instytucjonalizacja – szczególnie gdy konieczna



Photo by Mario Purisic on Unsplash

i narzucona – może ciążyć. Racje wydaje się mieć zatem inny komunitarianin, Michael Walzer, stwierdzając, iż „Amerykańscy komunitarianie (koledzy po fachu – MMB) muszą uznać, że nie ma nic, oprócz liberalnych jaźni, odseparowanych, mających swoje prawa, dobrowolnie się zrzeszających, korzystających z wolności słowa. Dobrze by jednak było, gdybyśmy potrafili nauczyć te jaźnie, że są istotami społecznymi, historycznymi wytworami wartości liberalnych i po części ich ucieleśnieniem”.

Przynależność o jakiej myślę, ta świadomie wybrana, nie ma się zatem kojarzyć z obowiązkiem, ciężarem czy koniecznością, ale każdo-

razowo stanowi wyrażenie siebie, świadomy i dobrowolny wybór takich a nie innych wartości czy tradycji, jakie mogą być z nimi powiązane. Już John Rawls zdawał się dostrzegać możliwość jej istnienia, w zgodzie z zasadą „co dotyczy wszystkich, obchodzi wszystkich”. A skoro tak, to faktycznie wybór wspólnoty każdorazowo byłby potwierdzeniem samego siebie, wypowiedzeniem własnego „ja”, wskazaniem przynależności, która nie musi ograniczać. Przeciwnie nawet, przy odpowiednio zaprojektowanej konstrukcji może ona dawać szansę na budowanie siebie, jeśli tylko podzielający konkretne myślenie aksjologiczne jej członkowie pozostaną ciekawi i otwarci. Co ważne, by taka – hipotetyczna

jeszcze – wspólnota miała szansę działać nie można tworzyć jej w oparciu o utarte schematy, poetykę resentymetu czy tak często powracającą w naszej kulturze retorykę wroga i przyjaciela. Przeciwnie, w jej otwartości leżałoby zachęcanie pozostających poza nią do zrozumienia, a w dalszej perspektywie do przyjęcia/na mocy wolnej decyzji uznania za swoje obowiązujących w niej zasad, do stania się jej członkami. Taka wspólnota miałaby charakter inkluzywny, zapraszający, pozbawiony krzywdzących przedłożeń, czy jakiegokolwiek formy wzajemnego

podnoszone oblicze wspólnoty. Pojawia się realne zagrożenie tak zwanej tyranii większości. Stąd też – dla otwartych indywidualności, których nie brak w dzisiejszym świecie – naturalnym wyborem jest poszukiwanie identyfikacji we wspólnotach bardziej otwartych, właśnie o charakterze inkluzywnym. Te zaś każdorazowo, nawet powielając pewien schemat, budowałyby się od podstaw, w kolejnych krokach definiując własne cele i wartości, wybierane i konkretyzowane w indywidualnych decyzjach jej poszczególnych członków. Czy musiałby by

### **Czy znajdujemy drogę pomiędzy naszym indywidualizmem, a istnieniem w grupie, w perspektywie realizowania potrzeb i celów, które wykraczają poza miarę klikalności?**

przymusu. Jej przeciwieństwo stanowi rzecz jasna wspólnota ekskluzywna, z zewnątrz niemal bez wad, prawie idealna, a przecież błyskawicznie wykluczająca ze swych szeregów tych, co „nie pasują” do wyidealizowanego obrazu świata. Bo – jak chociażby na niewielkim osiedlu – chcą za mocno lub za słabo się angażować/integrować, bo ich indywidualizm jest zbyt silny, bo dekoracje ustawiają nie na te święta, albo (o zgrozo!) chcą pomalować płot na zielono, podczas gdy w okolicy „obowiązuje” płotkowa biel. Bo wierzą, kochają, myślą inaczej. Zaczyna się wykluczenie, stanowiące inne, mniej chętnie

to być wielkie, fundamentalne, zmieniające świat wybory? Niekoniecznie, raczej wybory istotne dla tej właśnie grupy/wspólnoty, skrojone na miarę jej indywidualnych celów i potrzeb. Co może w tej chwili ważniejsze mówimy o wspólnotocie, dla której istotna jest praca nad jej kształtem, pewna ewolucja, a nie skostniałe, zastane, niepoddające się modyfikacji dziedzictwo. Równie ważna wydaje się bliskość faktycznie wyznawanych/podzielanych wartości, stanowiąca przeciwieństwo narzuconych systemów czy włóczenia w sieć wyborów, dokonywanych przez wcześniejsze pokolenia. Taka wspólno-

ta to raczej „krąg przyjaciół”, którzy wzajemnie siebie wybrali, których połączył wybór wartości pozytywnych, a nie strach, niepewność, schemat myślenia czy obowiązek. W takiej formie (fizycznej, a może również wirtualnej) daje ona dość realną szansę/możliwość nie tylko na zaspokojenie owej naturalnej potrzeby bycia z innymi/uczynienia kogoś świadkiem swojego życia, ale również pozwala na budowanie siebie, własnej indywidualności czerpiącej z tego, co teoretycy określają mianem „wspólnotowych zasobów sensu”.

Czy to jednak oznacza, że skoro wybraliśmy dla siebie jakąś wspólnotę to bezwzględnie musimy w niej trwać do końca naszych dni? Otóż nie. Skoro bowiem zakładamy/wierzymy, iż jesteśmy świadomymi, refleksyjnymi jednostkami, skoro wybieramy raczej rozwój i samodoskonalenie (w takiej czy innej dziedzinie) niż gnuśność czy stagnację, to niejako z konieczności pozostajemy otwarci na cały wachlarz opcji i możliwości. A jeśli tak, to również na zmianę afiliacji, na przetworzenie warunków aktualnej, a także na zbudowanie od podstaw nowej wspólnoty, która (znów!) będzie wolna od uprzedzeń i pozostawi opcję wejścia dla każdego, kto podziela te same wartości. Wspólnota nie musi być przecież dana raz na zawsze, a skoro przynależność nie jest genetyczna/obowiązkowa/plemienna, to nie tylko można ją zmienić, ale również można spokojnie i bez rozterek wybrać przynależność (mniej czy bardziej zaangażowaną) do rów-

nych grup czy wspólnot. Pozostaje jednak pytanie czego, jak, a także gdzie szukamy?

Niektóre spośród dzisiejszych wspólnot, budowane poniekąd według powyższych reguł, to – w zależności od punktu widzenia – coś więcej, a może przeciwnie, zdecydowanie mniej niż to, co miał do zaoferowania tradycyjny model. Kształtują je w pewnej mierze wirtualne relacje, wspólnoty zakotwiczone w grupach znajomych na poszczególnych portalach społecznościowych, budowanie na potrzebę danego eventu, powodowane chwilowym zapotrzebowaniem, konkretną akcją, wymogiem chwili. Albo przeciwnie, kształtują je, zbierając wirtualnych często ludzików, podzielane zainteresowania, przekonania bądź właśnie wartości, które gromadzą ich wokół pewnej idei/zainteresowania czy sposobu życia na chwilę, bądź na lata. Nawet jeśli członkowie owej wspólnoty mogliby nie rozpoznać się na ulicy. Czy to jednak czyni ich wspólnotę nieprawdziwą? Pytanie czy są one wspólnotami faktycznymi, czy mają szansę takimi się stać? Czy może przeciwnie, stanowią grupy pozorne, zaś jednostki wchodzące w nie na danych warunkach, tak naprawdę nie odczuwają potrzeby głębszego zaangażowania, tworzenia pozawirtualnych relacji, wystarcza im bycie razem w chwilowości, eventowości, która może oznaczać spotkanie bez większych zobowiązań itp. Pytanie czy to w ogóle są jeszcze wspólnoty, czy raczej ich pozór, dający swobodnym ludzkom atomom pozór posiadania bliskich, a tym samym

pozór tworzenia więzi, które ojcom teorii wspólnotowości wydawały się naturalne i oczywiste. Jakie są i jak tworzą się nasze dzisiejsze wspólnoty, jaki klucz znajdujemy dla ich budowania czy trwania? Czy znajdujemy drogę pomiędzy naszym indywidualizmem, a istnieniem w grupie, w perspektywie realizowania potrzeb i celów, które wykraczają poza miarę klikalności? Może być przecież i tak. Codziennie na sieci pojawiają się dziesiątki zdjęć i komentarzy dotyczących tego, jak bardzo idealne nie jesteśmy. Bo ciasto wyszło jakieś za niskie, bo kot wypazurkował gigantyczną dziurę w tapecie, bo kolory wypra-

też wspólnoty, niektóre istniejące tylko wirtualnie, inne „dziewające się” jakby na pograniczu bezcielesności i tradycyjnej obecności. Wspólnoty wcale nie gorsze od innych.

Droga ku zrozumieniu owych wspólnot została już nakreślona, gdy mówiliśmy o potrzebie wspólnoty, potrzebie, która odnajdują w sobie również świadome indywidualności. Szczegółowe odpowiedzi na powyższe pytania nie należą do najprostszych, stąd też stają się przedmiotem coraz szerszych i poważniejszych studiów nad problemem. Niektórzy chcieliby rozłożyć ręce

### **Możemy przecież postać w świat zdjęcie przypalonego ciasta, albo fantastycznej restauracyjnej potrawy, ale czy to oznacza, że podzieliliśmy się z innymi tym konkretnym doświadczeniem smaku czy zapachu?**

ne z bielą sprawiły, że połowa naszej bielizny wygląda jak po spotkaniu na krańcu tęczycy, bo obie opony w rowerze przebiły się akurat tego samego dnia, bo sąsiad zaparkował w tyle mojego samochodu, bo miasto wycina drzewa, bo należy przypomnieć sobie o szerszym rozumieniu wspólnoty i razem z innymi zająć się tym, co jest również w naszym jednostkowym interesie, bo... Albo i tak: szukamy pomocy dla zwierząt, dzieci, osób starszych; zbieramy się by obronić osiedlowy las, założyc lokalny punkt wymiany książek, skrzyknąć się by bronić swoich praw. To

w geście rozpacz i biadać nad upadkiem bycia wspólnotowego. Inni – może ci rozsądniejsi – powiedzą, że to nie upadek, ale zmiana, że wizje bycia wspólnotowego mogą być różne, co nie oznacza ich wzajemnego się wykluczania.

Czy jedno „lubię to” wystarcza dziś za całą deklarację członkowską, za wyrażenie światopoglądu, całego katalogu wartości? Czasem wystarczy jedno kliknięcie i... w ten oto prosty sposób stajemy się członkami jakiejś grupy, wspólnoty.



Czy to aż takie proste? Niektóre z grup są wyjątkowo otwarte. Żeby dołączyć do tej czy innej „wspólnoty” na facebooku wystarczy kliknąć „lubię to”, a już otrzymujemy komplet powiadomień i wiadomości dotyczącej danej grupy czy konkretnego eventu. Inne wymagają potwierdzenia przyjęcia przez moderatora. Kolejne domagają

rozrachunku potrzebujemy więzi, czy wspólnoty, to zapewne zgodzimy się również, że będziemy szukać formy przynależności skrojonej na naszą miarę. Tak żeby wspólnota wybrana nie uwierała, nie stanowiła ograniczenia, ale właśnie pozwalała nam odnajdywać siebie, ubogacać siebie, być sobą pośród innych, podobnych nam

**Dziękajcie te same wartości, a ich wspólnota ma własne sposoby manifestacji, znajdujące swoje odzwierciedlenie czy to wyłącznie w świecie wirtualnym, bądź ostatecznie przenosząc część aktywności do świata fizycznego**

się zaakceptowania obowiązującego członków regulaminu. Szybkie „klik”, w wielu przypadkach nawet bez czytania, i gotowe. Czy to jednak oznacza, że faktycznie staliśmy się członkami tej konkretnej wspólnoty? A może to tylko miraż, rodzaj widma zapewniający nam pozór zaangażowania? To zależy.

Teoretycy spierają się o ważność wirtualnego świata, o to, co nam daje, a co odbiera. Jednak – niezależnie czy to się komuś podoba, czy też nie – stanowi on trwały element naszej rzeczywistości, mający niemały wpływ na relacje, jakie budujemy, a w szerszej perspektywie na wspólnoty, których jesteśmy członkami. Jeśli zgodzimy się że faktycznie nawet najbardziej wyindywidualizowani, zatowarowani i otwarceni na inne zjawiska typowe dla nowoczesności, w ostatecznym

indywidualności. Wchodząc w przestrzeń relacji wirtualnych niekoniecznie wchodzimy w nią po to, by (jak powiedzą niektórzy) odciąć się od świata fizycznego czy szukać złudnej obecności. Przeciwnie, mądrze dysponując technologią raczej poszerzamy swój świat, a wykorzystując możliwości lepszej komunikacji nawet budujemy silniejsze więzi z tym, co są nam bliscy.

Zgoda, e-mail, skype, what's up, messenger czy wszelkie inne formy internetowej komunikacji podtrzymują więzi społeczne już istniejące, pozwalają zwiększyć częstotliwość kontaktów z rodziną, przyjaciółmi czy współpracownikami. Mają swego rodzaju łatwość zbliżania ludzi, przemieniania obcych w swoich. Wymagają przy tym naszego zaangażowania, ale wyrażanego w sposób inny, niż relacje rozumiane



tradycyjnie. To czego jednym potrzeba, innym będzie w nich brak. Tym wirtualnym brakiem przede wszystkim fizycznego kontaktu, brak mowy ciała, brak całej masy drobnych elementów, które dla wielu osób są konstytutywne dla budowania bliskości. Bo chociaż faktycznie możemy szeroko dyskutować o widzianym właśnie spektaklu czy filmie, ale inaczej byłoby zobaczyć je wspólnie i na gorąco dzielić się wrażeniami. Z drugiej strony... lotem błyskawicy nasz post o tym, a nie innym wydarzeniu dociera do wszystkich naszych przyjaciół i już widzą, już znają naszą opinię, już się podzieliliśmy. Albo inaczej, możemy przecież postać w świat zdjęcie przypalonego ciasta, albo fantastycznej restauracyjnej potrawy, ale czy to oznacza, że podzieliliśmy się z innymi tym konkretnym doświadczeniem smaku czy zapachu? Przecież nie podamy tak partne-

rowi tego bajecznego dania na widelcu mówiąc „Spróbuj”. Mogę dzielić się z całym światem moim zachwytem nad zdobytym właśnie górskim szczytem czy tą wspaniałą pełnią księżyca, ale czy potrafię zakomunikować pełnię tego doświadczenia? Badania pokazują, że internet zintensyfikował naszą komunikację, że jesteśmy ze sobą częściej, że wiemy więcej o okrucieństwach naszej codzienności, że (w końcu) jesteśmy z tej komunikacji coraz bardziej zadowoleni. Tylko owo „bycie w kontakcie” nie wszystkim nam wystarcza. Wracamy zatem do form tradycyjnych, albo inaczej, brniemy w wirtualny świat poszukując w nim form bardziej odpowiadających naszym wymaganiom. Przetwarzamy świat fizyczny na wirtualny projektując go w odpowiedniej dla nas formie, w jakimś sensie naśladującej to, co namacalne, a jednak pozostawiające nam szybszą

„drogę ucieczki” czy łatwiejszą opcję wyjścia. Szukamy wspólnot/społeczności, w których się odnajdziemy.

Przyglądając się sposobom definiowania społeczności (za Marcią P. Errfat) znajdujemy trzy główne jej pojęcia/kształty. Społeczność postrzegana być może jako instytucje solidarności; jako interakcje zasadzone na współdziałaniu ludzi i bliskich relacjach, jakie istnieją między nimi na poziomie naturalnym/niefORMALnym; czy w końcu jako instytucjonalnie usankcjonowane grupy. Takich cech nie brak społecznościom/wspólnotom istniejącym w cyberprzestrzeni. Przecież również w sieci ludzie łączą się ze sobą w analogiczny sposób. Ba, niektórzy powiedzą, że takiej „bezcieleśnej społeczności” może być w jakimś sensie łatwiej, a już niemal na pewno bez większych problemów mogłaby ona realizować chwalony przez indywidualistów model wspólnoty inkluzywnej. Takiej odpowiada także pięć najistotniejszych cech wspólnot wirtualnych, jakie wskazuje Mark Smith. Nie są możliwe do osiągnięcia w świecie wspólnot fizycznych. Smith mówi najpierw o aprzestrzenności – skoro wirtualny świat nie „dzieje się” w przestrzeni, to daje nam większe możliwości, gdyż nasze interakcje nie są ograniczone terytorialnie czy geograficznie. Dalej przychodzi antysynchroniczność – bo przecież by rozmawiać czy wymieniać informację w wirtualnym świecie, by w dalszej perspektywie budować wspólnotę czy społeczność, owa wymiana czy komunikacja nie musi odby-

wać się w czasie rzeczywistym. Trzecią spośród wskazanych cech jest acielesność, opierająca cały przekaz i budowaną relację wyłącznie na tekście. Z jednej strony wydaje się ona spełnieniem wirtualnego ideału, ale szybko ukazuje swą niewystarczalność, bo mający do dyspozycji wyłącznie słowny komunikat użytkownicy sieci szybko wynaleźli własne metody na wyrażenie mowy ciała, reakcji czy emocji. I stąd mamy emotikony, naklejki czy gify, a w dalszej perspektywie awatary. Tym samym acielesność została ograniczona/przekształcona na model „życia w sieci”, a rzeczywistość wirtualna zyskała własny wymiar komunikacji pozawerbalnej. Kolejną cechą rozważanych społeczności jest astygmatyczność, uwalniając potencjalnych członków wspólnot od cech takich jak rasa, płeć, wygląd, narodowość itd. (chyba, że dana społeczność założy inaczej), a zatem wyróżników, które w ludzkim/fizycznym świecie bywają źródłem wykluczenia. Ostatnią z cech wskazywanych przez Smitha jest anonimowość (znów zależna od ustaleń grupy, w niektórych całkowita, w innych limitowana). Wszystkie razem, na dodatek w kontekście samych rodzajów/definicji społeczności pozwalają nam uznać ich faktyczność, realność, działanie. Wszystkie razem zdają się nam dawać swoiste bezpieczeństwo, balans pomiędzy zaangażowaniem a samotnością, przy jednoczesnym zaspokojeniu naturalnej potrzeby do bycia z innymi, do posiadania kogoś, kto będzie świadkiem naszego życia. Co więcej, gdyby jednak dodać do nich element swo-

istej terytorialności (bo może cyberswiat należy jednak uznać za swego rodzaju obszar działania, wirtualnego spotkanie jednostek organizujących się we wspólnoty), to w ogólnych zarysach wspólnoty te niekoniecznie odbiegają od Tönniesowskiej „wspólnoty ducha”. Przecież dzielą te same wartości, a ich wspólnota ma własne sposoby manifestacji, znajdujące swoje odzwierciedlenie czy to wyłącznie w świecie wirtualnym, bądź ostatecznie przenosząc część aktywności do świata fizycznego. Gdyby tak wrócić do początku, do wyobrazonego domu, wspólnoty kamienicy czy sąsiedztwa, do drobnych codziennych spraw łączących jej mieszkańców, do problemów „do szybkiego rozwiązania”, do zwierzeń przy kawie, gdzie sprawy urosłe do rangi tragedii okazują się błahostkami... to przecież cały ten proces (minus kawa) dokonuje się wirtualnie. Ba, bywa nawet bezpieczniejszy, bo raz ocenieni możemy się szybko wycofać, raz zlekceważeni łatwo zmieniamy grupę, rozczarowani wartościami, odnajdujemy miejsce dla nas lepsze. Jest to inna bliskość, ale jakiś jej wymiar obecny jest w obu typach wspólnot, w tych fizycznych i wirtualnych.

Przy wszelkich jednak zaletach, plusach czy szansach jakie dają tego rodzaju wspólnoty pozostaje pytanie czy w ostatecznym rozrachunku nie jest z nimi tak, jak z wirtualnym związkiem na odległość. Dzięki internetowi mamy komunikatory, video połączenia, dowolną niemal ilość bezpłatnych rozmów o każdej porze dnia i nocy. Fakt. Związek, podobnie jak całą wspólnotę, albo i kilka, nosimy ze sobą wszędzie, ślemy w obie strony fotki ze spotkań z przyjaciółmi, uprawiamy wspólny foodporn, słuchamy razem muzyki, na odległość spędzamy razem dzień... W jakimś sensie jesteśmy blisko. Nawet się czasem spotkamy. Ale czy zawsze oznacza to, że faktycznie jesteśmy razem? Może jedynie zabezpieczamy sobie wzajemnie zaspokojenie części potrzeb, tworzymy pozór, który pięknie gdy przyjdzie nam naprawdę być razem, podejmować decyzje, realizować plany. Albo nawet prościej, gdy któreś z nas będzie potrzebowało pomocy w przytrzymaniu drabiny przy wkręcaniu żarówki. Bez niej upadnie i dotkliwie się potłucze. I co z tego, że ukochany/że ktoś z naszej wspólnoty był wtedy online? ●



## MAGDALENA M. BARAN

Doktor filozofii, historyk idei, publicystka; adiunkt w Instytucie Filozofii i Socjologii Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie. Naukowo zajmuje się problematyką wojny, filozofią polityki i etykami praktycznymi. Autorka książek *Znaczenie wojny. Pytając o wojnę sprawiedliwą* (Liberté! 2018) oraz *Oblicza wojny* (Arbitror 2018). Pracuje nad kolejną książką zatytułowaną *The Tools of War*. Zastępca redaktora naczelnego miesięcznika *Liberté!*

# LIBERAŁOWIE I LEWICA: PRZYJACIELE CZY WROGOWIE?

SŁAWOMIR DRELICH

Polityka bez wartości jest administrowaniem: nie ma potencjału mobilizacji społecznej oraz ogranicza się do obrony *status quo ante*. Polityka bez wartości nie patrzy w kierunku lepszej przyszłości, lecz ogląda potencjalną przyszłość oczyma teraźniejszości. Polityka bez wartości jest *de facto* ubezwłasnowolnieniem i zgodą na to ubezwłasnowolnienie.

Andrzej Walicki, pisząc o lewicy i jej zdobyczach, zdawał się utożsamiać ją z postępowością sensu stricto, niezależnie od tego, które z jej osiągnięć miał akurat na myśli. Lewicowe myślenie – jego zdaniem – dawało społeczeństwu siłę rozpędu i potencjał rozwoju. Kiedy zaś podejmował się refleksji na temat liberalizmu, wracał nieustannie do Isaiaha Berlina, którego uznawał za jednego z wybitniejszych twórców myśli wolnościowej, zaś za największy atut jego myśli uznawał postulat o konieczności uspołecznienia liberalizmu, uczynienia go bardziej – niektórzy się tutaj przerażają! – lewicowym.

## Razem czy osobno?

Walicki przekonuje, że współczesna lewica musi być rozumiana jako „nieodwracalność podstawowych zdobyczy państwa opiekuńczego. Nieodwracalność ewolucji myśli liberalnej w kierunku liberalizmu socjalnego”. Domagał się również nazywania „rzeczników odwrócenia tej ewolucji po imieniu, a więc określeniem »wstecznicy« – nie jest to bowiem epitet – ale dokładna nazwa zwolenników »ruchu wstecz«”. Wszelkie zatem symptomy konserwatyzmu i wolnorynkowego kapitalizmu w myśli liberalnej uznawał jako odstępstwo od postępowych kroków, jakie się w perspektywie lat i wieków w myśli wolnościowej dokonały. Dla Walickiego zatem sojusz sił postępowych, czyli lewicy i liberałów zdawał się naturalnym ruchem, służącym wszystkim ludziom. Pytanie zaś, czy współcześni liberałowie powinni zdecydować się na sojusz z przedstawicielami lewicy, pozostaje

pytaniem jak najbardziej aktualnym, szczególnie w warunkach polskich uzasadnionym.

Kluczowym jednakże przy próbie odpowiedzenia na niniejsze pytanie musi być dokonanie ustalenia wspólnego trzonu aksjologicznego, na którym ewentualna współpraca mogłaby się opierać. Gdyby nie było możliwe sformułowania takiego katalogu wartości, a protokół aksjologicznych rozbieżności byłby nazbyt szeroki, wówczas ewentualna współpraca nie powinna mieć miejsca. Wartości w polityce nie są iluzją, niezależnie od tego, jak bardzo uwierzyliśmy w strategię ciepłej wody w kranie i niezależnie od tego, jak bardzo słuszne są wnioski dotyczące końca wielkich narracji ideologicznych, jakiego doświadczamy w epoce ponowoczesnej. Każdy program polityczny opierać się musi na pewnej wizji państwa, społeczeństwa i gospodarki, zaś każda wizja państwa, społeczeństwa czy gospodarki stanowi realizację pewnych fundamentalnych wartości. Polityka bez wartości jest administrowaniem: nie ma potencjału mobilizacji społecznej oraz ogranicza się do obrony *status quo ante*. Polityka bez wartości nie patrzy w kierunku lepszej przyszłości, lecz ogląda potencjalną przyszłość oczyma teraźniejszości. Polityka bez wartości jest *de facto* ubezwłasnowolnieniem i zgodą na to ubezwłasnowolnienie.

## Budowanie wspólnoty

Istnieje niewątpliwie całkiem szeroki katalog wartości wspólnych lewicy i liberałom, które to wartości mogłyby stać się centralnymi motywami

wspólnego planu zmian. Z punktu widzenia jednostki ewentualna wspólnota aksjologiczna liberalno-lewicowa powinna wynikać z idei wolności, na której zasadza się przecież cały projekt myśli wolnościowej. Natomiast konsekwencją jej implementacji powinien być tak przez środowiska lewicowe podnoszony postulat równości. Zastrzec jednak trzeba, że środowiska liberalne nigdy nie zgodzą się na tak szerokie ujmowanie kategorii egalitarystycznych, jak to proponują socjaldemokraci, zieloni czy feministki. Na takim aksjologicznym fundamencie wolnościowo-równościowym

ochrony wolności jednostki i budowania środowiska równych obywateli musi zostać obudowana głębokim przekonaniem o konieczności ochrony praw człowieka oraz wolności i praw zagwarantowanych w konstytucji.

Z punktu widzenia państwa i jego rekonstrukcji potencjalna wspólnota programowa lewicy i liberalistów musi opierać się na idei racjonalności. Idea ta może stanowić swoisty złoty środek między liberalnymi postulatami o tzw. tanim państwie czy też państwie minimalnym a lewicowym zapatrzeniem

### **Współczesna lewica musi być rozumiana jako „nieodwracalność podstawowych zdobyczy państwa opiekuńczego. Nieodwracalność ewolucji myśli liberalnej w kierunku liberalizmu socjalnego”**

należałoby zbudować wizję środowiska, które gwarantuje człowiekowi prawne ramy dla jego wolności, czyli indywidualnego wyboru własnej drogi szczęścia. Sądzę, że swoistym minimum programowym liberalno-lewicowym powinny być takie postulaty, jak: rejestracja związków partnerskich czy wręcz równość małżeńska, równouprawnienie kościołów i związków wyznaniowych wraz z precyzyjnym określeniem rozdziału państwa od Kościoła, liberalizacja przepisów antyaborcyjnych, stworzenie spójnych i skutecznych przepisów antidyskryminacyjnych. Liberalno-lewicowa wspólnota aksjologiczno-programowa w zakresie

w państwo dobrobytu czy państwo opiekuńcze. Państwo racjonalne byłoby na tyle dofinansowane, aby być w stanie realizować podstawowe potrzeby społeczne, ale z drugiej strony konieczne musiałoby być wbudowanie w aparat państwowy odpowiednich mechanizmów ograniczających patologie i alienację, jakiej ulegać może administracyjny aparat państwa. Państwo powinno pomagać tym, którzy bez tej pomocy sami nie dadzą sobie rady, ale tym samym nie powinno pomagać tym, którzy sami skutecznie realizują i zaspokajają swoje potrzeby. Aparat państwowy musi mieć jednakowoż dostęp do wiedzy na



Photo by Chris Sabor on Unsplash

temat swoich obywateli, aby w sposób skuteczny podejmować decyzje dotyczące w szczególności polityki solidarnościowej. Polityka socjalna sama w sobie nie jest zła, tak jak złem samym w sobie nie jest nadzór i kontrola, jednakże tak mechanizmy nadzorczo-kontrolne, jak i instrumenty polityki socjalnej, muszą podlegać regularnego przeglądowni ich skuteczności. Państwo musi być

**Państwo musi być nastawione zadaniowo, zaś aby móc tę zadaniowość oceniać, potrzebuje profesjonalnej służby cywilnej, dobrych i sprawdzonych procedur oraz mechanizmów autoregulacyjnych**

nastawione zadaniowo, zaś aby móc tę zadaniowość oceniać, potrzebuje profesjonalnej służby cywilnej, dobrych i sprawdzonych procedur oraz mechanizmów autoregulacyjnych.

Natomiast w zakresie spraw gospodarczych lewica i liberałowie powinni przyjąć postulat tzw. gospodarki mieszanej. Liberałowie – szczególnie po doświadczeniach ostatniego kryzysu finansowego – powinni wymazać ze swojej pamięci mit o nieskrępowanym wolnym rynku, który choć pielęgnowany jest jeszcze przez pewne kręgi ideowo-polityczne, to w rzeczywistości całkowicie różni się ze współczesnymi realiami zglobalizowanej gospodarki opartej na wielkim kapitale. Lewica zaś musi porzucić wreszcie naiwną wiarę

w potęgę i mądrość państwowo-politycznego planisty, który – jak pokazała nam historia w XX wieku – często się myli, a poprzez swoje nadmierne i źle sformułowane regulacje ogranicza gospodarcze siły sprawcze. Potrzeba w gospodarce wsparcia dla małej przedsiębiorczości, nawet gdyby takie wsparcie miało uderzać w kapitalistyczne aksjomaty o nieingerencji, ale z drugiej

strony konieczna jest ochrona konsumentów przed dyktatem wielkich korporacji. Należy mieć świadomość, że w gospodarce zupełnie wolnorynkowej siła małego przedsiębiorcy i pojedynczego konsumenta nie wystarczy do wygrania rozgrywki z międzynarodowym kapitałem. Nie chodzi jednak o to, aby uznać ślepo międzynarodowy kapitał za potwora zjadającego wszystko, co napotka na swojej drodze, jednakże warto wiedzieć, że czasem jednak zdarzy mu się pożreć niektórych uczestników tzw. wolnego rynku.

**Granice wspólnoty**

Wspólnota liberałów i lewicy nie może być sojuszem za wszelką cenę i nigdy nie należy budować jej przede wszystkim na pragnieniu wygrania

z prawicą. Negatywne cele oczywiście niejednokrotnie skutecznie mobilizowały niezwykle różne od siebie środowiska przeciwko wspólnemu wrogowi, jednakże stosunkowo rzadko udawało im się przetrwać w jedności. Jeśli udawało im się sformułować wspólnotę aksjologiczną i programową, wówczas budowa wspólnego projektu – choćby bardzo minimalistycznego – udawała się. Dziś lewica i liberałowie mogą stworzyć front ochrony wolnych ludzi, skutecznego państwa i racjonalnie zorganizowanej gospodarki. Ochrona wolnych ludzi oznaczać musi sprzeciw wobec wszelkich form zinstytucjonalizowanej i nieformalnej dyskryminacji ze względu na jakąkolwiek cechę człowieka, czyli tolerancję wobec różnych wizji indywidualnego szczęścia, które nie zagrażają innym. Skuteczne państwo nie może być ani państwem

minimalnym, ani państwem dobrobytu – każdy sam zatroszczy się o swój dobrobyt, ale niektórzy będą w tym celu potrzebowali państwowej pomocy, mniejszej lub większej, ale przede wszystkim mądrej i realnej. Racjonalnie zorganizowana gospodarka zrywa z wszelkimi utopiami: przede wszystkim z roszczeniami ultrakapitalistycznych i hiperplanistycznych mitologii. Właśnie w tych trzech miejscach lewica i liberałowie mogą – a nawet powinni! – być razem. ●



**SŁAWOMIR DRELICH**

Politolog i etyk; adiunkt na Wydziale Politologii i Studiów Międzynarodowych UMK w Toruniu (Katedra Europeistyki); nauczyciel wiedzy o społeczeństwie w I Liceum Ogólnokształcącym im. Jana Kasprowicza w Inowrocławiu; publicysta „Liberté!”; specjalizuje się w etyce polityki i etyce mediów oraz myśli politycznej (populizm, liberalizm, libertarianizm), bada polski dyskurs publiczny; autor książek „Populistów ethos zmanipulowany” i „Wojny trybuna ludowego. Przypadek Andrzeja Leppera”.

# JAK WYGRYWAJĄ DEMOKRACJE?

MACIEJ ZAJĄC

Amerykańskiej demokracji nigdy nie brakowało szans, by zmienić się w populistyczną tyranię większości, reżim białej opresji, państwo socjalistycznej monopartii, policyjną autokrację czy chaos wzajemnie zwalczających się, łatwych do manipulacji z zewnątrz państweczek.

Jak wygrywają demokracje? Ledwo. I co-dziennie od nowa. Nikt nie wie tego lepiej niż Amerykanie, przynajmniej ci Amerykanie, którzy znają swoją historię. Tak było już z amerykańską wojną o niepodległość, wygraną przez amerykańskich patriotów tylko dzięki błędom przeciwnika i szczęśliwej koniunkturze międzynarodowej. Wygraną, dodajmy, wobec obojętności czy wręcz otwartej wrogości większości ówczesnego społeczeństwa. Tak było z przyjęciem amerykańskiej konstytucji. Chociaż dzisiaj jest ona najbardziej fetowanym dokumentem prawnym w historii świata, otoczonym w Stanach prawie religijną czcią, u zarania budziła niezwykle kontrowersje. Demonizowana jako instrument tyranii i monarchii, przeszła o włos ratyfikację w kluczowych stanach. Tak było z utworzeniem zrębów amerykańskich instytucji, postrzeganym jako, a jakże, próba wprowadzenia tyranii i monarchii. Tak było kiedy, wbrew masowemu protestom, młoda republika uniknęła samobójczej wojny z Anglią – to wtedy właśnie francuski ambasador przeprowadził pierwszą kampanię obcego wpływu na politykę amerykańską, omalże wywołując w Ameryce wojnę domową. Tak było, kiedy w reakcji na francuskie mieszanie się w amerykańskie sprawy młodzieńcy Kongres przyznał prezydentowi Adamsowi prawo do uznaniowej deportacji wszystkich nie-obywateli, a krytykę rządu obłożył karą więzienia.

Ta przydługa – a i tak mocno okrojona – lista kryzysów, które dla amerykańskiej demokracji mogły

okazać się śmiertelnymi, dotyczy tylko wypadków sprzed roku 1800, a zatem z pierwszej dekady amerykańskiego eksperymentu z władzą ludu i wzajemnie ograniczających ją i siebie instytucji. Potem poważne kryzysy konstytucyjne zdarzały się już jedynie raz na jakieś dwadzieścia lat, i tylko jeden z nich zakończył się niezwykle krwawą wojną domową, którą zwolennicy zasady respektowania wyniku wyborów mogli przegrać aż do końca. Wiek XX był jeszcze spokojniejszy – amerykańska demokracja musiała poradzić sobie jedynie z dwoma falami antykomunistycznych polowań na czarownice; Wielkim Kryzysem; próbą upakowania Sądu Najwyższego swoimi nominatami przez popularnego i nie ograniczonego kadencyjnością prezydenta; użyciem organów państwa przeciwko politycznym przeciwnikom przez prezydenta mniej popularnego; Zimną Wojną; Wojną Wietnamską i falą antywojennych protestów; wreszcie ze swoim pierwotnym grzechem systemowej opresji czarnych, czerwonoskórych i latynoskich obywateli (to przecież dopiero w momencie przyznania tym grupom pełnych praw obywatelskich i wyborczych – w roku 1965 – Ameryka stała się demokracją w obecnym tego słowa znaczeniu).

Amerykańskiej demokracji nie brakowało nigdy szans, by zmienić się w populistyczną tyranię większości, reżim białej opresji, państwo socjalistycznej monopartii, policyjną autokrację czy chaos wzajemnie zwalczających się, łatwych do manipulacji z zewnątrz państweczek. W pewnych swoich fazach czy poszczególnych regionach

kraju była ona zresztą niektórymi z tych rzeczy, czasem nawet kilkoma naraz. A jednak zawsze potrafiła dokonać autokorekty, odejść od skrajności i błędnych rozwiązań, odnaleźć, jak ujął to Lincoln, „lepsze anioły swojej natury”.

Pytanie, czy tak będzie i tym razem. Bo wybory roku 2020 bez wątplenia stanowią będą taką właśnie próbę. Kolejne zwycięstwo Trumpa i jego partii byłoby czymś znacznie bardziej doniosłym niż pierwsze, dowodząc dobitnie, że jego wybór nie był spowodowany zbiegiem nieprawdopodobnych okoliczności i nie stanowił chwilowego odchylenia od normy. W 2016 wyborcy mogli się jedynie domyślać, w jaki sposób Trump będzie

**„Oszukaj mnie raz – mawiał Ronald Reagan – wtedy to twoja wina. Oszukaj mnie drugi raz, wtedy wina jest już moja”**

zachowywał się jako prezydent; w 2020 będą decydowali na podstawie czterech lat doświadczenia. „Oszukaj mnie raz – mawiał Ronald Reagan – wtedy to twoja wina. Oszukaj mnie drugi raz, wtedy wina jest już moja”.

Przepaść pomiędzy rokiem 2016 a 2020 nie ogranicza się jednak niestety do różnicy między głosowaniem na w połowie lichą, w połowie podłą rzeczywistość rządów Trumpa zamiast na jego groteskowo niespełnialne obietnice. Republikań-

skie zwycięstwo w 2020 pokazałoby bowiem że żaden z trzech filarów dobrze funkcjonującej demokracji – dający wyraz preferencjom społecznym system wyborczy; silne, niezależne i wierne abstrakcyjnym ideom praworządności i interesu obywatelskiego instytucje; wreszcie kultura polityczna, regulująca kwestie, których ani prawo, ani wyborca regulować nie mogą – zwyczajnie nie działa, i to nie działa z przyczyn strukturalnych, usunięcie których nie jest możliwe w obrębie istniejącego systemu konstytucyjnego – a zatem nie jest możliwe bez rozumianej dosłownie rewolucji.

Są to mocne stwierdzenia, na które istnieją solidne dowody. Zaczniemy od wyborów. Mimo że

w roku 2016 Trump otrzymał prawie trzy miliony mniej głosów niż Hillary Clinton, przegrywając 46,1% do 48,2%, wygrał zdecydowaną większość głosów elektorskich – 304 do 227 – decydujących w amerykańskim systemie o prezydenturze. Stało się tak, ponieważ amerykański system nie rozróżnia między minimalnym a miażdżącym zwycięstwem kandydata w danym stanie – zwycięzca bierze wszystkie głosy elektorskie stanu, w którym wygra. Trump nie był pierwszym kandydatem w powojennej historii Stanów, który zo-



Photo by Jose Moreno on Unsplash

stał wybrany w ten sposób – George Bush Junior pokonał w ten sposób Ala Gore’a w roku 2000. Różnica między Bushem a Gore’em była jednak sześciokrotnie mniejsza – Bush przegrał o pół miliona głosów – a temperatura ich wyborczego wyścigu była zdecydowanie niższa. Teksaszczyk nie był też, szczególnie w okresie swojej pierwszej kadencji, nawet porównywalnie polaryzującą postacią, co Trump. Rekordowo popularny po atakach z 11 września, na niesławną wojnę z Irakiem ruszył z poparciem senatorów obu partii, uzyskując w wyborach 2004 roku zdecydowaną legitymację demokratyczną dla swoich działań

(z Johnem Kerry’em wygrał trzema milionami głosów).

Na podobne zwycięstwo w wyborach 2020 roku Trump nie ma szans. Wyniki wyborów do Kongresu z roku 2018, sromotnie przegranych przez prawicę, sondaże poparcia dla prezydenta czy wypowiedzi republikańskich strategów wskazują jednoznacznie, że szanse obecnego prezydenta na reelekcję opierają się wyłącznie na powtórzeniu scenariusza mniejszościowej wygranej w kolegium elektorskim (zamiast próbować zaleczyć polityczne podziały i poszerzyć swoją

bazę wyborczą, prezydent skupił się na dolewaniu oliwy do każdego możliwego ogniska sporu). Reperkusje takiego scenariusza wykraczałyby daleko poza (samą w sobie kluczową) kwestię legitymacji demokratycznej prezydenta. Po raz pierwszy w historii kolegium elektorskie okazałoby się bowiem mechanizmem metodycznie faworyzującym jedną z partii, i to na niewyobrażalną skalę (zmiana wyniku 3 z 6 kolejnych wyborów!). Jako że użyteczność Kolegium Elektorskiego jest w obecnych warunkach żadna (jest ono konstytucyjnym reliktem z czasów, kiedy młode amerykańskie stany postrzegały siebie w kategoriach niezależnych państw), Ameryka okazałaby się być tyranią mniejszości. Konkretniej mniejszości, dodajmy, sabotującej zmianę tego niedemokratycznego *status quo*.

Dlaczego Amerykanie po prostu nie zmieniają swojej konstytucji, usuwając z niej kolegium elektorskie i wprowadzając bezpośrednio wybory na prezydenta? Inny konstytucyjny relikwiarz stanowi, że poprawka do konstytucji musi zyskać nie tylko poparcie 2/3 w obu izbach Kongresu, ale zostać ratyfikowana także przez 3/4, to jest 38 amerykańskich stanów. Oznacza to, że 2% amerykańskiego społeczeństwa, zgrupowane w 13 najmniejszych Stanach, jest w stanie zablokować każdą systemową zmianę. Ponieważ polaryzacja polityczna Ameryki ma także wymiar regionalny, stanowiące bastion prawicy stany Południa i preri są w stanie zablokować – i blokują – każdą poprawkę nie na rękę partii republikańskiej i jej

ideologom, niezależnie od jakichkolwiek względów merytorycznych. Wystarczy sprawdzić, jak poradziła sobie poprawka o równym traktowaniu przez prawo kobiet i mężczyzn.

Kryzys systemu wyborczego na prezydenturze się nie kończy. W obu izbach Kongresu Republikanie także cieszą się wbudowaną w system przewagą. Członkowie Izby Niższej wybierani są w okręgach wyborczych kształtowanych przez legislaturę stanowe. Zjawisko „prycinania okręgów” – *gerrymandering* – pozwala partii, która wygra wybory stanowe na tworzenie wyborczych twierdz nie do zdobycia lub, alternatywnie, do upychania wyborców drugiej partii w takich właśnie enklawach, aby mogli mieć wpływ w jak najmniejszej liczbie okręgów. W rezultacie partia ciesząca się 50% poparcia może zgarnąć nawet 70% miejsc. Wybory stanowe roku 2010 były wielkim zwycięstwem Republikanów, i kształt okręgów kongresowych to odzwierciedla.

W senacie jest jeszcze gorzej. Ponieważ każdy stan ma w nim dwoje reprezentantów niezależnie od liczby mieszkańców, lewicowa Kalifornia i jej 37 milionów mieszkańców ma tam tyle wpływu, ile siedemset tysięcy mieszkańców Wyoming. Samych preriowych stanów tej wielkości jest 5, co daje czterem milionom zamieszkującej je konserwatywnej ludności prawo wybrania 10% składu senatu. Nie zdziwi zapewne, że Republikanie blokują włączenie do USA na prawach stanu Dystryktu Stołecznego i Puerto Rico, względnie

małych regionów o lewicowych sympatiach. Całość sprawia, że przejęcie przez Demokratów wymaga przewagi około 10 punktów procentowych w skali kraju. Partia Demokratyczna może zwyciężać miazdząco, albo nie zwyciężać w ogóle, co skutkuje zazwyczaj istnieniem rządów mniejszościowych, niezdolnych do przeprowadzenia głębokich reform.

Przeżył w wyborach prezydenckich i senackich ma też kluczowy wpływ na sądownictwo federalne, niezwykle wpływową, ale nie wybraną w wyborach trzecią władzę. Sędziów sądów fe-

deralnych nominuje prezydent za zgodą senatu, w wypadku wyższych instancji – dożywotnio. Republikanie wykorzystali ten fakt, najpierw blokując przez lata nominatów Obamy, a potem nominując na tak powstałe wakaty znaczną liczbę sędziów o radykalnie prawicowych poglądach, zmieniając balans ideologiczny sądownictwa federalnego na dekady wprzód. W Sądzie Najwyższym udało im się zastąpić znanego z centryzmu sędziego Kennedy'ego takim właśnie kandydatem. Jako że amerykański Sąd Najwyższy ma moce sprawcze praktycznie równe mocom Kongresu, a w sytuacji trwającego systemowego klinczu być może nawet większe – to właśnie on zalegalizował w Stanach aborcję, małżeństwa homoseksualne czy prawo do posiadania broni przez każdego praworządowego obywatela – przejęcie nad nim kontroli ma większe znaczenie polityczne, niż wygranie tych czy innych wyborów do Kongresu. Kolejna kadencja Trumpa oznaczałaby, ze względu na niezwykle sędziwy wiek dwójki sędziów o lewicowych poglądach, Ruth Bader Ginsburg i Stephena Breyera, republikańska super-więk-

**Autorytet reszty mediów, jako obiektywnych źródeł informacji o poczynaniach władzy, został zaś podważony w oczach wystarczająco dużego procenta prawicowych wyborców, żeby stały się one mediami dla przekonanych**

deralnych nominuje prezydent za zgodą senatu, w wypadku wyższych instancji – dożywotnio. Republikanie wykorzystali ten fakt, najpierw blokując przez lata nominatów Obamy, a potem nominując na tak powstałe wakaty znaczną liczbę sędziów o radykalnie prawicowych poglądach, zmieniając balans ideologiczny sądownictwa federalnego na dekady wprzód. W Sądzie Najwyższym udało im się zastąpić znanego z centryzmu sędziego Kennedy'ego takim właśnie kandydatem. Jako

szkość w sądownictwie na co najmniej trzy dekady do przodu. Powtórzmy – co najmniej czterech następnym prezydentów i piętnaście następnym kadencji Kongresu musiałoby operować w cieniu sądowniczego weta najbardziej spolaryzowanego składu Sądu Najwyższego w historii. Taki Sąd mógłby uznać nie tylko prawo do aborcji, ale np. dostęp do publicznej służby zdrowia i każdą inną reformę proponowaną przez Demokratów za niezgodną z konstytucją (której zmienić nie można).





Podsumowując – amerykański system wyborczy faworyzuje jedną ze stron politycznego podziału w sposób oczywiście niesprawiedliwy a wynikający wyłącznie z politycznych uwarunkowań sprzed przeszło dwustu lat. Istnieje realne zagrożenie, że wynik wyborów z roku 2020 udowodni, że opozycja nie jest w stanie przejąć w Stanach władzy nawet przy zdecydowanym poparciu jasnej większości obywateli. Jeżeli ją zdobędzie, może zostać odarta z kluczowych prerogatyw przez sędziów-radykałów, nominowanych przez obecną ekipę. Po 2020 możliwość ta zamieni się w pewność. Systemowe podstawy tych zjawisk są w praktyce niezamienialne, ponieważ

wymagałoby to poprawek w konstytucji, których zatwierdzenie nie jest możliwe przy sprzeciwie republikańskiej mniejszości, dającej jasno do zrozumienia, że nie widzi nic zdrożnego w *status quo*.

Demokracja to jednak nie tylko, a nawet nie przede wszystkim, rządy większości. To sprawujące wzajemną kontrolę państwowe i publiczne instytucje działające w obronie praw i interesów obywateli niezależnie od wyników wyborów. To mianowani na niezależne kadencje urzędnicy i specjaliści, pozostający ponad partyjnymi wojenkami i postrzegający świat w dalszej i szlachetniejszej perspektywie. Wielu czołowych ekspertów twierdziło

po wyborach, że instytucje amerykańskiej demokracji przetrwają nawet najgorszą prezydenturę. Niestety, tak się nie stało. Po okresie względnej nieśmiałości prezydent i jego klika rozpoczęli psucie państwa na wielką skalę, zaczynając od zwolnienia szefa FBI Jamesa Comey'a, prowadzącego śledztwo w sprawie rosyjskiego wpływu na amerykańskie wybory i sztab wyborczy Trumpa. Agencję Ochrony Środowiska obsadzono lobbystami branży energetycznej, negującymi globalne ocieplenie; raporty agencji wywiadowczych odnośnie ataków na integralność wyborów prezydent publicznie zignorował, twierdząc, że

bezsensowne w amerykańskich realiach prawnych, nie spotkały się co prawda z przychylną reakcją tych instytucji i ukazały granice jego wpływów. Ameryka nie przestała być państwem prawa i obywatelskich swobód, nawet jeśli rozmaite agendy rządu amerykańskiego oderwane zostały od swoich celów i uwikłane w działania bądź to bezsensowne, bądź wprost szkodliwe. Zawiodła jednak, i to na całej linii, jedna z najważniejszych demokratycznych instytucji – media.

Prawicowe stacje i portale, odrzucając wszelkie pozory, zamieniły się w tubę propagando-

### **Republikański elektorat nie jest nieświadomy wad Trumpa; głosuje na niego z pełną ich świadomością, i to właśnie jest pełną miarą upadku**

woli raczej ufać słowom Władimira Putina; doszło do prób upolitycznienia wojska i użycia go do politycznych demonstracji na granicy z Meksykiem. Upokarzanie i zwalnianie kompetentnych doradców stało się codziennością, a Biały Dom stał się siedliskiem służalczych i niezainteresowanych konsekwencjami swojego posłuszeństwa partyjniaków, o czym można poczytać np. w książce Boba Woodwarda, legendarnego demaskatora afery Watergate.

Bezprecedensowe i publiczne naciski prezydenta na sądownictwo, prokuraturę czy bank centralny,

wą ekipy rządzącej (ich dziennikarze otwarcie przemawiali na republikańskich wiecach). Autorytet reszty mediów, jako obiektywnych źródeł informacji o poczynaniach władzy, został zaś podważony w oczach wystarczająco dużego procenta prawicowych wyborców, żeby stały się one mediami dla przekonanych (mimo mniej lub bardziej przykładowego funkcjonowania). Dodatkowo część mediów dostosowała się do trumpowskiego sposobu myślenia o polityce, komentując bardziej wrażenia niż fakty, bardziej reakcje niż wypowiedzi. Przykładem może być reakcja wpływowego portalu Politico.com na zeznania

prokuratora Muellera w sprawie wpływu Rosji na wybory. Wstrząsające oświadczenie Muellera, że Rosja jak najbardziej miesza się w amerykańską politykę, a prokuratora nie postawiła prezydentowi zarzutów utrudniania śledztwa tylko dlatego, że zabronił im tego departament sprawiedliwości, określono tam jako „kiepski występ”, ponieważ prokurator nie ubrał swoich słów w wystarczająco dramatyczne sformułowania.

Sądownictwo, choć wciąż niezależne, mogą zostać zawłaszczane przez władzę, jeśli przetrwa ona wystarczająco długo – jej zakusy na jego bezpartyjność są jawne. Te media, które patrzą władzy na ręce, nie docierają do wielu segmen-

filarów amerykańskiej polityki – obu czołowych partii politycznych.

Partia Republikańska, która jeszcze dziesięć lat temu reprezentowała szerokie i zróżnicowane spektrum poglądów i wartości, które mogły konkurować o sympatię ludzi dobrej woli, zamieniła się w partię agresywnej mniejszości, utożsamiającej swój interes z interesem całości kraju i gotowej bronić swojej politycznej przewagi głosząc na dowolnych ludzi i dowolne metody. Wewnątrzpartyjni krytycy Trumpa, relikty dawnej kultury politycznej stawiającej republikę nad partią i wartości nad politycznym zyskiem zostali odarci z wszelkich wpływów. System prawyborów

### **Z Partią Demokratyczną nie jest dobrze. Z kilkuletnim opóźnieniem przechodzi ona proces sztucznej radykalizacji analogiczny do tego, który spotkał Republikanów**

tów elektoratu, a zaufanie do mediów jest niższe od dziesięcioleci. Służba cywilna i wojsko stopniowo demoralizują się pod wpływem nacisków i kierownictwa z klucza partyjnego (to na szczęście nie dotyczy jeszcze bezpośrednio Pentagonu, ale służb i dyplomacji już tak). Zagranicznych sojuszników ubywa, upadają kolejne traktaty rozbrojeniowe, wojny celne uderzają w handel zagraniczny. Najgroźniejszy jest jednak postępujący kryzys dwóch innych instytucjonalnych

zapewnia kontrolę nad partią twardemu elektoratowi i już we wczesnej fazie pozwala prezydentowi eliminować krytyków. Mocne w partii środowiska, którym do Trumpa ideologicznie daleko, takie jak chrześcijańscy fundamentaliści czy libertarianie, prezydent karmi realizując ich preferencje w kluczowych dla nich kwestiach, w zamian za co przymykają one oko na różnice (dwukrotny rozwodnik, playboy, chwalcący się na taśmach częstym molestowaniem kobiet

i niezdolny wymienić jednego cytatu z Biblii ani pojedynczego grzechu, którego by żałował, cieszy się w rezultacie rekordowym poparciem wśród radykalnych protestantów). Republikański elektorat nie jest nieświadomy wad Trumpa; głosuje na niego z pełną ich świadomością, i to właśnie jest pełną miarą upadku.

Tak oczyszczona z krytyków i moralnie znaczących osobowości Partia Republikańska realizuje program izolacjonizmu i baczności interesowności w polityce zagranicznej; program wolności podatkowej dla najbogatszych i wolności regulacyjnej dla korporacji, będący w praktyce programem kapitalizmu monopoli, w polityce gospodarczej; wreszcie reakcjonizm kulturowo-społeczny zachwycający się wizjami powrotu do lat sześćdziesiątych, gdy kobiety, mniejszości i nie-chrześcijaństwo znali swoje miejsce. Program ten alienuje kolejne grupy społeczne, zmuszając partię do polegania na wbudowanych w system mechanizmach utrzymywania władzy mniejszościowej. Zejście z tej ścieżki staje się dla Republikanów tym bardziej niemożliwe, im bardziej łamią oni wszelkie zasady amerykańskiej kultury politycznej, narażając się tym samym na odwet Demokratów i niechęć wyborców centrum. Muszą trwać przy boku nieprzewidywalnego prezydenta, od którego nie mogą się już odciąć, licząc że do wyborów powstrzyma się on od najbardziej oczywistych przejawów podłości i niekompetencji i że odziedziczona po Obamie koniunktura gospodarcza przykryje ich co bardziej drastyczne skutki.

Z Partią Demokratyczną także nie jest dobrze. Z kilkuletnim opóźnieniem przechodzi ona proces sztucznej radykalizacji analogiczny do tego, który spotkał Republikanów. System prawyborów, a także ekosystem mediów społecznościowych i konieczność zbierania mini-donacji wyborczych daje nowej fali lewicowego radykalizmu nieproporcjonalny wpływ na partię. Skupieni wokół Berniego Sandersa i Elizabeth Warren zwolennicy przekształcenia Ameryki w państwo opiekuńcze na wzór europejski wysuwają propozycje głębokich reform systemu podatkowego i ochrony zdrowia, popularne wśród twardego elektoratu, acz niekoniecznie porywające kluczowe dla wyniku wyborów centrum.

Jeszcze radykalniejsze skrzydło lewackie, skupione wokół dwudziestoosmioletniej Alexandry Ocasio-Cortez jest głośniejsze niż liczniejsze, ale zaczyna dominować image partii. Narzuca nie tylko swoją ideologię, ale język i techniki politycznego dyskursu, rozliczając partyjną starszyznę z jej postawy w latach siedemdziesiątych czy dziewięćdziesiątych według dzisiejszych standardów lewicowej ortodoksji. Ich program Nowego Zielonego Ładu, łączący radykalne postulaty Zielonych i socjalistów, daje wyraz przekonaniu, że w Ameryce należy zmienić wszystko, a stopniowe czy pojedyncze zmiany oparte na budowaniu szerokich koalicji przychodzą za późno i wnoszą za mało.

Trumpa i jego strategów raduje możliwość przedstawienia Demokratów jako obcych

amerykańskiemu społeczeństwu lewackich radykałów, dlatego koncentrują ogień na przedstawicielach ich lewego skrzydła, starając się jak najbardziej uwydatnić jego co bardziej kontrowersyjnych przedstawicieli i postulaty. Wiedzą, że kluczowa dla zwycięstwa w Kolegium Elektorskim biała klasa robotnicza ich nie polubi. Chcą następnymi sześciu lat, by ją przekonać, że pracę w fabrykach zabrali jej Meksykanie i Chińczycy, nie roboty i kryzys konsumpcji związany z rosnącym rozwarstwieniem ekonomicznym.

Amerykańskiej demokracji grozi regresywna transformacja ustrojowa – transformacja w tyranię mniejszości, która nie chce i nie umie dostrzec rzeczywistych problemów kraju. Wyborcze zwycięstwo Demokratów (albo mało realne Republikańskie zwycięstwo większości głosów) odsunie bezpośredni kryzys konstytucyjny, ale samo z siebie nie usunie systemowych wad amerykańskiego systemu wyborczego, zdolnych wygenerować kolejny. Zdecydowane zwycięstwo Demokratów będzie jednak na krótką metę konieczne. Tylko dzięki niemu instytucje państwowe mogą ulec regeneracji, a reforma systemu wyborczego dokonać się w ramach prawa i ustroju, nie zaś na drodze jakiegoś rodzaju rewolucji. Takie

zwycięstwo byłoby też na dłuższą metę błogosławieństwem dla amerykańskiej prawicy. Klęska trumpizmu pozwoliłaby elementom centrowym i propaństwowym znów znaleźć się na czele partii, i poprowadzić ją do nie o faktyczne wykluczenie większości społeczeństwa z procesu politycznego, a o głosy większości.

Ratunkiem amerykańskiej demokracji był w jej poprzednich kryzysach zwrot ku centrum, ukrócenie zakusów frakcji, które uznały swój lokalny czy ideologiczny interes za ważniejszy od litery i ducha jej pisanych i niepisanych reguł. Demokraci muszą to zrozumieć i przeciwstawić Republikańskiemu radykalizmowi i zawłaszczaniu państwa program umiarkowanych reform, zdolny zjednoczyć sporą większość Amerykanów. System wyborczy, iluzja gospodarczej stabilności i pokusa przemienienia się w lewicowe odbicie Republikanów będą działać na ich niekorzyść, a po zwycięstwie konieczność systemowej reformy postawi przed nimi dylematy pozornie nie do rozwiązania.

I może sobie z nimi poradzą. Jak Hamilton, jak Lincoln, jak Roosevelt.

Ledwo. ●

## Magda Melnyk w Bibliotece Liberté!

**Magda Melnyk** mierzy się z nieprostą próbą udzielenia odpowiedzi na to łatwo brzmiące pytanie. Obrazowo przedstawia historię ścierania się procesów centralizacyjnych z ośrodkowymi, a na tej skomplikowanej osi sporu prezentuje przebieg kształtowania się państwowości hiszpańskiej. Autorka krok po kroku demistyfikuje przeszłość, która zarówno przez nacjonalistów narodowych jak i regionalnych była i jest silnie zniekształcana dla własnych celów propagandowych. Historia stanowi jedynie punkt wyjścia dla wydarzeń współczesnych, które są meritum niniejszej publikacji. Melnyk ukazuje polityczne zależności, które bezpośrednio wpływają na kształt i funkcjonowanie regionów autonomicznych, a także na obecną niewydolność tego systemu gdy starzy gracze (ludowcy, socjaliści, nacjonaści katalońscy, monarchia) stawiają dziś czoła wielkim aferom korupcyjnym i walczą o przetrwanie. Od dawna oczekiwana reforma konstytucji, która jest jedynym antidotum na współczesny kryzys, nigdy nie wydawała się tak trudna do przeprowadzenia.



B I B L I O T E K A L I B E R T É !

L!



**MACIEJ ZAJĄC**

absolwent Ośrodka Studiów Amerykanistycznych Uniwersytetu Warszawskiego, doktorant filozofii UW, publicysta, tłumacz.

# ZROZUMIEĆ FRANCISZKA

JAROSŁAW GUGAŁA

Winni są ci, którzy kierując się swoimi politycznymi i materialnymi interesami prowadzą nieodpowiedzialną populistyczną politykę, co nieuchronnie prowadzi do społecznych i gospodarczych kryzysów, których ofiarami stają się przede wszystkim ci, w imieniu których – zgodnie z demagogiczną propagandą – taka polityka jest prowadzona.

Żeby zrozumieć papieża Franciszka trzeba poznać czasy, które go ukształtowały, gdy był młodym zakonikiem, a także później, gdy spoczywała na nim odpowiedzialność za argentyńskich jezuitów i w końcu za cały kościół w tym kraju. Jorge Maria Bergoglio wychował się i ukształtował w Argentynie rządzonej przez Juana Domingo Perona i jego następców wyznających ideologię peronizmu. Argentyński populizm Perona powstał w latach 40' XX wieku i stanowił mieszaninę nacjonalizmu, propagandy sprawiedliwości społecznej oraz idei tak zwanej „trzeciej drogi”, czyli ustroju, który miał łączyć zalety gospodarki kapitalistycznej z ideami silnego państwa i socjalistycznej sprawiedliwości w rozdziale dochodu narodowego. Ta hybryda możliwa była do utrzymania dzięki gigantycznym dochodom, jakie Argentyna czerpała z dostaw dla hitlerowskich Niemiec i Włoch Mussoliniego w czasie II Wojny Światowej. Juan Domingo Peron nie ukrywał sympatii dla faszystów. Formalnie „zerwał” z krajami „Osi” na kilka dni przed kapitulacją Trzeciej Rzeszy. Wielkie bogactwa, jakie zasiliły Argentynę w czasie wojny pochodziły nie tylko z oficjalnych dostaw surowców, żywności i produktów przemysłowych, ale również z transferu kosztowności, metali szlachetnych i wartościowych przedmiotów zrabowanych przez nazistów w okupowanej Europie. Ogromne pieniądze, które płynęły do Argentyny w czasie wojny i po niej pozwalały na prowadzenie polityki opartej na populizmie i rozdawnictwie środków, co z kolei pozwalało na zdobycie poparcia politycznego.

Niesprawiedliwy i skorumpowany system rządów przez umiejętną propagandę był przedstawiany jako wrażliwość i sprawiedliwość społeczna. W świadomości Argentyńczyków lata 40' utrwaliły peronizm jako opiekuńczy ustrój dobrobytu. Późniejsze nieuniknione problemy gospodarcze i społeczne, będące skutkiem nieodpowiedzialnej i populistycznej polityki peronistowskich elit władzy, nie zmieniły pozytywnego nastawienia rzesz argentyńskiego społeczeństwa. Peronizm w rozmaitych postaciach, często odległych od swojego pierwowzoru, nawet dziś pozostaje najważniejszą doktryną polityczną w Argentynie.

Tego rodzaju ustrój był i poniekąd jest możliwy z powodu braku demokratycznych tradycji oraz nierozdzielenia polityki od wymiaru sprawiedliwości, czy jak kto woli z braku trójpodziału władz. Populistom sprzyjają również typowo latynoskie mity społeczne, takie jak „wodzostwo” (*caudillismo*), które prowadziły społeczeństwa Ameryki łacińskiej w stronę dyktatur. Warto przypomnieć, że wodzostwo latynoamerykańskie wywodzi się z mitów założycielskich państw kontynentu, opartych na wierze w wyzwolicielską rolę hiszpańskich generałów, którzy opowiedzieli się za niepodległością zamorskich posiadłości Królestwa Hiszpanii. Z punktu widzenia Hiszpanii byli to zdrajcy, dezercerzy i przemytnicy. Z punktu widzenia nowych społeczeństw krajów Ameryki łacińskiej – twórcy państwowości i wyzwoliciele (*libertadores*). Wracając do peronistów oraz skutków ich polityki należy odnotować, że Jorge Maria Bergoglio

był świadkiem potężnego kryzysu, który zaczął się w latach 60'. W tym samym czasie doszło do konfrontacji między blokiem komunistycznym a Stanami Zjednoczonymi i wolnorynkowa zachodnią Europą. W Ameryce łacińskiej kapitalizm był ustrojem niesprawiedliwym i oligarchicznym. Dla wielu ludzi komunizm zaszczerpiony na Kubie w 1959 roku stał się paradygmatem walki ze złem i niesprawiedliwością. Również wielu ludzi Kościoła wierzyło w propagandę realnego socjalizmu. Na całym kontynencie szerzyła się tak zwana „teologia wyzwolenia”. Reakcją na komunistyczne zagrożenia stały się rządy wojskowych junt, które dokonywały zbrodni w imię obrony społec-

zmu, który wówczas „puszczał oczko” w stronę komunistów. To wszystko musiało mieć wpływ na późniejszego papieża Franciszka, który z pozycji człowieka wiary i teologa obserwował społeczne i polityczne konwulsje swojego kraju. Zapewne podróże do Niemiec i Włoch pozwoliły mu na większy dystans wobec politycznej gorączki własnego kraju, ale z pewnością nie ochroniły go przed trudnymi wyborami tak dramatycznych czasów, które skończyły się wprowadzeniem wojskowej dyktatury.

Rządy wojskowych w Argentynie (1976-83) były niedemokratyczne. Władza dopuszczała się

### **Populistom sprzyjają również typowo latynoskie mity społeczne, takie jak „wodzostwo” (caudillismo), które prowadziły społeczeństwa Ameryki łacińskiej w stronę dyktatur**

czeństw przed komunistycznym totalitaryzmem. Każdy człowiek i każdy duchowny był poddany silnej presji obu stron zyskującego na sile konfliktu. Doświadczał tego również Jorge Maria Bergolio, który wstąpił do zakonu w czasie rewolucyjnego wrzenia na Kubie w 1958 roku, a święcenia kapłańskie przyjął w okresie zimnowojennej konfrontacji, jaka miała miejsce na całym kontynencie latynoamerykańskim. W 1973 – w roku złożenia wieczystej profesji – wraz z całą Argentyną przeżył kolejną falę kryzysu i peronistowskiego populi-

w tym czasie wielu nadużyć, przestępstw i zbrodni. Tysiące ludzi na własnej skórze doświadczyło okrucieństwa ówczesnych rządów. Junta nie wzięła się jednak z nikąd. Jej powstanie było wynikiem konfrontacji Związku Radzieckiego ze Stanami Zjednoczonymi i szeroko pojętym Zachodem. Konfrontacji, której celem było zdobycie ideologicznych i politycznych wpływów na całym kontynencie. Była to konfrontacja autorytarnego ustroju, jaki panował w ZSRR i krajach Europy Wschodniej, a także w Chinach, Kampuczy i Korei



Północnej, ze światem wartości symbolizowanym przez Europę Zachodnią i Stany Zjednoczone. Walka szła o rząd dusz na kontynencie, na którym demokracja i wolny rynek działały w sposób często bardzo odległy od charakterystycznych dla nich zasad oraz ideałów.

Ojciec Juan Maria Bergolio – jak większość obywateli Argentyny oraz wielu innych krajów Ameryki łacińskiej – w czasie nasilenia zimnej wojny na kontynencie w latach 60' i 70' znalazł się w położeniu nie do pozazdroszczenia. Z jednej strony napierał ideologiczny zapach „rewolucjonistów”, podsycany przez Fidela Castro, który po wygraniu wojny domowej i przejściu władzy w Hawanie w 1959 roku przeszedł na pozycję „marksistowsko-leninowskie” i otwarcie głosił, że jedyną drogą do zdobycia władzy w krajach Ameryki łacińskiej jest wojna partyzancka, dy-

wersją, terroryzm i walka z bronią w rękę. Swoich przeciwników określał mianem imperialistów oraz faszystowskiej oligarchii. Takimi obraźliwymi epitetami Fidel Castro i inni zwolennicy marksizmu-leninizmu w swoich płomiennych wystąpieniach, podczas licznych lewicowych konferencji, obdarzali wszystkich, którzy „nie są z nami”. Dotykało to także towarzyszy z innych komunistycznych partii Ameryki łacińskiej. Taki los spotkał Komunistyczną Partię Argentyny, która początkowo nie chciała organizować w swoim kraju partyzantki i uważała, że może walczyć o poparcie demokratycznymi metodami. Wiarę w możliwość wyborczego zwycięstwa kubański dyktator krytykował w ostrych słowach i nazywał mrzonką oraz okłamywaniem ludu pracującego miast i wsi.

Warto podkreślić, że dla pozostałych pod silnym wpływem sowieckiej propagandy epoki

Chruszczowa i Breżniewa lewackich „rewolucjonistów” w wielu krajach, jednym z głównych przeciwników była wiara, a zwłaszcza Kościół katolicki. Oratorskie popisy kubańskiego Comandante, a także jego towarzysza z Argentyny, Ernesto Che Guevary, budziły czasami zaniepokojenie nawet wśród towarzyszy radzieckich, a co dopiero wśród przedstawicieli rządów krajów Ameryki Łacińskiej. Jednak Fidel Castro, w bezwzględny sposób krytykując Stany Zjednoczone jako siedlisko wszelkiego zła i ostoję światowego „imperializmu”, początkowo cieszył się sympatią wpływowych europejskich, zwłaszcza francuskich, myślicieli i publicystów. Ich bezkrytyczne podejście do ZSRR w latach powojennych, przemykanie oczu na łagry, tortury, sądowe bezprawie, czystki etniczne i powszechne łamanie praw człowieka w imię ideologii, która samą siebie określała jako wyższą i służącą sprawiedliwości społecznej, dopiero z czasem zmieniało się w bardziej realistyczny stosunek do realnego socjalizmu. Jednak nigdy nie przybrało form tak zdecydowanych i odrzucających jak wobec drugiego europejskiego totalitaryzmu, jakim był faszyzm.

Równie zbrodniczy komunizm Stalina, stając się sojusznikiem Zachodu w walce ze zbrodniczym nazizmem Hitlera, zyskał pozycję partnera, nie wroga, a także życzliwe zainteresowanie wielu wybitnych myślicieli, intelektualistów, dziennikarzy, artystów i polityków Zachodniej Europy. Realny socjalizm dla części z nich był alternatywą wobec niesprawiedliwego kapitalizmu i nadzieją na lep-

szy świat. Lista naiwnych „pożytecznych idiotów”, którzy świadczyli ZSRR tego rodzaju usługi jest długa. Ich postawę lapidarnie streścił francuski pisarz Albert Camus mówiąc, że błędne idee zawsze prowadzą do rozlewu krwi, ale ponieważ jest to zawsze krew innych, niektórzy myśliciele bez jakichkolwiek zahamowań wygadują co im ślina na język przyniesie. To gadanie w wielu krajach Trzeciego Świata doprowadziło do zbrodni, a nawet do ludobójstwa.

Sylwetki niezłomnych kubańskich rewolucjonistów, którzy grają na nosie jankeskim imperialistom u wybrzeża imperium zła – bezkrytycznie idealizowanych przez europejskich intelektualistów – budziły sympatię i nadzieję uciemiężonych przez niesprawiedliwy kapitalizm jak świat długi i szeroki. Chruszczow szybko wyczuł szansę, jaką stanowił antyamerykańsko nastawiony kubański brodac i zaczął wykorzystywać Kubę jako eksportera „rewolucyjnych” idei na cały kontynent. Ideolodzy komunizmu zakładali, że Ameryka Łacińska, z jej niesprawiedliwościami społecznymi i biedą, będzie doskonałym terenem ekspansji radzieckich wpływów. Co za tym idzie bardzo łatwą zdobyczą. Wobec niezdecydowania i słabości rządów na kontynencie oraz bierności imperium z północy dokonywanie komunistycznych przewrotów wydawało się proste. Skoro bogata Kuba z łatwością, a nawet z entuzjazmem, oddała się w ręce zwolenników „postępowej” ideologii, to w innych biedniejszych i dużo gorzej rządzonych krajach zadanie wydawało się

łatwiejsze. Skoro w sprawie leżącej u jej wybrzeży wyspy jankesi wykazali niezdecydowanie i niezręczność, to w odległych o tysiące kilometrów Chile, Urugwaju czy Argentynie, w których partie komunistyczne istniały od lat 20' XX wieku, warunki do zbudowania sojuszniczych rządów na wzór kubański były nieporównanie lepsze. Także następcy Chruszczowa, Breżniewowi przejęcie kolejnych krajów wydawało się tylko kwestią czasu. Kolejnym po Kubie komunistycznym krajem na kontynencie miało być Chile. Tam sytuacja

sił zbrojnych, generała Augusto Pinocheta. Trzy miesiące później Pinochet dokonał wojskowego przewrotu stanu i ukonstytuował juntę, która rzeczywiście obroniła Chile przed komunizmem, ale do dziś jest rozliczana z dokonanych w czasie swoich rządów przestępstw i zbrodni. Doradcy kubańscy i radzieccy, a także agencji z krajów demokracji ludowej szkolili wówczas „rewolucjonistów” z Brazylii, Urugwaju, Boliwii i Argentyny i innych krajów. Wszędzie tam udało się pozyskać ludzi, których zadaniem była propaganda

### **Wrażliwość i pragnienie sprawiedliwości oraz dobra w życiu społecznym pchały ich w stronę ustroju, który obiecywał równość, sprawiedliwość i rządy mądrych, szlachetnych ludzi, a nie bezwzględną dyktaturę kapitału**

wydawała się o tyle łatwiejsza, że lewica doszła do władzy w demokratycznych wyborach. Salvador Allende bardzo szybko stał się zwolennikiem rewolucyjnej ideologii, która w kilka lat doprowadziła do potężnego kryzysu, paraliżu gospodarczego kraju i hiperinflacji. Oczywiście winę za te problemy propagandyści lewicowych rządów zrzucali na USA. Tak samo jak czynią to do dziś w przypadku zrujnowanej przez rządy komunistów Kuby. Utrzymanie władzy mogła chilijskim komunistom zapewnić tylko internacjonalistyczna „braterska” pomoc ZSRR. Po taką pomoc do Moskwy Allende wystąpił swojego dowódcę

ideologiczną, szukanie zwolenników, szkolenie dywersantów i organizacja podziemnych struktur przyszłej władzy.

Jednak przykład Chile nie poszedł w las. Po przewrocie w Chile rządy krajów latynoamerykańskich działały szybciej i w sposób jeszcze bardziej zdecydowany. Partyzanci, którzy mieli dokonać zamachów stanu stali się zwierzyzną łowną dla wojska, służb specjalnych i policji. Zagrożoną demokrację, pod pretekstem walki z komunistyczną dywersją, zastępowały junty wojskowe, które w brutalny sposób rozprawiły



się z agentami „rewolucji”, wśród których było wielu idealistów i ludzi dobrej woli, wierzących, że nowy ustrój może zlikwidować niesprawiedliwości i rządy pazernej oligarchii w ich krajach. W wizję komunistycznego raju na ziemi uwierzyło tysiące studentów, intelektualistów, przedstawicieli wolnych zawodów, a także duchownych. Wrażliwość i pragnienie sprawiedliwości oraz dobra w życiu społecznym pchały ich w stronę ustroju, który obiecywał równość, sprawiedliwość i rządy mądrych, szlachetnych ludzi, a nie bezwzględną dyktaturę kapitału. Ich marzenia zostały brutalnie stłamszone przez wojskowych, z których wielu również działało z patriotycznych pobudek, widząc w sobie obrońców ojczyzny i świata przed zbrodniczym totalitaryzmem. Cel, jakim było uchronienie ich krajów przed losem Kuby, w mniemaniu wielu z nich uświęcał środki, jakie stosowano zwalczając marksistowsko-le-

ninowską dywersję. W swoim mniemaniu obie strony działały zatem w imię szlachetnych celów. W większości krajów kontynentu rozgorzała zacięta walka, której paradygmat można porównać do konstrukcji klasycznej tragedii. Każda ze stron realizowała swoje cele, a konflikt był nieuchronny. Zwyczajni ludzie byli między młotem a kowadłem. Podziały zrodzone w tamtym czasie trwają do dziś. Zło wówczas uczynione daje owoce w postaci nienawiści i chęci dokonania rozliczeń. Przedstawiciele wojskowych junt wskazują na fakt, że po kilku latach rządów i opanowaniu sytuacji wojsko oddało władzę i umożliwiło powrót do pełnej demokracji. Na Kubie komuniści władzy nie oddali do dziś. Porównując los Kubańczyków i Chilijczyków można przyznać rację wojskowym. Nic jednak nie może wytłumaczyć i usprawiedliwić zbrodni, których dokonali. Z drugiej strony nic również nie może usprawiedliwić rabunków,

przestępstw, zbrodni i powszechnego łamania praw człowieka, których na Kubie dopuszcza się reżim Fidela Castro. Jego konto obciąża również gospodarcza ruina kraju i powszechna nędza, jaką zgotował swoim rodakom.

Na koniec chcę wrócić do Jorge Bergoglio i jego domniemych win wobec dwóch duchownych, którzy stali się ofiarami represji wojskowej junty w Argentynie. Przychodzą mi na myśl oskarżenia Józefa Glempa o to, że nie uchronił Jerzego Popiełuszki przed męczeńską śmiercią z rąk naszej wojskowej junty. Na szczęście nikomu nie przyszło do głowy oskarżać Karola Wojtyłę o współpracę z juntą w czasie gdy bezpieka prześladowała i mordowała polskich księży. Być może wysocy rangą hierarchowie polskiego Kościoła także są temu winni? Może zrobili za mało, żeby ich ochronić i ocalić? Może ich kontakty w władzę

też można nazwać kolaboracją z juntą? Mnożą te absurdalne pytania i porównania, żeby pokazać w jakiej sytuacji znalazł się papież Franciszek. To nie Jorge Bergoglio jest winien prześladowań księży w Argentynie. Winni są oprawcy z czasów junty i winni są ci, którzy zasiali ten wicher historii, doprowadzając do brutalnej i zbrodniczej konfrontacji. Winni są również ci, którzy kierując się swoimi politycznymi i materialnymi interesami prowadzą nieodpowiedzialną populistyczną politykę, co nieuchronnie prowadzi do społecznych i gospodarczych kryzysów, których ofiarami stają się przede wszystkim ci, w imieniu których – zgodnie z demagogiczną propagandą – taka polityka jest prowadzona. Papież, który z bliska widział szalbierstwa populizmu i jego skutki, z pełną – bolesną zapewne – świadomością daje nam wzór człowieczeństwa i fundament nieprzemijających wartości, których jest orędownikiem. ●

## JAROSŁAW GUGAŁA



**Dziennikarz, prezenter telewizyjny. W latach 90' dyrektor I Programu TVP oraz Telewizyjnej Agencji Informacyjnej. Reporter i prezenter Wiadomości oraz programów publicystycznych. Od 2003 dziennikarz TV Polsat. Prowadzący programy informacyjne, komentator i publicysta POLSAT NEWS. Był szefem Wydarzeń oraz Pionu Publicystyki i Informacji TV POLSAT. Współpracuje jako dziennikarz z wieloma tytułami prasowymi i rozgłośniami radiowymi. Wykładowca dziennikarstwa: Uniwersytet Warszawski, Uniwersytet SWPS i Collegium Civitas.. W latach 1999-2003 dyplomata – ambasador RP w Urugwaju. Absolwent iberystyki na Uniwersytecie Warszawskim oraz studiów doktoranckich z ekonomii w Kolegium Ekonomiczno-Społecznym Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie. Hobby: piosenka literacka. Muzyk i autor tekstów oraz przekładów. Współtwórca Zespołu Reprezentacyjnego wykonującego poezję śpiewaną i piosenki literackie.**

# WOLNOŚĆ NIE MOŻE IŚĆ W PARZE Z DZIADOWSKIM PAŃSTWEM

Z PAULINĄ MATYSIAK I MARCELINĄ ZAWISZĄ  
ROZMAWIA SŁAWOMIR DRELICH

**Sławomir Drelich:** W ostatnich tygodniach cała Polska oglądała miniserial „Czarnobyl”. Czy to jest rzeczywiście film o przeszłości, o tym, co ponad trzydzieści lat temu wydarzyło się gdzieś w Europie? A może jest to raczej film o przyszłości?

Marcelina Zawisza: Ten serial opowiada o wielu rzeczach, ale dla mnie to przede wszystkim film o konsekwencjach tzw. taniego państwa; o tym, w jaki sposób brak procedur czy też lekceważące do nich podejście wpływa na działanie najważniejszych instytucji tego państwa, jak oszczędzanie na materiałach może prowadzić do tragedii. W „Czarnobylu” widzimy dwie rzeczy. Pierwsza to oczywiście wyparcie. Strach przed zgłoszeniem awarii i podjęciem interwencji. Strach przed opresyjnym państwem i jego aparatem. Wszyscy przez lata kłamią po to, żeby nie pokazywać słabości państwa. Drugi obraz to właśnie to tanie państwo. Główną przyczyną awarii finalnie okazało się zastosowanie najtańszych rozwiązań technologicznych. Pręty borowe mają końcówki z grafitu, który zwiększa reaktywności, bo tak było taniej. Ta mieszanka doprowadziła do strasznej tragedii. W tym sensie serial jest dla mnie opowieścią zarówno o przeszłości, jak i o przyszłości.

**Ale mówiąc o tanim państwie masz na myśli państwo liberalne czy też jakąś wersję tego modelowego państwa minimalnego? Mi się wydawało, że ten se-**

**rial opowiada raczej o państwie totalitarnym, a nie o państwie liberalnym.**

MZ: Wydaje mi się, że można na niego patrzeć również z dzisiejszej perspektywy – i w tym sensie mówi o jednym i drugim. Dlatego powiedziałam o strachu i obawie przed zgłoszeniem awarii. Wyparcie jej przez kolejne osoby jest efektem obawy, że będzie się obarczonym odpowiedzialnością za jej wywołanie. Nie bez przyczyny pojawia się tam dość wymowne przemówienie jednego z dygnitarzy, który przekonuje, że wszyscy powinni mieć do państwa zaufanie, gdyż państwo sobie ze wszystkim poradzi. Państwo, to znaczy partia. Takie podejście jest absurdalne, ale dzisiaj też się z nim spotykamy. Gdy wielkie korporacje doprowadzają do wycieków ropy, czy innych katastrof ekologicznych, to przecież też próbują to ukrywać, mówić, że mają wszystko pod kontrolą. Wielkie korporacje tytoniowe fałszowały wyniki badań mówiące o szkodliwości palenia. Przykłady można mnożyć. I dlatego potrzebujemy z jednej strony silnych instytucji państwowych, które są dobrze zarządzane i potrafią sobie radzić w różnych sytuacjach, ale z drugiej kontroli społecznej nad tymi procesami. A demokracja i dobre, sprawne państwo kosztują. Weźmy przykład budowy polskich dróg. Przypomnijmy sobie zasady rozstrzygania przetargów. Co było najważniejsze? Jak najniższa cena oczywiście. Znaleźć więc można szereg przykładów wycofywania się wykonawców, niedokończonych dróg. Bo jak coś kosztuje 700 mln, a państwo za realizację tego oferuje



560 mln to oczywiście, że znajdzie się ktoś kto to zrobi. Ale jaki będzie skutek? Brak umów o pracę dla pracowników, najtańsze materiały, które się szybko zużyją. Dwa lata po zbudowaniu drogi są w niej dziury? Ciekawe dlaczego! A przecież mówimy o miejscu budowy, które powinno zatrudniać ludzi na umowę o pracę, ponieważ gdyby miało dojść do wypadku, to ci ludzie zostają bez niczego. Przez ostatnich kilkanaście lat mieliśmy niestety do czynienia z takim, wręcz wypowiedzianym wprost, założeniem zamówień publicznych, że budować można z najtańszych materiałów, przy użyciu niemalże niewolniczej pracy.

**Potrzebujemy z jednej strony silnych instytucji państwowych, które są dobrze zarządzane i potrafią sobie radzić w różnych sytuacjach, ale z drugiej kontroli społecznej nad tymi procesami. A demokracja i dobre, sprawne państwo kosztują**

**Ale finalnie okazało się, że polskie autostrady wcale nie są takie tanie. Cena budowy kilometra polskiej autostrady mieści się mniej więcej w okolicach średniej europejskiej, jednakże choć jest niższa od autostrad budowanych przez Austriaków czy Węgrów, ale jednak wyższa od kilometra autostrady budowanej w Czechach czy nawet Niemczech.**

MZ: Ale jak zapytamy ludzi, którzy przy ich budowie pracowali, to okazuje się, że ani nie budowali ich z wysokiej jakości materiałów, ani w oparciu o dobre umowy o pracę. Tak naprawdę więc stworzyliśmy w Polsce potworka. Dotyczy to zresztą nie tylko budowy dróg.

**Czyli mam rozumieć, że państwo powinno być drogie i że wy jako Lewica Razem zachęcacie właśnie do popierania drogiego państwa?**

Paulina Matysiak: Zaraz powiem o tym – jak sam określiłeś – drogim państwie. Najpierw jednak pozwól, że odniosę się do serialu „Czarnobyl”. Zgadzam się oczywiście z diagnozą Marceliny

na temat przyczyn tej katastrofy i tego, że ludzie, których poznajemy w serialu, nie chcieli mówić o tym, co tak naprawdę się stało. Wiemy oczywiście, że ludzie ci obawiali się reakcji władz i tego, że zostaną ukarani czy też, że zostaną obciążeni winą za zdarzenie. Widzimy jednak przede wszystkim, że pokazana w serialu wierchuszka polityczna zupełnie nie chciała się zmierzyć z problemem. Nie zamierzali słuchać,

że pojawił się jakiś problem, ale chcieli słyszeć, że jest dobrze, pomijając i bagatelizując realne zagrożenia, z którymi mieli do czynienia. Mamy też postać naukowca, fizyka jądrowego, który we współpracy z aparatchykiem partyjnym ostatecznie zatrzymuje katastrofę i ratuje sytuację...

**Symboliczny dowód na to, że nauka wygrywa z polityką?**

PM: Tak, zdecydowanie. Takie jest również przesłanie tego serialu: żeby liderzy polityczni słuchali ekspertów, praktyków, osób, które mają realny kontakt z problemami i zagrożeniami, a także dysponują pomysłami na ich rozwiązanie. Całkowicie zdyskredytowano politycznych przywódców, którzy ignorując naukowe świadectwa, przekonywali, że aparat państwa da sobie radę ze wszystkim. Najbardziej paradoksalne jest to, że w realiach demokratycznych wielu ludzi mogło uwierzyć takim politycznym liderom, a przecież mogło to się skończyć katastrofą na gigantyczną skalę, śmiercią nie tylko tysięcy, ale wręcz milionów ludzi. Ja zatem poszłabym w tym właśnie kierunku, jeśli chodzi o interpretację przesłania tego serialu: niekoniecznie triumf nauki, ale wskazanie, że głos świata nauki powinien być słyszalny i słuchany przez polityków. W serialu też pokazano, że nie zawsze pierwszy pomysł na rozwiązanie istotnego problemu okazuje się tym pomysłem najskuteczniejszym, a zatem okazuje się, że warto słuchać wielu doradców czy ekspertów. To niewątpliwie bardzo dobry sposób na radzenie sobie z kłopotami,

wobec których stajemy współcześnie. Mamy tu krytykę aparatu władzy, który zupełnie wyalienował się od problemów obywateli, a jego celem stało się samo dążenie do utrzymania władzy. Jak się okazuje, politycy nie zawsze wiedzą, co i jak robić, szczególnie w sytuacji, kiedy wymaga się szybkiego podejmowania decyzji i reagowania kryzysowego.

**Według Was zatem lepszym rozwiązaniem na te wszystkie bolączki byłoby drogie państwo?**

PM: Czasami może i okazałoby się drogie, ale przecież wysoka jakość kosztuje. Nie można oszczędzać na ludziach, którzy korzystają z tego wszystkiego, za co państwo płaci i nam przekazuje.

MZ: Przecież ochrona zdrowia kosztuje, mieszkania kosztują, autostrady kosztują, oświetlenie kosztuje. Kosztuje też zapewnienie bezpieczeństwa obywatelom, czyli policja, straż pożarna, pogotowie ratunkowe. Wszystko to kosztuje.

**Nie przesadzajmy, przecież minister Anna Zalewska pokazała, że można przeprowadzić reformę bezkosztowo.**

MZ: Tak, tak, na pewno. Wszyscy każdego dnia widzimy, jak bezkosztowo została ona wprowadzona. Prezydenci największych miast wystali rachunki do ministerstwa edukacji, a dzieci z podwójnego rocznika – nawet te z bardzo dobrymi wynikami egzaminów po gimnazjum czy szkole

podstawowej – mają problem z dostaniem się do szkół. Koszty zostały zepchnięte na innych.

PM: Wczoraj jechałam pociągiem i przypadkowo byłam świadkiem rozmowy pasażerów, z których jeden – warszawiak – opowiedział historię swojej córki, która ukończyła w tym roku gimnazjum. Opowiadał o całej procedurze składania dokumentów i rejestrowania się młodzieży w systemie rekrutacyjnym. Tym jednak, co najbardziej utkwiło mi w pamięci, było niekoniecznie to, że panuje chaos i że te wszystkie dzieci przeżywały ogromny stres, tylko to, co – jak opowiadał – stało się z jego córką. Powiedział on swojemu koledze, że jego dziecko w ciągu roku postarzało się o dwa lata, że na bieżąco obserwował wszystkie stesy swojego dziecka przez cały ostatni rok. Cały ten chaos, dezinformacja i niewiedza na temat tego, co będzie dalej i jak to będzie w czerwcu i lipcu w praktyce wyglądało, sprawiło, że dzieci i ich rodzice znaleźli się w niesamowicie trudnej i stresogennej sytuacji. Wśród moich znajomych również są rodzice, których dzieci należą do tego tzw. podwójnego rocznika, i oni wszyscy zwyczajnie są wkurzeni. Mają przekonanie, że zostali zostawieni samym sobie, że dla ich dzieci nie ma miejsc w szkołach.

Ten problem ma jednak dwie strony. Kiedy ostatnio rozmawiałam z nauczycielami z mniejszych miejscowości niedaleko Torunia czy Aleksandra Kujawskiego, to oni mi uświadomili, że cała ta reforma uderza w takie małe i prowincjonalne

szkoły średnie. Okazuje się, że paradoksalnie, mimo że mamy teraz ten podwójny rocznik, to jednak może zdarzyć się tak, że w tych szkołach może nie dojść do uruchomienia ani jednej klasy pierwszej, bo nie będzie wystarczającej liczby chętnych. Niekoniecznie więc będzie tak, że do każdej szkoły średniej absolwenci gimnazjów i podstawówek muszą walić drzwiami i oknami, bo największym zainteresowaniem cieszyły się licea w dużych miastach. Pamiętać trzeba, że przecież klasy pierwsze po gimnazjum i pierwsze po szkole podstawowej pracować będą według odrębnych podstaw programowych, nie będzie zatem możliwości łączenia tych klas nawet na niektórych zajęciach, a w przypadku niewystarczającej liczby uczniów oddział klasowy może po prostu nie zostać uruchomiony.

Problem ten ma zatem dwa końce. Dotyczy on nie tylko uczniów, ale również nauczycieli, dyrektorów szkół, jednostek samorządu terytorialnego i całej społeczności lokalnej, która wokół tych szkół średnich – szczególnie w małych miejscowościach czy na wsiach – funkcjonuje.

MZ: Przede wszystkim każda reforma – wbrew temu, co mówiła była pani minister Zalewska – kosztuje.

**Ale skoro cały czas krążymy w oparach nieskutecznego i źle zorganizowanego państwa, które nie jest w stanie zabezpieczyć realizacji określonych potrzeb**



## PAULINA MATYSIAK

Paulina Matysiak, kutnianka, z wykształcenia filolożka. Członkini Zarządu Krajowego Lewicy Razem. Do polityki weszła na fali Czarnego Protestu. Zawodowo zajmowała się wdrażaniem i realizacją Kutnowskiego Budżetu Obywatelskiego. Współpracuje z wieloma organizacjami pozarządowymi i kombatanckimi. Działa na rzecz partycypacji społecznej. Ważne są dla niej sprawy kultury i równego dostępu do usług publicznych wysokiej jakości. Bojowniczką broniącą żeńskich końcówek, która w wolnych chwilach układła do przyjaciół listy, czyta dobrą literaturę i cieszy się kolorowymi atramentami. I jak na liderkę lewicy przystało, pisze lewą ręką..

**społecznych, to czy w takim razie serial „Czarnobyl” może być dla polskiego widza swego rodzaju przestrożą czy też przynajmniej znakiem ostrzegawczym? Mam na myśli zagrożenia ekologiczne.**

MZ: Niekoniecznie. Myślę, że kluczowa sprawa, o której w tym serialu się mówi, to kwestia bezpieczeństwa. Sądzę, że to, co łączy ten film z problemami klimatycznymi czy energetycznymi, to to, że dość przypadkowo pojawił się wtedy, kiedy toczyła się dyskusja na temat budowy elektrowni atomowej w Polsce. W Polsce jest dość wysokie poparcie dla budowy elektrowni atomowej i nie wydaje mi się, aby pojawienie się tego serialu miało coś w tym zakresie zmienić albo przeformułować dyskurs dotyczący tej sprawy. Mam nadzieję, że ludzie odczytają ten film jako przestrożę przed dziadowskim pań-

stwem, w którym wszystko chce się zbudować po tanioci. To jest tak, jakbyśmy budowali dom i w pewnym momencie stwierdzili, że jak już udało się nam zbudować jakąś szkieletową konstrukcję, to ten dom już stabilnie stoi. Ale przecież on jeszcze nie chroni nas przed deszczem, nie chroni nas przed słońcem, nie chroni nas przed wiatrem, czyli właściwie nie jest to dom, jest to co najwyżej dopiero szkielet tego co powinno być domem.

### Namiocik?

MZ: Nawet nie. Pewnie możliwe byłoby nałożenie na niego jakiejś płachty, ale to nie rozwiązuje problemu. Na samym końcu serialu ta kwestia bardzo mocno wybrzmiała. Wyłożono to czarno na białym: jeśli będziemy mieć dziadowskie państwo, to będziemy mieć tego typu sytuację. Reaktor w Czarnobylu nie miał obudowy bez-

pieczeństwa, nie używano w nich odpowiednio wzbogaconego paliwa i zainstalowano najtańsze pręty, mające grafitowe końcówki. Zrobiono to nie dlatego, że ktoś miał taką fantazję tylko z oszczędności.

Mam też nadzieję, że takie wnioski pozwolą na zwiększenie się sympatii ludzi do państwa, które moglibyśmy określić mianem dobrego państwa, nie państwa taniego. Państwa, które jest dobrze zarządzane, które ma środki finansowe na ochronę zdrowia i karetki pogotowia, na edukację, na mieszkalnictwo, na policję i straż pożarną, na wszystko to, co jest potrzebne, abyśmy mogli bezpiecznie żyć.

### **Ja mam jednak wrażenie, że ten serial może zniechęcić ludzi do energetyki jądrowej. To dobrze czy niedobrze?**

MZ: Niedobrze. Jednak w tej sprawie potrzebujemy konkretnych działań. Cała nasza debata publiczna dotycząca elektrowni węglowych i atomowych, ekologii i zmian klimatycznych jest na naprawdę niskim poziomie, zaś działania polityczne aktualnego rządu są po prostu żenujące. Jeżeli Polska nie podejmie działań, to za jakieś dwadzieścia czy trzydzieści lat kolejne pokolenie będzie żyło w bardzo trudnych warunkach. Polska zgodnie z przewidywaniami będzie pustyniastą, będziemy mieli bardzo ograniczony dostęp do wody, w związku z czym żywność będzie potwornie droga. Nasze dzieci i nasze wnuki będą miały realny problem z wyżywie-

niem. Wyżywić się będą mogli najbogatsi. I nie będzie tak, że będziemy mogli posadzić sobie coś w ogródku pod domem i się tym wyżywić, bo zwyczajnie nie będziemy mieli wody, żeby to podlać. Zatem wszystkie te wyobrażenia, że jakoś damy sobie radę, nie mają się nijak do tego z czym będziemy musieli się mierzyć.

### **Okazuje się przecież, że Polska w ogóle nie buduje zbiorników retencyjnych.**

MZ: Polska nie robi praktycznie nic, aby zwiększyć swoje zasoby wody.

PM: Obecnie uruchamiane są jakieś programy finansowania budowy zbiorników retencyjnych, jednakże niestety przeprowadzane są one o kilkanaście lat za późno. Przecież postępujące zmiany klimatyczne nie są żadną nowością, a katastrofa klimatyczna jest zagrożeniem realnym i niestety coraz bardziej do nas się zbliżającym. Nasz poziom wód gruntowych nie odstaje od poziomu Egiptu, co powinno nas przerażać. Widać więc, że mamy w Polsce bardzo mało wody. Sporą jej część zużywa rolnictwo, bo to jest prawie siedemdziesiąt procent naszych zasobów. Już w tym roku mieliśmy przecież taką sytuację, że w Skierniewicach zabrakło wody, a nie jest to sytuacja odosobniona. Mieszkańcy Skierniewic raczej będą musieli powoli przyzwyczajać się, że będzie to zdarzać się częściej i że nie zawsze jak odkręcę kurek kranu, to woda z niego poleci.

MZ: W niektórych miejscach można przez Wisłę piechotą ze względu na bardzo niski stan wody, a przecież nie mieliśmy w Polsce ostatnio długotrwałych upałów.

PM: Generalnie poziom wód w europejskich rzekach regularnie spada. Myślę, że każdy mieszkaniec Torunia dostrzega to przyglądając się stanowi Wisły, szczególnie zaś w okresie letnim.

## **Debata publiczna dotycząca elektrowni węglowych i atomowych, ekologii i zmian klimatycznych jest na naprawdę niskim poziomie, zaś działania polityczne aktualnego rządu są po prostu żenujące**

W tym roku w Kutnie, moim rodzinnym mieście, po raz kolejny wyschła Ochnia. Po prostu – wyschła rzeka, można sobie chodzić po jej dnie. Kilka lat temu część miejskich działaczy kutnowskich przy tej okazji wysprzątała koryto tej rzeki z różnego rodzaju śmieci. Natomiast faktem jest to, że nikt nawet spośród najstarszych mieszkańców Kutna nie pamiętał z przeszłości takiej sytuacji. Wydaje mi się, że największym problemem Polski jest to, że choć te zmiany klimatyczne już dawno dzieją się na naszych oczach, to my nadal albo nie podejmujemy żadnych działań, albo są one ograniczone i bardzo spóźnione. Brakuje nam przede wszystkim jakiejś sensownej polityki, strategii na przyszłość i – to się na pewno będzie źle kojarzyło – planowania. Musi się ona opierać na przeświadcze-

niu, że mamy świadomość, co może nas spotkać w przyszłości. A przecież wiemy już dziś, że za kilkadziesiąt lat będziemy mieli problem z węglem, którego zasoby przecież się kończą, a tym samym będziemy mieli problem z zapewnieniem bezpieczeństwa energetycznego. Decyzje i prace nad uruchomieniem elektrowni atomowej w Polsce tak naprawdę powinny zapadać już teraz, nie za piętnaście lat, bo wtedy może już być za późno.

MZ: Tak. Trzeba zdać sobie sprawę z tego, że nie będziemy mogli dłużej funkcjonować w takich realiach polityki energetycznej, z jaką mamy do czynienia obecnie. Energetyka oparta na węglu nie pozwoli nam spokojnie funkcjonować przez najbliższe czterdzieści lat. Nie tylko ze względu na klimat, ale także kończące się i coraz głębiej położone pokłady węgla. Ich wydobycie jest bardzo kosztowne i niebezpieczne. A przecież chcemy uratować naszą planetę dla naszych dzieci i wnuków.

**Ale przecież jeśli chodzi o politykę węglową w Polsce, to rząd przecież przede wszystkim stara się obronić miejsca pracy w tym sektorze. Czy tak nie jest?**

## MARCELINA ZAWISZA

Polityczka społeczna, działaczka polityczna, feministka. Współzałożycielka partii Razem. Od 2015 roku członkini Zarządu Krajowego. W 2018 umieszczona na liście „30 Under 30” magazynu „Forbes” w kategorii „Prawo i polityka” za działalność na rzecz praw kobiet. W Razem zajmuje się kwestiami związanymi z polityką społeczną, w szczególności ochroną zdrowia i rynkiem pracy. Współautorka ustawy o skróceniu czasu pracy - pierwszej ustawy partii Razem. Jedna z organizatorek protestów przeciwko zamykaniu szkół i prywatyzacji stołówek szkolnych. Pochodzi z Katowic, z górniczej związkowej rodziny. Lubi gotować.



MZ: To nie kopalnie kopcą. Ich zamknięcie nie rozwiąże żadnego problemu. Potrzebujemy transformacji naszej energetyki z elektrowni węglowej na OZE i atom.

Nie możemy pozwolić na to żeby jak w latach dziewięćdziesiątych kilkaset tysięcy osób straciło dobre zatrudnienie. Naszym priorytetem powinno być odejście od elektrowni węglowych i inwestowanie w odnawialne źródła energii. To, czego aktualnie potrzebujemy, to radykalne zmiany w zakresie polityki energetycznej. Teraz jesteśmy zależni od Rosji, a każdego roku wzrasta skala importu węgla z tego kraju. Węgiel rosyjski jest bardzo złej jakości, jest on bardzo zanieczyszczony, a my spalając go wprowadzamy do atmosfery bardzo dużo substancji niebezpiecznych.

Przede wszystkim musimy zbudować w Polsce dwie elektrownie atomowe, które pozwolą nam uzyskać bezpieczeństwo energetyczne. Po drugie – potrzebujemy bardzo dużych inwestycji w energetykę odnawialną, prosumencką: potrzebujemy wiatraków, fotowoltaiki itp. Musimy więc oprzeć naszą energetykę na elektrowniach atomowych, ale jednocześnie musi obudować całe państwo siecią wsparcie generowanego przez energię odnawialną i jak najwięcej tej energii produkować.

**Bo przecież w oparciu o OZE nie jesteśmy w stanie stworzyć stabilnego i bezpiecznego systemu krajowej polityki energetycznej.**

MZ: Oczywiście, nie ma na to szans. W naszej części świata jesteśmy w stanie pokryć z OZE całego naszego zapotrzebowania na energię.

Odnawialne źródła mogą być skutecznym rozwiązaniem dla indywidualnych osób, ale nie rozwiązują w pełni problemu zapotrzebowania energetycznego przemysłu. Energetyka jądrowa byłaby więc swego rodzaju stabilizatorem dla gospodarki. Z gazem uzależnimy się od Rosji albo od Stanów Zjednoczonych. To nie jest dobre rozwiązanie, bo przecież w przypadku wydobycia gazu łupkowego do atmosfery również uwalnia się ogromna ilość zanieczyszczeń. Rzeczywiście, spalanie gazu nie jest dla nas tak szkodliwe dla naszej atmosfery jak spalanie węgla, ale już sam proces wydobywania i transportu gazu jest bardzo szkodliwy.

**Ale nie możemy zapominać o tym, że Polska wydała ogromne pieniądze na budowę gazoportu w Świnoujściu, uruchomionego w 2015 r., który pozwala na przyjmowanie gazu skroplonego właściwie ze wszystkich kierunków świata. Ten terminal LNG ma być przecież systematycznie rozbudowywany, a w tym roku rozpisano przetarg na budowę drugiego nabrzeża. Czy to nie jest jakiś pomysł?**

MZ: Wracam do tego, co wcześniej powiedziała Paulina: planowanie jest potrzebne, planowanie jest konieczne! Jeżeli my nie będziemy sensownie i rozsądnie planować bezpieczeństwa energetycznego naszego kraju i zarazem tego, jak ratować naszą planetę, to czeka nas – mówiąc oczywiście metaforycznie – wielki

wybuch. Ten „wybuch” to susza, bardzo droga żywność i konflikty, wynikające z tego, że nie każdy będzie miał dostęp do jedzenia czy wody pitnej. Niestety to się jawi jak wizja zbliżona do Mad-Maxa niż do tego, jak chcielibyśmy sobie wyobrazić przyszłość naszych dzieci.

**Myślę, że już to, co się dzieje we wschodniej Wielkopolsce, w promieniu kilkudziesięciu kilometrów od Kopalni Węgla Brunatnego „Konin”, wokół której od kilku lat można zaobserwować systematyczne obniżanie się poziomu wody w jeziorach, co widać chociażby w miejscowości turystycznej Przyjezierze niedaleko Strzelna na pograniczu Kujaw i Wielkopolski. Są nawet przykłady jezior, które zwyczajnie zniknęły, jak np. Jezioro Skrzyńka niedaleko Ostrowa w woj. kujawsko-pomorskim. Wystarczy przyjechać do Wilczyna czy Wójcina, żeby to zobaczyć. Naukowcy z toruńskiego UMK dostrzegli współzależność między wielkością wydobycia węgla brunatnego a opadaniem poziomu jezior. To już teraz nosi znamiona katastrofy ekologicznej, a tymczasem wasza odpowiedź na ten problem właściwie nie różni się zbytnio od odpowiedzi partii rządzącej, czyli budowa elektrowni jądrowej i uniezależnienie się do Rosji.**

MZ: Stawiamy na odnawialne źródła energii w połączeniu z energią atomową. Nie ma

rozwiązań idealnych. To daje nam największą niezależność energetyczną.

PM: Razem nie zamierza krytykować PiS-u, tylko dlatego, że jest PiS-em. Mamy zamiar to robić w kontekście energetyki jądrowej, jak też w każdej innej sprawie. Sądzę, że sam fakt, że partia rządząca mówi o konieczności uruchomienia programu energetyki atomowej, należy docenić i pochwalić. Co prawda główny pomysł dotyczy chyba przekształcenia w elektrownię jądrową elektrowni w Bełchatowie po tym, jak skończą się tamtejsze złoża. Pamiętać warto, że w powiecie bełchatowskim jest za mało wody do chłodzenia reaktorów. Przypomnę, że skala zanieczyszczeń generowanych przez elektrow-

## **Brakuje nam przede wszystkim jakiejś sensownej polityki, strategii na przyszłość i – to się na pewno będzie źle kojarzyło – planowania**

nię w Bełchatowie jest olbrzymia. Natomiast obawiam się, że w tym dyskursie PiS-u wokół energetyki jądrowej brakuje jakichś konkretów, czyli: co robimy teraz?, jak to robimy?, gdzie ma być ta elektrownia?, gdzie miałyby powstać druga elektrownia? Brak informacji dotyczących ewentualnej drugiej – po wspomnianym Bełchatowie – elektrowni i kiedy miałyby zacząć się ich budowa.

**Ale chyba co do potrzeby stworzenia systemu opartego na atomie jest chyba zgoda między waszą partią a środowiskiem PiS-u?**

MZ: Tak, co do potrzeb rzeczywiście się zgadzamy.

**Zastanawiam się, w czym jeszcze Lewica Razem zgadza się z PiS-em, skoro zgadzacie się co do zasadności programu „Rodzina 500+”, zgadzacie się w sprawie energetyki atomowej...**

MZ: Nie do końca tak jest, bo przecież my domagamy się również wspierania energetyki odnawialnej, a tymczasem rząd PiS robi wszystko, żeby ją zniszczyć.

**Ale dobrze mi się wydaje, że w sprawie „500+” się zgadzacie?**

MZ: Tak.

**Znalazłem was obie – Marcelinę Zawiszę i Paulinę Matysiak – parę tygodni temu w jednym z konserwatywnych tygodników. Przeczytałem sobie zatem wywiad z dwiema paniami z Le-**

**wicy Razem opublikowany w tym konserwatywnym i jednoznacznie pro-rządowym tygodniku. Dodam tylko, że na okładce tego numeru widniała wielka twarz zapłakanego dziecka z ustami przewiązanymi tęcza flagą i wielki nagłówek: „Ciemna strona homo tęczy”. Nie wstyd wam?**

MZ: Wydaje mi się, że nie jest sztuką przekonywać przekonanych. Właśnie teraz rozmawiamy i staramy się do pewnych spraw przekonać czytelników i czytelniczkę „Liberté!”, z którymi w wielu sprawach pewnie też się nie zgadzamy tak, jak też nie zgadzamy się z PiS-em. Zasadne jest zatem rozmawiać i przekonywać tych, którzy mają odmienne od nas poglądy, bo przecież bez tego nie będzie debaty publicznej i prawdziwej demokracji w tym kraju.

PM: Ponadto trzeba powiedzieć, że każda poważna partia polityczna, która stawia sobie ambitne cele, musi wyjść do ludzi ze swoją agendą i opowiedzieć o swoim programie wszędzie tam, gdzie ma taką możliwość. Zatem chyba nikt nie powinien się dziwić, że udzieliliśmy wywiadu jakiejś gazecie czy że przyjęliśmy zaproszenie do jakiegoś programu publicystycznego, radiowego czy telewizyjnego. Nie mamy złudzeń co do różnic między nami a czytelnikami tego czy innego pisma – jak chociażby „Liberté!”, ale przecież trzeba o swoich postulatach rozmawiać. Jak widzimy na przykładzie zagadnień energetycznych czy ekologicznych, nie tylko le-

wica ma swoje pomysły. Pomysły te należy konfrontować, wybierać najlepsze, korygować te, które są już wdrażane.

Wracając do tego, co już wspomniałeś w sprawie naszego poparcia dla programu „Rodzina 500+”. Tak, generalnie zgadzamy się z tym pomysłem, ale nie zapominajmy, że są też zagadnienia i postulaty, które łączą nas z innymi środowiskami. Weźmy chociażby kwestię równości małżeńskiej, jaka łączy nas z Wiosną Roberta Biedronia. Mamy również tę kwestię wpisaną do programu od początku istnienia naszej partii i cały czas postulat ten poruszamy. Wydaje mi się, że chyba jako jedyna partia polityczna mówimy o tym jasno i wyraźnie, nie oszukując naszych wyborców. Mamy też świadomość tego, że osoby ze środowisk LGBT+ nie zagłosują na nas tylko dlatego, że ten problem poruszamy. Ludzie przecież kierują się różnymi motywacjami podejmując swoje decyzje wyborcze.

**Grzegorz Schetyna całkiem niedawno, jeszcze przed rozpoczęciem kampanii wyborczej, powiedział, że w ogóle nie zamierza podejmować tematu związków partnerskich ani aborcji. A po jakimś czasie wspomniał, że jego partia jednak popiera związki partnerskie.**

MZ: Jest to dla mnie najmniejsze zaskoczenie na świecie. Przypomnę tylko, że po Czarnym Proteście, który zgromadził kilkanaście tysięcy ludzi, Schetyna nazwał zwolenniczki wprowa-

dzenia europejskich standardów przerywania ciąży radykałami. Później to samo powiedział kilkakrotnie Neumann. Mam nawet gdzieś na Facebooku zachowane cytaty z tych panów.

PM: Ale przecież całkiem niedawno, jeszcze przed powołaniem sztabu wyborczego Koalicji Obywatelskiej, Barbara Nowacka z Inicjatywy Polskiej, czyli jedna z aktualnych liderki Koalicji Obywatelskiej, sama powiedziała wprost, że ten główny postulat, który przez lata głosiła, teraz chowa do kieszeni.

MZ: I że to nie będzie tematem w trakcie kampanii.

PM: Tak właśnie wygląda ta wielka koalicja.

**Nie wiem, dlaczego tak się tego czepia-**

**cie. Przecież to chyba po prostu taka pragmatyka polityczna, polegająca na tym, że na czas kampanii chowamy to, co jest kontrowersyjne. Znamy przecież strategię PiS-u i Jarosława Kaczyńskiego. Przed wyborami Macierewicz jest chowany do szafy, a po wyborach wyskakuje z niej jako np. minister obrony narodowej. Może ze związkami partnerskimi i Koalicją Obywatelską będzie podobnie: schowamy temat do szafy na kampanię i wybory, a po wyborach temat zostanie z tej szafy przez Schetynę wyjęty.**

PM: Problem Schetyny i Platformy Obywatelskiej polega jednakże na tym, że nawet kiedy rządzą i mieli możliwość wprowadzania swojego programu, wówczas robili to stosunkowo rzadko.

Przypomnę tylko, że temat związków partnerskich był przez PO skutecznie chowany. Jak takiej partii teraz w tych sprawach można zaufać? MZ: Mówię wam, wkrótce zobaczymy konferencję Schetyny, który dostanie mnóstwo maili od ludzi związanych ze środowiskami LGBT i poinformuje nas, że porozmawiamy o tej sprawie po wyborach.

**Teraz trzeba się zastanowić, czy Lewica Razem wreszcie przebudziła się z letargu i wykazała się polityczną pragmatyką? Mogliście przyłączyć się do Koalicji Obywatelskiej i pragmatycznie pójść ze Schetyną, żeby odebrać władzę PiS-owi. Tymczasem zdecydowaliście się na lewicową koalicję z Wiosną i SLD. Czy to nie jest pragmatyzm analogiczny do tego, co zrobiła Barbara Nowicka? Ale mi to jednak wygląda na pragmatyzm.**

MZ: Nie, bo nie mamy problemu z mówieniem o naszych wartościach i ważnych dla nas postulatach. Otwierałam pierwszą konwencję i mówiłam o naszych postulatach: aborcja na żądanie kobiety do 12. tygodnia ciąży, likwidacja klauzuli sumienia, dostęp do darmowej antykoncepcji. Później padały inne rzeczy: edukacja seksualna w szkole, publiczny deweloper budujący mieszkania na wynajem, likwidacja śmieciówek, emerytura obywatelska, świeckie państwo. My nie chowamy naszych postulatów do kieszeni, bo są wybory. Wręcz przeciwnie.

**Nie wiem, bo jako przedstawiciel liberalnego środowiska byłem wielokrotnie dość krytyczny względem Platformy Obywatelskiej, która przecież deklarowała przywiązanie do wartości liberalnych, ale właśnie często chowała je w szafie. Ta krytyczna postawa wynikała właśnie z porzucania przez tę partię swoich rzekomych wartości.**

MZ: Nasza decyzja o wejściu do lewicowej koalicji, a nieprzystąpieniu do Koalicji Obywatelskiej czy wcześniej Koalicji Europejskiej, wynika z tego, że nie ma takiej siły, która zmusiłaby nas do pójścia do wyborów w wielkiej koalicji wszystkich ze wszystkimi. Nazwałabym taką koalicję „koalicją nijaką”. Nie wyobrażam sobie startowania w wyborach z tych samych list, co były minister edukacji narodowej i były lider Młodzieży Wszechpolskiej Roman Giertych, fantastyczny Roman, który zmienił zdanie, ponieważ obraził się na Kaczyńskiego.

**Jeśli Roman Giertych w takim tempie będzie zmierzał z prawej strony sceny politycznej do lewej, to za pięć lat będzie w Lewicy Razem.**

MZ: Tak. Albo zostanie komunistą. Ale zostawmy już fantastycznego Romana. My naprawdę wierzymy w to, że polityka powinna być oparta na wartościach i dlatego naszym zdaniem – a uważaliśmy tak jeszcze zanim udało się sformułować wspólny blok lewicy – na lewo od PiS-u powin-

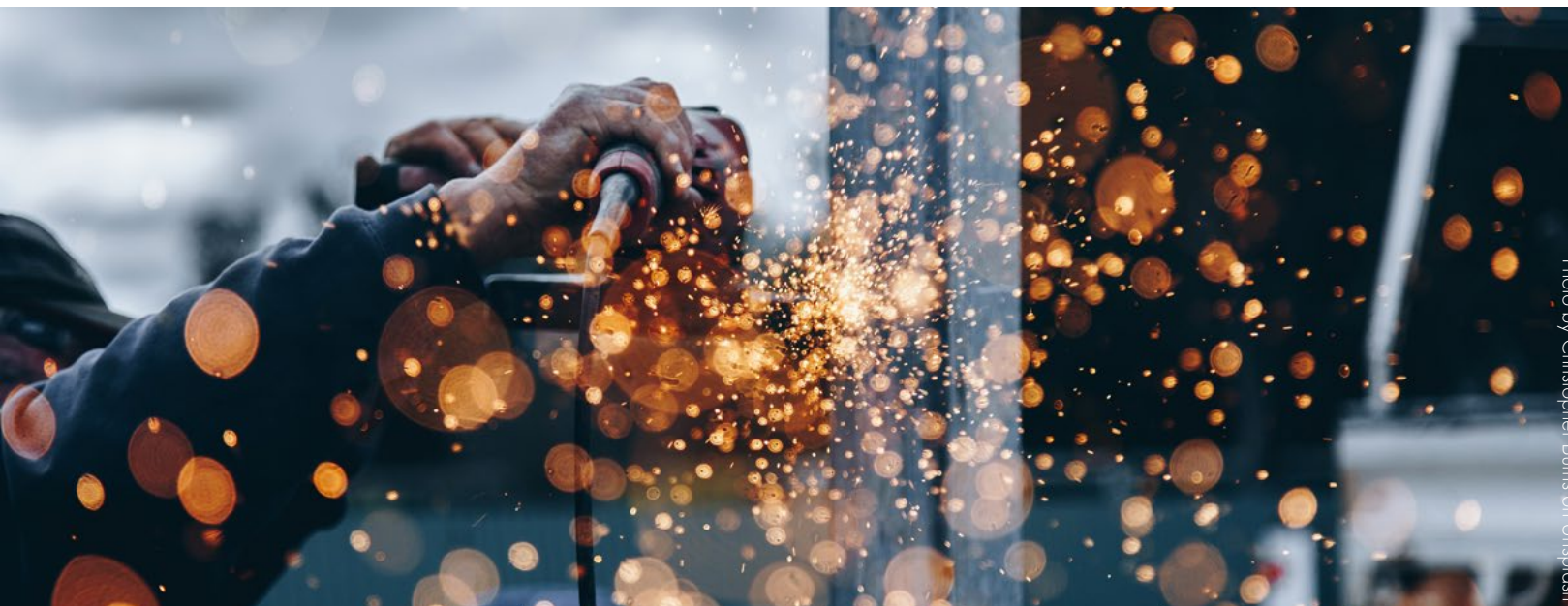


Photo by Christopher Burns on Unsplash

ny funkcjonować dwa bloki polityczne: pierwszy – centrowo-liberalny czy konserwatywno-liberalny i drugi – lewicowy. Chcemy zachęcić ludzi do tego, żeby poszli do wyborów, a przykład Koalicji Europejskiej udowodnił, że taki wielobarwny i bezideowy sojusz mobilizuje za mało osób. Związek wszystkich ze wszystkimi od konserwatywnego PSL-u aż po lewicową Barbarę Nowacką zupełnie nie jest w stanie dogadać się co do fundamentalnych spraw politycznych:

**My naprawdę wierzymy w to, że polityka powinna być oparta na wartościach i dlatego naszym zdaniem na lewo od PiS-u powinny funkcjonować dwa bloki polityczne: pierwszy – centrowo-liberalny czy konserwatywno-liberalny i drugi – lewicowy**

od świeckiego państwa, poprzez prawa kobiet i osób LGBT, aż po sprawę podatków. Oni sami nie wiedzą, czy są za czy przeciwko „500+”. Oni sami nie wiedzą, czy będą obniżać czy podwyższać podatki.

**Naprawdę nie macie nic przeciwko temu, żeby pójść do wyborów wspólnie z Włodzimierzem Czarzastym i jego formacją, której uosobieniem są tacy ludzie, jak Leszek Miller czy Włodzimierz Cimoszewicz, czyli politycy, którzy swoją karierę zaczynali w PRL i często w PZPR, a kiedy rządili Polską podej-**

**mowali niejednokrotnie decyzje, które niewiele miały wspólnego z lewicową wrażliwością?**

PM: Z wymienionych postaci intensywniej współpracujemy jedynie z Włodzimierzem Czarzastym, bo pozostała dwójka jest już w Brukseli. Prawdą jest jednak, że gdybyśmy nie chcieli pójść z nimi do wyborów, to raczej byśmy nie prowadzili z nimi w ogóle rozmów i ostatecznie nie podjęlibyśmy takiej decyzji, jaka zosta-

ła przecież podjęta. Wierzymy, że nasza oferta może rzeczywiście przyciągnąć wyborców lewicowych, a na naszych listach znajdują się osoby, które mają lewicowe poglądy i wyborcy mogą być pewni, o co nasi posłowie będą walczyć w sejmie. Niekoniecznie byłoby to takie oczywiste w przypadku powołania wielkiej koalicji ludzi różnorodnych poglądów.

**A elektorat lewicowy istnieje w ogóle w Polsce? Po ostatnich wyborach europejskich mam wrażenie, że ten elektorat gdzieś przepadł. Wynik Wiosny Biedronia jest przecież poniżej oczekiwań,**

**SLD raczej niewiele wniosło do Koalicji Europejskiej. Może tego elektoratu już nie ma, a lewicowy elektorat socjalny został wzięty przez PiS?**

MZ: Oczywiście, że istnieje elektorat lewicowy i widzimy wielkie szanse dla wspólnego lewicowego bloku. Kiedy w badaniach sondażowych pojawiają się środowiska lewicowe, to regularnie gromadzą wspólnie ok. 12-14 proc. poparcia społecznego. Obecnie mamy stabilne 11 proc. w sondażach. Ci wyborcy często nie chcą głosować na rozdrobnione partie, ale chętnie zagłosują na wspólny blok organizacji i środowisk lewicowych. Oczywiście jest, że ludzie chcą, aby ich głos się liczył i nie stał się głosem zmarnowanym. Sam fakt porozumienia na lewicy jest na pewno ogromnym osiągnięciem w sytuacji tak dużej polaryzacji politycznej w Polsce, z jaką mamy do czynienia w ostatnich latach. Nie zapominajmy, że zarówno PiS, jak i PO, grają na to, aby po swojej stronie sceny politycznej być jedynym rozgrywającym.

Widać to zresztą było przez cały okres prowadzenia przez Schetynę rzekomych negocjacji z mniejszymi partiami, kiedy to nieustannie przekładano terminy spotkań, chcąc tak naprawdę obniżyć wartość negocjacyjną każdego z tych środowisk. Doprowadzić do tego, że będzie już za późno, aby każde z nich wystartowało samodzielnie. Po co to robić? Aby przedstawicielom mniejszych środowisk jak najmniej dać, żeby uspokoić swoje zbunto-

wane i wkurzone środowisko. Oni zdają sobie sprawę, że Schetyna oddał za dużo w wyborach europejskich.

**Tak, polaryzacja rzeczywiście służy dużym siłom politycznym. Widać to nie tylko w Polsce, ale także w innych krajach europejskich.**

MZ: Najgorsze jest to, że spolaryzowana w Polsce jest nie tylko scena polityczna, ale silnie spolaryzowane są również nasze media. Z jednej strony – „PiS-owska” telewizja publiczna, a z drugiej strony TVN, który jest bardzo przychylny „PO”. Gdzieś tam pomiędzy nimi jest Polsat. A niestety nie ma w Polsce lewicowych mediów.

**Chyba aż tak źle to nie jest. Pewne treści lewicowe bądź publikacje lewicujących publicystów jednak znaleźć można czasami czy to w „Dzienniku. Gazecie Prawnej”, czy to „Gazecie Wyborczej” lub nawet w „Polityce”.**

PM: Tak, trochę tego można czasami znaleźć.

**Ale przecież to nie kto inny, jak właśnie Robert Biedroń, zapowiadał, że rozwali ten mur duopolu w Polsce, że nie wchodzi w grę żadna rozmowa z Platformą o wspólnym starcie, a tymczasem prowadził takie rozmowy przed powołaniem wspólnego bloku lewicy.**

PM: Tak naprawdę to wszystkie te rozmowy dotyczyły przede wszystkim miejsca na listach.

Wiadomo, że im więcej koalicjantów, tym mniej miejsc na listach dla każdego z nich. Każdy zatem starał się ugrać jak najwięcej i każdy w pierwszej kolejności chciał zobaczyć, ile jest w stanie oddać ten największy koalicjant. Tylko tyle i aż tyle.

**Ale pobawmy się teraz trochę w polityczne wróżenie z fusów. Przyjmijmy taki optymistyczny wariant, że w wyborczej rzeczywistości Lewicy udało się zdobyć kilkadziesiąt mandatów, między 20 a 40, i że wy – Lewica Razem – macie również swoich posłów w sejmie. PiS wygra wybory i pewnie będzie miał samodzielną większość. Obok będzie Platforma, która – jak powiedziałyście – w ogóle nie ma poglądów i żadnych wartości. To teraz powiedzcie całkiem serio i szczerze, jak i z kim chcecie realizować te wartości, o których tak dużo mówicie i te lewicowe postulaty, od których nie chcecie odstąpić ani na krok? A każda ustawa wymaga większości. Z kim chcecie wasze ustawy głosować?**

MZ: Ja myślę, że zarówno z jednymi, jak i drugimi.

**No to konkretnie: co zrobicie z PiS-em a co zrobicie z Platformą?**

MZ: Przygotujemy ustawę likwidującą w Polsce „śmieciovki”, bo to jest bardzo poważny problem dla młodych ludzi na rynku pracy.

**I zrobicie to z Grzegorzem Schetyną?**

MZ: Jednych i drugich będziemy przekonywać. To będzie ich wybór, czy głosować za prospołecznymi projektami ustaw. Ja nie będę robić z Grzesia socjalisty. PO zapowiedziała już obniżenie PIT-u i CIT-u, a na pytanie o Państwową Inspekcję Pracy mówią: „Mniej kontroli”. Polska jest jednym z najmniej kontrolujących przedsiębiorców krajem w całej Europie. U nas, żeby przedsiębiorca był skontrolowany, to musi istnieć kilkadziesiąt lat. Kontrole głównie przeprowadza się jak są nieprawidłowości i ktoś je zgłosi.

**To mam jednak wrażenie, że „śmieciovki” z nimi nie zlikwidujecie. Kilka tygodni temu Grzegorz Schetyna powiedział, że podniesienie wieku emerytalnego było błędem Platformy Obywatelskiej, za co został skrytykowany przez swojego kolegę partyjnego Jacka Rostowskiego, byłego ministra finansów.**

PM: Niektórzy powiedzą wszystko, żeby wygrać wybory. Wracając zaś do ewentualnych porozumień w sejmie w sprawie konkretnych ustaw, to tak naprawdę nie ma najmniejszego znaczenia, z kim się w ich sprawie dogadamy. Chodzi o to, żeby przeprowadzać dobre i prospołeczne rozwiązania. Nie będzie mi przeszkadzać, jeśli za naszą dobrą ustawą zagłosują posłowie PiS-u, jeśli dzięki temu ludziom będzie się żyło lepiej.

MZ: Będziemy tak samo przekonywać Grzegorza Schetynę, jak i Jarosława Kaczyńskiego,

żeby głosowali za naszymi projektami ustaw. Jestem pewna natomiast, że np. za ustawą wprowadzającą europejskie standardy przerywania ciąży nie zagłosuje Prawo i Sprawiedliwość, ale już część posłów Platformy Obywatelskiej i Barbara Nowacka mogą. Zobaczymy jaki będzie skład Sejmu. Ale uważam, że rolą posłanki jest nie tylko wprowadzanie prawa, ale też budowanie poparcia społecznego dla danych postulatów. Ludzie zmieniają swoje poglądy, ale to jest ciężka praca i rola merytorycznej, rzeczowej debaty publicznej. Dlatego uważamy, że strategia chowania pewnych tematów i postulatów jest de facto dezercją z roli polityka. Bo jak chcesz coś zmienić, to przekonuj ludzi do tej zmiany. Jeśli zaś naprawdę nie masz żadnych poglądów, to odejdź z polityki.

**Nie macie wrażenia, że środowiska lewicowe – i mam na myśli te ideowe środowiska lewicowe, a nie tych, którzy tę swoją lewicowość jedynie oficjalnie deklarują – trochę za bardzo się okopały w tych swoich organizacjach i że z tego powodu brakuje dialogu między lewicą a liberałami? Może taki dialog pozwalałby sformułować jakąś wspólnotę wartości i interesów, o które wspólnie moglibyśmy walczyć?**

PM: Tak, zgadzam się z tobą, że taki dialog jest konieczny. Ale dlatego my właśnie tak mocno w tej rozmowie podkreślamy, że rolą polityków i polityczek jest nie tylko procedowanie ustaw, ale także edukowanie społeczeństwa, opowiadanie o postulatach, które się chce wprowadzić,



Photo by Jakub Skafirak on Unsplash



tłumaczenie ludziom motywów swoich działań. Zdajemy sobie sprawę, że wprowadzanie jakichś nowych tematów do debaty publicznej jest bardzo trudne, jeszcze trudniejsze jest przekonywanie do swoich pomysłów. Jednakże sama dyskusja i rozmowa ma swoją wartość, a społeczeństwo – jak już Marcelina wspominała – nie jest tworem niezmiennym, ludzie zwyczajnie zmieniają swoje poglądy. Taką zmianę można dostrzec chociażby w sprawie postulowanego przez nas skrócenia czasu pracy do 35 godz. w tygodniu.

### To jednak chyba dość niszowy w Polsce temat?

PM: Może, ale okazuje się, że kolejne partie polityczne podejmują ten temat i wpisują do swoich postulatów programowych. Także ludzie pracujący w różnych branżach coraz częściej dostrzegają potrzebę takiej zmiany. Można więc powiedzieć, że powoli ten temat przebija się do świadomości społecznej i staje się realnym postulatem programowym. Ja też widzę rolę lewicy jako tej części sceny politycznej, która mówi czasem o rozwiązaniach radykalnych czy wręcz szalonych, ale dzięki temu tematy te zostają w ogóle wprowadzone do dyskusji. Mówimy np. o bezwarunkowym dochodzie podstawowym.

### Tutaj się chyba z liberałami nie dogadacie.

PM: Pewnie rzeczywiście niektórzy złapią się

za głowę, jak o tym usłyszą. Ale przed chwilą mówiliśmy o uzgadnianiu swoich wartości i o dialogu, zatem dlaczego i o tym nie możemy porozmawiać?

MZ: Ten postulat sprowadza nas tak naprawdę do tematu wolności od przymusu ekonomicznego.

**No to spójrzmy na inną – dla niektórych kontrowersyjną – kwestię. Parę lat temu środowiska skupione wokół „Liberté!” uruchomiły akcję „Świecka szkoła”. Całkiem niedawno Leszek Jażdżewski przemawiając przed Donaldem Tuskiem dość mocno powiedział parę słów o relacjach państwo – Kościół. Jakoś nie rzuciła mi się w oczy aktywność środowisk lewicowych, które by oficjalnie poparły te liberalne postulaty.**

MZ: Ale my jesteśmy za.

PM: My od początku istnienia naszej formacji wspieramy takie postulaty.

**Nie słyszałem jednak po waszej stronie obrońców Jażdżewskiego, który dostawał – kolokwialnie mówiąc – manto medialne, a razem z nim całe nasze środowisko.**

MZ: Manto dostawał chyba za te świny, o których wspominał. Gdyby o nich nie było w tym

przemówieniu, to na pewno dostałby dużo większe wsparcie. Trochę się chyba retorycznie zagalopował. Jednak co do słuszności jego wniosków raczej nie ma nad czym polemizować. Potrzebujemy rozdziału państwa od Kościoła. Potrzebujemy tego, aby prokuratura wkroczyła do kurii – jednej czy drugiej – i wyjęła wszystkie dokumenty dotyczące pedofilii w Kościele. Potrzebujemy przede wszystkim stanowczego państwa, które nie będzie się bało Kościoła.

### Brzmi to co najmniej jak manifest antyklerykalny.

PM: Nie chodzi o żaden antyklerykalizm! Po prostu w każdym normalnym państwie zadziałoby się tak, jak to dopiero co zostało powiedziane.

## Niesprawiedliwość i przyzwolenie na krzywdę to tylko jedna z przyczyn, dla których opowiadamy się za rozdziałem Kościoła od państwa

To, co Sekielski pokazał w swoim filmie, obnaża niestety również fakt, że państwo w tym temacie niewiele robi systemowo i pozwala kościołowi chronić przestępców. Mamy już reportaże i filmy dokumentalne, mamy wiedzę, do której się dokopali kolejni dziennikarze śledczy. Niestety strasznie frustrujące jest zarówno dla ofiar, jak i dla zewnętrznych obserwatorów, to, jak niewiele dla tych ludzi zrobiło państwo. Demoralizujące jest

to, że ksiądz wykorzystujący seksualnie dzieci zostaje przeniesiony do kolejnej parafii, w której robi dokładnie to samo! Później trafia do kolejnej parafii i do kolejnej. Pomijam fakt, jak bardzo jest to niesprawiedliwe, bo to chyba widzi każdy Polak, który o tych sprawach się dowiedział. Ta niesprawiedliwość i przyzwolenie na krzywdę to tylko jedna z przyczyn, dla których opowiadamy się za rozdziałem Kościoła od państwa.

### A co z renegocjacją konkordatu?

PM: Ale cała ta dyskusja zaczyna się najzwyczajniej od kwestii estetycznych, od tego, co można zaobserwować na poziomie funkcjonowania samorządów lokalnych, a mianowicie, jak układają się władze lokalne z duchownymi.

MZ: Mój ulubiony przykład tego zjawiska to święcenie przez jakiegoś proboszcza włączów do kanalizacji.

PM: To przykład z gminy Czarnożyły w powiecie wieluńskim.

**Ale czy tutaj nie wchodzimy już w sferę wolności światopoglądowych**

### **i istoty społeczeństwa obywatelskiego? Przecież kościoły i związki wyznaniowe mają prawo do uczestniczenia w życiu publicznym.**

PM: Ja nie odmawiam księdzu prawa do uczestnictwa w jakiejś uroczystości państwowej czy patriotycznej.

MZ: Ale już niekoniecznie każda uroczystość państwowa czy patriotyczna powinna się rozpoczynać mszą. Kościół oczywiście może zorganizować mszę w określonej intencji, w której będzie mógł wziąć udział każdy, kto tylko będzie tego chciał.

### **A co z podatkiem kościelnym?**

MZ: Opodatkowanie kościoła, opodatkowanie tacy, ujawnienie dochodów kościołów i związków wyznaniowych... Wyobraźmy sobie, że mamy do czynienia nie z kościołem, ale z jakąś fundacją. Nie wiemy, skąd czerpie ona swoje przychody, nie wiemy, na co wydaje swoje pieniądze, a przy okazji ma potężny wpływ na polityków i pośrednio na funkcjonowanie naszego państwa, także na nasze prawo. Szczerze powiedziawszy, to nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek zgodził się na funkcjonowanie takiej fundacji.

### **Może jednak dla większości Polaków, którzy uważają się za katolików, nie ma w tym problemu? Może oni to akceptują?**

PM: rzecz w tym, że tutaj nie chodzi o sam wpływ, który przecież może wynikać z historii, tradycji i osiągnięć danej instytucji.

### **Dokładnie! Więc może od razu podziękujecie, że to Kościół katolicki razem z Wałęsą obalili komunizm?**

PM: Chodzi po prostu o to, że finanse kościoła są niejasne i nieprzejrzyste. Powtarzam, nie jest dla mnie żadnym problemem udział duchownych w obchodach świąt państwowych, które przecież celebrowane są we wszystkich miastach w Polsce. Natomiast jest już dla mnie problemem to, że na takich obchodach po przemówieniu prezydenta czy burmistrza do głosu dopuszcza się księdza, który odmawia publicznie modlitwę. Przecież przed taką uroczystością może odbyć się w kościele msza, na którą pójdą sobie zainteresowani. Problemem jest jednak również wymieszanie się sfery politycznej ze sferą kościelną tam, gdzie mamy do czynienia z działalnością czysto państwową.

MZ: Dodać trzeba do tego likwidację funduszu kościelnego i likwidacja finansowania z budżetu państwa lekcji religii. Jeśli kościół chce prowadzić religię, to niech za nią płaci.

### **Ale przecież może to ludzie chcą religii w szkole?**

MZ: Jeśli ludzie chcą, to się na te lekcje zrzuć. Proste. Oczywiście szkoła powinna dawać możliwość przeprowadzania stowarzyszeniom, fundacjom

i kościołom lekcji w szkole, ale organizator czy też pomysłodawca powinien zawsze za takie zajęcia zapłacić. Dlaczego wszyscy podatnicy mają za to płacić? Skoro kościół chce wynająć szkołę na jakieś zajęcia, to niech zapłaci za korzystanie z sal lekcyjnych, niech zapłaci pensję katechetom, a wówczas nie ma żadnego problemu.

PM: Te wszystkie pomysły, o których mówimy w ramach rozdzielenia państwa od kościoła, w żaden sposób nie naruszają wolności osobistych ani prawa tych instytucji do prowadzenia działalności publicznej. Ponadto uporządkowanie tych spraw będzie w interesie samego kościoła, podobnie jak wyprowadzenie religii do salek katechetycznych również może się okazać dla kościoła korzystne, bo będzie to szansa na budowanie wspólnoty wokół parafii. Nie zapominajmy jednak o tym, że aktualnie Kościół katolicki ma w relacjach z państwem pozycję uprzywilejowaną i to należy uporządkować.

MZ: Inna kościoły i związki wyznaniowe nie mogą cieszyć się takimi przywilejami.

### **Jeszcze jedna sprawa. Jesteście zwolennikami seksualizacji dzieci?**

MZ: Zacznę od krótkiej historii. Można znaleźć w sieci taki filmik, który prezentuje edukację seksualną w przedszkolu.

### **Przerażająca sprawa! Z tego co słyszałem, to uczą tam dzieci masturbacji!**

MZ: Bzdura. Otóż edukacja seksualna w przedszkolu polega na tym, że jest taka karteczka przed wejściem do przedszkola, a na tej kartce są narysowane różne formy powitania się dziecka z dorosłym. Co ważne, to dziecko ma wybrać sposób, w jaki chce się witać z dorosłym: czy chce podać rękę, czy chce się przytulić, czy chce przybić piątkę, czy nie chce się w ogóle witać, bo nie ma takiej ochoty itp. I to uczy dzieci, że mają prawo stawiać granice, że mają prawo mówić „nie”. I biorąc pod uwagę to, że wszyscy chcemy chronić nasze dzieci przed pedofilami – to właśnie sposób na to, żeby od najmłodszych lat uczyć, że nikt nie ma prawa mnie dotykać, jeżeli sobie tego nie życzę. Nie mam więc wątpliwości, że taka edukacja seksualna powinna się rozpoczynać jak najwcześniej. Tego powinniśmy uczyć nasze dzieci. Trzeba też nauczyć dzieci tego, że jeśli dzieje się coś złego, to mogą powiedzieć o tym dorosłym, ci zaś powinni ich wysłuchać i nie oceniać. Oczywiście w późniejszych latach taką edukację seksualną obudowuje się kolejnymi zagadnieniami, np. wiedzą na temat własnego ciała, wiedzą o tym, jak się zabezpieczać przed niechcianą ciążą, przed chorobami wenerycznymi. Te poszczególne zagadnienia muszą być oczywiście dostosowane do poziomu rozwoju psychofizycznego dziecka.

### **Wiemy o tym, że wiek inicjacji seksualnej nieustannie się obniża, a nastoletnia młodzież wchodzi w swoje pierwsze**



Photo by Jiro on Unsplash

relacje, które mają charakter seksualny. Widzę zatem, że przedstawicielki Lewicy Razem są za tym, żeby seksualizować dzieci i żeby robić to od możliwie najwcześniejszych lat. Domyślam się więc, że jesteście również za wprowadzeniem dżenderyzmu do szkół. Mam rację?

PM: Tak.

MZ: Zdecydowanie.

w szkołach są dzieciaki, które są ciekawskie, rozmawiają ze sobą o wielu sprawach.

Owszem, ale może lepiej zostawić ten temat rodzicom i domowi rodzinnemu. Prawica mówi, że tymi sprawami powinna zajmować się rodzina a nie nauczyciele, a tym bardziej nie jakiś edukatorzy seksualni.

PM: Nie można tych spraw zostawić w domu, bo przecież domy są bardzo różne i rodziny

**Czemu nie mamy uczyć dzieci i młodzieży o homoseksualizmie? Przecież niektórzy mogli o tym nigdy nie usłyszeć od swoich rodziców. Wówczas szkoła powinna im powiedzieć, że jest z nimi wszystko w porządku, że są w społeczeństwie różne mniejszości seksualne i że każdemu należy się szacunek**

**Straszne to, co mówicie. Widmo dżenderyzmu krąży po Polsce...**

MZ: Tak, jesteśmy dokładnie tym potworem LGBT.

PM: Tak, LGBT to my.

**Ale sądzą, że naprawdę jest potrzeba instytucjonalizować obecność tych tematów w szkole?**

MZ: Ale przecież ten temat już tam jest. Przecież

są bardzo różne, dzieci rodzą się i wychowują w różnych środowiskach. Założenie, że w tych sprawach każde dziecko dowie się wszystkiego w domu, jest bardzo optymistyczne. Z doświadczenia wiemy, że nie wszystkiego dowie się w domu. Już z rozmów ze znajomymi możemy się dowiedzieć, że w różnym stopniu wiedzę dotyczącą spraw erotycznych i seksualnych czerpali ze swojego środowiska domowego. Poza tym nie jest powiedziane, że ta wiedza powinna być przekazywana na jakichś zajęciach pod

nazwą edukacja seksualna. To przecież może być tak jak teraz wychowanie do życia w rodzinie, a mogą to być również tematy poruszane na godzinach wychowawczych.

Czemu nie mamy uczyć dzieci i młodzieży o homoseksualizmie? Przecież niektórzy mogli o tym nigdy nie usłyszeć od swoich rodziców. Wówczas szkoła powinna im powiedzieć, że jest z nimi wszystko w porządku, że są w społeczeństwie różne mniejszości seksualne i że każdemu należy się szacunek.

**Mogę sobie od razu wyobrazić, że zaraz pojawią się nauczyciele, którzy pod osłoną klauzuli sumienia nie będą chcieli o takich sprawach mówić.**

MZ: Niech szkoła uczy dzieci przynajmniej szacunku do siebie nawzajem. Przyznam szczerze, że ja kompletnie nie potrafię w tym zakresie zrozumieć prawicy. Na tych lekcjach można by omawiać kwestie społeczne, nie tylko sprawy związane z seksualnością, ale także np. zagadnienia dotyczące niepełnosprawności, wykluczenia społecznego, empatii, ubóstwa, tolerancji itp. Dzieci i młodzież często powtarzają to, co słyszą w domu. Czasami nie mają świadomości, jaką krzywdę wyrządzają innym poprzez swoje słowa, brak im czasem wyobraźni i empatii. I właśnie tego powinna uczyć młodych ludzi szkoła.

**Czyli bardziej macie chyba na myśli coś w rodzaju przystosowania do życia**

**w społeczeństwie, którego częścią była by właśnie edukacja seksualna ściśle rozumiana. Tylko teraz powiedzcie, czy rzeczywiście taki przedmiot powinien być wykładany w szkole i to przez zatrudnionych tam nauczycieli? Czy może poza szkołą albo przynajmniej w wykonaniu jakichś osób z zewnątrz, z organizacji pozarządowych?**

MZ: Myślę, że jak najbardziej robić to dwutorowo, w ramach współpracy szkół z organizacjami i różnymi instytucjami.

**Bo zdajecie sobie sprawę, jakie ryzyko niesie za sobą decyzja o wpuszczaniu do szkół organizacji zewnętrznych? Skoro bowiem wpuścimy do szkoły KPH, to dlaczego mielibyśmy nie wpuścić Ordo Iuris? I odwrotnie.**

PM: Podejrzewam, że z punktu widzenia dużego miasta nie będzie to żadnym problemem, bo takich NGS-ów chcących przeprowadzić takie zajęcia będzie pewnie mnóstwo. Natomiast z perspektywy małych miejscowości może się okazać, że nie ma komu przeprowadzać takich zajęć. Z własnego doświadczenia wiem, że czasami pojawia się problem, żeby w 50-tysięcznym mieście znaleźć organizację, która wykonała by określony projekt, na który miasto ma pieniądze. Natomiast zdecydowanie nie zamykałabym drzwi szkół organizacjom, które mają pomysł i są gotowe do zorganizowania akcji edukacyjnej poruszającej ważne kwestie społeczne. Moim

zdaniem, nie można edukacji seksualnej opierać na samych NGO-ach, ale kwestie te powinny być wkomponowane w działalność szkoły i realizowane w ramach systemu edukacji publicznej.

**Co ciekawe, ministerstwo edukacji narodowej wśród priorytetów polityki edukacyjnej państwa na rok szkolny 2019/2020 wymieniło pomoc osobom wykluczonym, niepełnosprawnym czy też edukację w zakresie niepełnosprawności.**

MZ: Czy to dlatego zakazali nauczania indywidualnego w szkole? Tak ich wspierają, że każą im się zamknąć w domu. Naprawdę mam wrażenie, że politykę wspomagania osób z niepełnosprawnościami PiS realizuje z gracją słonia w składzie porcelany. Ta władza ma wielką zdolność w ubieraniu rozwiązań problemów w ładne słówka, ale kiedy spojrzymy na ich realne działania, to zobaczymy tam prawdziwy PiS. Mówią przykładowo, że państwo ma budować mieszkania, a robią program „Mieszkanie+”, który tak

naprawdę jest promocją dla deweloperów. Do końca tego roku wybudują niecały tysiąc mieszkań z zapowiadanych 100 tysięcy. Do tego uwolnili czynsze w tych mieszkaniach więc nie będą już tańszą alternatywą dla wynajmu z rynku. PiS w ogóle na poziomie diagnozy zdaje się być partią bardzo dobrze wyczuwającą nastroje i problemy społeczne, ale jeśli przychodzi do realizacji ich pomysłów, to one okazują się porażką. Zatem albo mają bardzo złą wolę, albo są po prostu nieudolni, albo chodzą na smyczy wielkiego biznesu. Nie wiem, która odpowiedź jest właściwa, ale sądzę, że może nawet wszystkie trzy razem.

**Wniosek finalny w duchu bardzo lewicowym, więc w tym miejscu dziękuję wam za tę rozmowę i życzę dużo sił w kampanii wyborczej. Może liberałowie i lewica wspólnie będą mogli zrobić coś pożytecznego. ●**



## SŁAWOMIR DRELICH

Politolog i etyk; adiunkt na Wydziale Politologii i Studiów Międzynarodowych UMK w Toruniu (Katedra Europeistyki); nauczyciel wiedzy o społeczeństwie w I Liceum Ogólnokształcącym im. Jana Kasprówicza w Inowrocławiu; publicysta „Liberté!”; specjalizuje się w etyce polityki i etyce mediów oraz myśli politycznej (populizm, liberalizm, libertarianizm), bada polski dyskurs publiczny; autor książek „Populistów ethos zmanipulowany” i „Wojny trybuna ludowego. Przypadek Andrzeja Leppera”.

# MODEL, KTÓRY MUSIMY ZMIENIĆ

Z EWĄ WOYDYŁŁO ROZMAWIA MAGDA MELNYK

**Magda Melnyk: Mam wrażenie, że Virginii Woolf raczej świat przeszkadza, a dom i relacje z ludźmi nie idą w parze z aspiracjami zawodowymi czy karierą. Za to Panią postrzegam zupełnie inaczej – jako osobę, która jest w stanie znaleźć złoty środek pomiędzy karierą i domem.**

Ewa Wozydyłło: Moim zdaniem wartość książki Virginii Woolf *Własny pokój* polega na tym, że po wielu stuleciach – tysiącletniach nawet – kiedy kobiety miały bardzo precyzyjnie określone miejsce w świecie, nagle inna kobieta wezwała je do zatrzymania się, zweryfikowania swoich potrzeb, swoich ambicji. Mnie osobiście to bardzo odpowiada, ponieważ uważam, że nie ma jednego modelu dobrego życia. Można wyliczyć kryteria, według których każdy w swoich warunkach będzie umiał zobaczyć, jak na skali od 1 do 10 mieści się jakość własnego życia obejmująca zarówno pracę, jak i rozrywkę przyjemność i rodzinę. Ale tak czy owak wskaźniki nie będą jednakowe. Między nami może być bardzo duża rozbieżność – ktoś położy większy nacisk na jeden aspekt, a ktoś położy większy nacisk na inny. Wszystkie natomiast, niezależnie od proporcji, powinny uwzględniać całą gamę potrzeb danej osoby. Trzeba się na to otworzyć. Nie można dać sobie wmówić, że nie ma się ambicji zawodowych czy potrzeb rodzinnych. Można je dostosowywać do indywidualnych życiowych warunków, na które też składa się temperament, osobowość, doświadczenie własnej

rodziny i możliwości, ale im jest lepiej uwzględniona cała gama tych potrzeb, tym człowiek pełniej żyje. Kiedy Virginia Woolf zwraca uwagę na to, żeby zatrzymać się i zastanowić nad swoimi potrzebami, to metafora *Własnego pokoju* dokładnie do tego się odnosi. Ona daje swój własny przykład i wzywa do tego, żeby poświęcić uwagę sobie. Bardzo mądrze, chociaż było to w jej czasach rewolucyjne. Co więcej, nawet dzisiaj u nas jest to rewolucyjne. A w niektórych kręgach to nie tylko rewolucyjne, ale wręcz obrazoburcze. Tak jakby dbanie o swoje potrzeby wykluczało spełnianie obowiązków wobec innych. Więc my mamy masę roboty do zrobienia. Każdy powinien kreować swoje życie zgodnie z tym, kim jest. Przecież pytanie, czy lepszym malarzem jest Chagall, Picasso czy może Leonardo Da Vinci, jest bez sensu. Każdy z nich był wielki, a który komu się podoba, to już kwestia indywidualnych preferencji.

**We *Własnym pokoju* Virginia Woolf zabiera nas na spacer po kampusie uniwersyteckim. Przestrzeń, którą nam przedstawia jest zarezerwowana dla mężczyzn, wyklucza kobiety, tym samym tworząc wrażenie jakby to były dwa obozy czy plemiona, żyjące obok siebie w konfrontacji. Natomiast to, co ja widzę w Pani twórczości i wypowiedziach, co ja sobie bardzo cenię, to taki model feminizmu, który wcale nie oznacza walki z mężczyznami, tylko właśnie**

### **budowanie dobrych relacji, dobrej komunikacji.**

Ona napisała manifest. A ja piszę książki, które mają wzbudzić refleksje. Nie ma tutaj sprzeczności. Pamiętam jak kiedyś na promocji mojej książki *Sekrety kobiet* moja rozmówczyni, Kazimiera Szczuka, postawiła mi takie pytanie: „Dlaczego nie wezwiesz kobiet wprost do wyjścia na ulicę, tupnięcia nogą i żądania autonomii, praw i poszanowania?” Nastąpiło poruszenie na sali, bo były tam moje czytelniczki, które należą bar-

i pójdzie walczyć, jest po prostu nierealne. Nie mówiąc o tym, że najpierw ona sama musi się stać inną osobą. Może odgrywa rolę mój wiek? Może gdybym miała 24 lata, patrzyłabym na to idealistycznie, ale mam już 80 lat, nie mogę myśleć naiwnie i nierealistycznie. Takie myślenie jest przywilejem młodości. Może w tym pokoleniu, może w następnym, kobiety nauczą się i zmieniać swoje życie bardziej radykalnie. Ale najpierw muszą do nowych ról lepiej się przygotować psychicznie i społecznie. Muszą stwo-

## **Muszą stworzyć naprawdę silną wspólnotę kobiet. Pojedynczo nie przeprowadzą rewolucji**

dziej do nurtu zachowawczego niż rewolucyjnego. Odpowiedziałam: „Aby wyjść na ulicę, trzeba mieć poczucie bezpieczeństwa. Wydaje się, że człowiek krzywdzony, czy niewolnik, zbuntuje i wyjdzie na ulicę. Nie. Wyjdzie na ulicę ten, kto ma z kim dziecko zostawić”. Ja sama jestem kobietą i znam dużo kobiet, którym nie można zaproponować: „Ty to wszystko rzuć, idź i domagaj się tego, czego pragniesz”.

Pracuję zawodowo w dziedzinie, która jest soczewką skupiającą właściwie większość naszych problemów i znam z bliska model patologicznej rodziny alkoholowej. Oczekiwanie, że kobieta, która jest krzywdzona latami, kiedy przeczyta lub usłyszy „wezwanie”, to wszystko zostawi

ryć naprawdę silną wspólnotę kobiet. Pojedynczo nie przeprowadzą rewolucji. Jeżeli chcemy zmiany, to musi ona mieć charakter systemowy. Oczywiście, najlepiej zacząć, próbując zmienić swojego męża czy partnera. I zobaczyć, jak to wyjdzie. Dopiero wtedy będzie widać, czy to jest tylko kwestia rzucenia hasła, czy może przeobrażenia mentalności.

**Mam takie spostrzeżenie, bo też pani w jednym z wywiadów mówiła o tym, że generalnie wychowuje się kobiety w taki sposób, że inna kobieta jest dla niej zagrożeniem. Sama to słyszałam. Ale z drugiej strony, mam wrażenie, że my od młodości jesteśmy naginane**

## **EWA WOYDYŁŁO-OSIATYŃSKA**

Doktor psychologii, psychoterapeutka, publicystka i autorka książek, m.in. *Sekrety kobiet*, *Podnieś głowę*, *W zgodzie ze sobą*, *Buty szczęścia*, *Bo jesteś człowiekiem: żyć z depresją, ale nie w depresji*. Od 30 lat w Fundacji Batorego kieruje szkoleniem specjalistów w dziedzinie uzależnień w Europie Wschodniej i Azji Centralnej. Aktywnie działa w Kongresie Kobiet.

**do systemu patriarchalnego właśnie przede wszystkim przez inne kobiety, które wcześniej przeszły drogę zniewolenia i wejścia w te struktury patriarchalne. I to oczywiście jest wyraziście zarysowane w krajach islamskich, gdzie widać czarno na białym jak te procesy zachodzą. Ale wystarczy też wyjechać na polską wieś, aby zobaczyć to samo. Tutaj chciałabym pogodzić te dwie rzeczy – z jednej strony mówimy o budowaniu wspólnoty sióstr, z drugiej strony w praktyce mamy kobiety, które są fun-**

**damentem patriarchy. Mam wrażenie, że to one są strażniczkami tradycji, w większym stopniu niż mężczyźni.**

Nie wiem, czy w dużo większym, ale ponieważ mają bardzo intymne relacje ze swoimi córkami czy siostrami, mają z pewnością olbrzymi wpływ, zwłaszcza na młode kobiety. A są postrzegane nie jako wrogowie, tylko jako sojuszniczki. Nawet kobieta, która chce przeciwstawić się tradycji, np. dominacji mężczyzny lub przemocy w patologicznej rodzinie, napotyka na wielki opór ze strony własnej matki. Teściowa może bronić swojego syna, i to statecznie można zrozumieć, ale





własna matka, która odmawia wsparcia — czyż to nie paradoks? Z jednej strony, można to w takim skrótowym podsumowaniu skomentować następująco: „Ja się nacierpiałam, a ty byś chciała nie cierpieć? O nie, moja droga, zobacz jak to w życiu jest. Ja się 40 lat z twoim ojcem męczę, to teraz ty się męcz ze swoim mężem. Jakikolwiek jest, dźwigaj swój krzyż”. Taki światopogląd wynika z tradycji, której nie każdy potrafi się przeciwstawić. Z drugiej strony, kobiety z takim tradycyjnym podejściem do swojej roli w rodzinie czy społeczeństwie często myślą tak: „Ja bardzo nie lubiłam tego swojego życia, próbowałam coś zrobić i z tego powodu obrywałam, więc wiem, że to się nie opłaca. Więc nie chcę, aby moja córka szła w moje ślady. Ja ją ostrzegę, niech ona na-

wet nie próbuje”. I tu ma pani inną postawę — nie „cierp, tak jak ja”, tylko — „ja wiem, że nie dasz rady”. I to jest bezradność wyuczona na poziomie wielopokoleniowym. Był taki brytyjski biolog, Rupert Sheldrake, który sformułował teorię pola morfogenetycznego. Jeżeli dwa mioty myszek jednego genetycznego pionu będziemy uczyć, że po prawej stronie klatki za naciśnięciem łapki będzie wyskakiwać jedzenie, a kiedy przyjdzie trzeci czy czwarty miot tego samego pnia, my przeniesiemy w inne miejsce podajnik do karmy, to myszki, które się dopiero co urodziły, będą szukały jedzenia po prawej stronie klatki. Jak to możliwe? Jest pamięć podtrzymywana w zachowaniach następnych pokoleń. My żyjemy w świecie, który nie my sobie wymyślamy — my

żyjemy w określonym polu morfogenetycznym. Czegoś się poprzednie pokolenia nauczyły i to jest wciąż trudne do zmiany. Nowego sposobu życia trzeba się dopiero uczyć.

Jest jeszcze jeden czynnik — przecież wcale nie jest tak, że wszędzie na świecie będzie pani miała taki sam mechanizm. Gdzieś indziej to pole morfogenetyczne mogło się inaczej rozwijać. Na Islandii ludzie uciekali przed srogim klimatem, musieli się chronić przed kataklizmami, wobec tego wszyscy zależeli od siebie nawzajem. Inny przykład — kiedyś prowadziła w Kirgistanie szkolenie dla terapeutów uzależnień i pewien pacjent, na zorganizowanej po zajęciach

**To jest bardzo ciekawe spostrzeżenie, bo pisałam kiedyś tekst o Marii Magdalenie i wiele źródeł wskazuje, że to ona miała być kontynuatorką dzieła Chrystusa, nie Piotr. Jednak wraz z rozrastaniem się instytucji kościoła i zhierarchizowaniem jego struktur, zaczęto wypierać kobiety ze stanu kapłańskiego i w konsekwencji sprowadzono je wyłącznie do roli służebnej, w której pozostają do dziś. I ciekawe, że mimo to głównymi obrończyniami Kościoła są kobiety.**

Tak. Bo albo nie widzą wyjścia — to jest jeden model, albo drugi model — to jest siła nawyku, przy-

## Polak potrzebuje autorytetu, a właściwie kultu jednostki

potaćcówce zwyczajnie poprosił mnie do tańca. Pani sobie wyobraża, żeby coś takiego zdarzyło się w Polsce? U nas pielęgniarki mówią do lekarzy „panie doktorze”, a oni do pielęgniarek po imieniu... A często za zebraniach personel „wyższy” siedzi na lepszych miejscach, a „niższy” na gorszych.

Nawet nasza „demokracja” jest zhierarchizowana. Wiele krajów się już od tego odeszło. My teoretycznie też wybraliśmy taki model życia w społeczeństwie. Ale jest w Polsce strasznie dużo sił, które się temu modelowi opierają.

zwyczajenia, powtarzania „taką mamy rolę”. Jesteśmy strasznie zamknięci i stawiamy opór — nie uczymy się, nie czytamy, nie zmieniamy się. Są dwa rodzaje uczenia się. Jeden następuje przez wiarę — mówię ci, jak jest i od teraz to wiesz. A drugi przez zwątpienie — ja ci mówię, jak jest, a ty to chcesz sprawdzić i zweryfikować. Albo ci wyjdzie, że mam rację i ziemia jest płaska, albo ci wyjdzie, że ziemia jest okrągła. Po to, żeby mnie sprawdzić, to ty musisz się otworzyć. Żeby się otworzyć, to musisz umieć czytać, pójść do biblioteki, słowem, musisz chcieć się dowiedzieć. Otóż my, Polacy, jesteśmy zdecydowanie kulturą

wiary. Nasza szkoła nie uczy samodzielnego myślenia, tylko powtarzania cudzych poglądów. Jakież to pole do popisu dla manipulacji i wpajania antyhumanitarnych przekonań.

Na pewno nie bez znaczenia jest wiara katolicka, która się umasowiła – nie poszła w głąb, tylko w szerz i wzdłuż. A druga sprawa – Polak potrzebuje autorytetu, a właściwie kultu jednostki. A jest to bardzo ryzykowna rzecz – zwykle jest to kompletnie abstrakcyjny obraz człowieka, który de facto nie istnieje. Oczywiście są piękne postaci, które mogą być wzorami, ale problem z autorytetem jest taki, że się go nie śmie kwestionować tak, jakby ktokolwiek na świecie mógł faktycznie być nieomylny, stuprocentowo moralny i bez skazy. Za Hitlerem było 90%. Niemców. Co to oznacza? Że to jest groźne. Trzeba ludzi uczyć odwrotnie. Dobry model rodziny to jest taki, w którym każdy może zapytać „dlaczego”. A tym bardziej w społeczeństwie, każdy powinien mieć prawo zakwestionować decyzję władzy. Dlatego mimo niedoskonałości wybraliśmy demokrację jako nasz model życia. Dzięki niej możemy weryfikować, uzgadniać, przekonywać – ale niestety w Polsce obecnie jest to niemożliwe.

To, co Virginia Woolf mówi o własnym pokoju, to nie tylko prawo do zadbania o swoje potrzeby, ale świadomość, że te potrzeby będą się zmieniać. Jak miałam małe dzieci, to niewiele pracowałam zawodowo. Teraz pracuję znacznie wię-

cej. Dawniej lubiłam tygodniami być z dziećmi na wakacjach, dzisiaj nie znoszę. Więc także moje potrzeby się zmieniły, ale zawsze to było zgodnie z metaforą „własnego pokoju”. Bywa czas w życiu, kiedy się wychowuje dzieci, ale wtedy też chodzi o twój własny pokój i w tym pokoju jest po prostu bawialnia dla dzieci. Prawdopodobnie feministka, taka klasyczna, by się tam źle czuła. Stąd tylko jest taki wniosek, że klasyczna feminiska również musi mieć swój „własny pokój” tylko inny niż mój czy twój. Gdy dzieci wyfruną z gniazda, wtedy trzeba się zastanowić, co dalej.

**Wydaje mi się, że jest łatwiej, kiedy to jest przemyślany wybór, jesteśmy świadome siebie i świadomie kształtujemy swoje życie i kształt tego pokoju...**

W związku z naszymi problemami, z ideologizacją aborcji i planowania rodziny, przypominam sobie o badaniach przeprowadzonych w latach 80-tych w USA w kilku stanach, gdzie zaobserwowano znaczny spadek przestępczości nieletnich. Socjologowie wypatrzyli, że we wszystkich tych stanach mniej więcej 12-15 lat wcześniej wprowadzono prawo dopuszczające aborcję. I oto kilkanaście lat później okazało, że niemal cała patologia wśród nieletnich zniknęła. Pamiętam wniosek z tych badań: Wszystkie dzieci powinny być chciane.

**Mówi pani, że większość ludzi w Polsce kieruje się wiarą i nie kwestionuje roli**

**w jakiej przyszło im żyć. Czasem kobiety jak owieczki idące bezrefleksyjnie przez to życie, rodzą i nie zastanawiają się, czy tak naprawdę chcą być matką tego pierwszego czy piątego dziecka. Oczywiście, kwestia aborcji jest fundamentalna, bo gwarantuje nam wolność jako kobietom. Jednak chodzi mi o to, że czasami jakoś tak bezrefleksyjnie się „przechodzi” przez życie – nigdy nie myśląc o sobie, czego się pragnie.**

Więc tu możemy się zastanowić razem nad tym, czy przypadkiem jakaś część społeczeństwa ma mniejszą zachłanność na życie. Być może jest dosyć duża grupa ludzi, którzy dobrze się czują w koleinie. Od czego to zależy? Myślę, że od tego, jaki jest – w tej rodzinie, w tym środowisku, w miasteczku czy wsi – *zeitgeist* czy atmosfera. Ostatnio byłam w Bełchatowie przy okazji wykładu. Na przerwie wyszłam do parku i widziałam, jak chłopcy biegają przez fontanny, a dziewczynki siedzą z mamami czy babkami na ławkach. Dochodziły jakieś głosy karcące ze strony dorosłych, a chłopcy nic sobie z nich nie

robili, pozdejmowali buty i na bosaka latali. Sześciu czy siedmiu chłopców, żadnej dziewczynki. A wczoraj na lotnisku we Lwowie obserwowałam pewną mamę z małą dziewczynką. Kiedy trzeba było czekać w kolejce na otwarcie bramek, ta dziewczynka biegała, zagadywała różne osoby. Jej było wolno – skąd ona to wie? Pewnie ma taką mamę, babcię, taki dom, że nikt jej nie karci, nie mówi, że dziewczynce nie wypada, że się przewróci. Tak sobie pomyślałam – ta dziewczynka nie da się wpędzić w jakąkolwiek sztamkę. My mamy środowisko społeczne, w którym taka rola u dziewczynki jest rzadka. U nas jest ociosywanie, głuszenie, karcenie. Dzieci są bardzo plastyczne i ten wpływ domowy jest bardzo ważny. Ważne jest to, żeby nie zatracić poczucia odpowiedzialności, ale konieczne jest dbanie o wolność wyboru i swobodę w myśleniu. Bo inaczej tworzy się model niewolniczy – niczego niekwestionujący, zamknięty, przestarzały. I to musimy zmienić! ●



## MAGDA MELNYK

Publicystka, analityczka i reportażystka. Absolwentka Wydziału Studiów Międzynarodowych i Politologicznych Uniwersytetu Łódzkiego. Specjalizuje się w obszarze państw hispanojęzycznych, transformacji ustrojowych, ruchów społecznych i praw kobiet. Niedawno nakładem wydawnictwa LIBERTÉ! ukazała się jej książka o nacjonalizmach w Hiszpanii pt. "Dlaczego Hiszpania trzeszczy?"



# WOLNOŚĆ ABSOLUTNA LIBERTARIANIZMU

PIOTR BENIUSZYS

Państwo-minimum jest miejscem, gdzie wszystkie branże i usługi zostały sprywatyzowane, gdzie niemożliwe jest nałożenie na jednostkę prawnych zobowiązań na rzecz innych ludzi (podatki) albo zakazanie jej działań skierowanych przeciwko sobie samej.

Libertarianizm zaistniał jako nurt radykalny neo-liberalizmu. Wykształcił się w swojej pełnej formule w latach sześćdziesiątych XX wieku w oparciu o krytykę empirycznej koncepcji ewolucji wolnorynkowego kapitalizmu Friedricha Augusta von Hayeka, pozostając na stanowisku istnienia jego modelu idealnego. Radykalizm libertarian objawia się w postulacie minimalizowania wszelkiego wpływu państwa na życie jednostek aż do zupełnej rezygnacji z tej instytucji, co umożliwiłoby sprywatyzowanie wszystkich przejawów formalnych relacji międzyludzkich, zadań i procesów, oraz oparcie o nienaruszalne mechanizmy wolnego rynku całego życia społecznego. W sferze społeczno-etycznej libertarianizm postuluje całkowity permissywizm moralny. Nieco bardziej umiarkowana wersja libertarianizmu główny nacisk kładzie na problematykę swobód ekonomicznych, właściwą politykę społeczną i fiskalną oraz wycofanie się państwa ze sfery prywatnego życia obywateli (całkowita wolność wyborów moralnych). Granice aktywności administracji państwa określa zakres wolności negatywnej, zaś jednostki mają prawo w jej ramach samodzielnie decydować o zasadach współżycia społecznego, którym chcą podlegać. Libertarianizm jest najbardziej fundamentalną postacią liberalizmu (posiada jednak coraz luźniejsze związki z innymi nurtami liberalizmu, orientując się na wykreowanie swoistej nowej wizji permissywnego konserwatyzmu) i zajmuje pozycje raczej marginalne w ramach jego spektrum, najwięcej zwolenników posiada w Stanach Zjednoczonych.

Gdy liberalizm socjalny zajął miejsce nurtu dominującego w liberalizmie, szczególnie w Stanach Zjednoczonych, gdzie stał się tożsamy z liberalizmem jako takim, współcześni temu zjawisku, radykalni zwolennicy idei państwa-minimum utworzyli w konsekwencji termin libertarianizmu, przez co chcieli jaskrawo odróżnić się od liberalizmu, coraz bardziej w potocznym rozumieniu utożsamianym z ideami redystrybucji i socjalnych funkcji państwa. U podstaw poglądów libertarianiańskich legło proste przekonanie, zgodnie z którym im mniejszą rolę odgrywa państwo w życiu obywateli, tym lepiej dla wszystkich. Jego instytucje powinny ograniczać się do zadań zapewnienia fundamentalnego bezpieczeństwa ludziom wobec prób łamania prawa i ograniczania ich wolności przez innych. Sam obywatel jest natomiast odpowiedzialny za planowanie całego swojego życia oraz zdolny do powściągnięcia swoich zachowań zgodnie z zawartymi w jego własnych wyobrażeniach zasadami odpowiedzialnego współżycia społecznego. Zatem jedynymi prawami człowieka, które muszą mu zostać zagwarantowane, są prawo do życia, wolności od przymusu i agresji oraz własności prywatnej.

Prawa te są jednak rozumiane w sposób negatywny. Nie pociągają żadnych zobowiązań na rzecz ich dysponenta ze strony innych ludzi czy państwa, z wyjątkiem konieczności powstrzymania się od zamachów na ludzkie życie, wolność i własność. Wszystkie inne swobody i uprawnienia mogą być tylko wynikiem jego własnych starań

i pracy. Od ich efektów zależy to, czy dana jednostka te możliwości uzyska w swoim życiu, czy też nie. Nierówności pojawiające się na tym tle są wyrazem fundamentalnej koncepcji sprawiedliwości porządku ekonomicznego, według której prawo własności prywatnej i zasady zawierania umów mają najwyższą rangę praw człowieka. Nie mogą zatem ulegać żadnym modyfikacjom, regulacjom lub ograniczeniom, które wprowadza się za pomocą prawa państwowego w celu do-

ale nawet także od Hayekowskich neoliberalistów, którzy argumentując za wolnym rynkiem podkreślają, iż umożliwia on rywalizację wolną od subiektywnej ludzkiej oceny, ale także współpracę jednostek wyznających zupełnie różne wartości, a więc wskazuje na jego użyteczność społeczną.

Libertarianizm posiada wspólny z pozostałymi nurtami współczesnego liberalizmu cel, jakim jest sformułowanie uniwersalnych zasad sprawiedliwości,

**Granice aktywności administracji państwa  
określa zakres wolności negatywnej, zaś jednostki  
mają prawo w jej ramach samodzielnie decydować  
o zasadach współżycia społecznego,  
którym chcą podlegać**

pasowania stosunków ekonomicznych do określonych, zmieniających się warunków społecznych, oczekiwań i wyobrażeń dobrobytu. Taka działalność państwa, którą w pewnym zakresie postuluje socjalliberalizm, jest niedopuszczalna. Leseferystyczny model wolnego rynku jest ucieleśnieniem moralnych, ponadczasowych zasad sprawiedliwości i nie może być naruszany niezależnie od przejściowych okoliczności. Jego instytucje nie podlegają weryfikacji według kryterium użyteczności z punktu widzenia ludzkich potrzeb, w ogóle nie podlegają dyskusji i weryfikacji. Od różnica to libertarian nie tylko od socjalliberalistów,

dzięki którym możliwe byłoby życie wszystkich ludzi w wolności, mimo tego iż występują pomiędzy nimi głębokie różnice co do elementarnych wartości. W przypadku libertarianizmu chodzi jednak wyłącznie o formalne zagwarantowanie wolności jednostkom. Nurt ten nie podejmuje problemu konfliktu wolności z równością, ponieważ absolutyzuje pierwszą, zaś drugiej nie uznaje nawet za pożądaną. Równość wobec prawa oznacza w tym przypadku jedynie równą wolność od przymusu i agresji. Wykluczony jest zaś równy dostęp do środków, które umożliwiają realne, mądre i efektywne korzystanie ze swobód jednostkowych. Nie

chodzi tu o zrównywanie materialne, ani nawet o równość szans rozumianą jako dostęp do edukacji, kultury, opieki zdrowotnej. Libertarianizm, poza sferą czysto formalną, odrzuca równość wolności, czyli koncepcję identycznego zakresu wolności dla każdego, w zamian zaś oferuje opartą o rynkowe zasady konkurencję pomiędzy jednostkami, nie tylko o środki materialne, ale także o możliwość powiększenia zakresu wolności. Powstające w ten sposób, niczym nieograniczone nierówności społeczne, generują poważne wątpliwości innych nurtów liberalnych co do stabilności tak projektowanego ustroju.

Rynek jest według libertarian jedyną metodą racjonalnej i obiektywnej oceny ludzkich starań. Alternatywne metody ustalane przez państwo lub dogmatykę religijną są odpowiednio przymusem i oszustwem. Sformułowane całkowicie arbitralnie przez człowieka, stanowią próbę zafałszowania rzeczywistości, a przez ludzi irracjonalnych są wykorzystywane celem uzyskania dóbr, na które nie zasłużyli oni według rynkowych kryteriów. Dzieje się to kosztem racjonalnych, przedsiębiorczych jednostek, które żyją i działają według prawideł rynku i dzięki temu są samowystarczalne, ale ulegają przymusowi państwowemu, a niekiedy także iluzjom agresywnej religii.

Odpowiedzią na problem różnych oczekiwań obu tych grup ludzi jest koncepcja pluralizmu utopii autorstwa jednego z najwybitniejszych przedstawicieli libertarianizmu, Roberta Nozicka. Wycofane

państwo minimalne, jak żadne inne, otwiera możliwość swobodnego organizowania się grup ludzi w różnego rodzaju wspólnoty, których członkowie mogliby samodzielnie ustalać zasady współżycia społecznego, obowiązujące jednak nie w całym państwie, a tylko w granicach ich własnej utopii. Zwolennicy opiekuńczych funkcji państwa uzyskują zatem możliwość powołania w ramach państwa minimalnego egalitarnego społeczeństwa, której instytucje będą realizować funkcje socjalne, takie jak w tradycyjnym modelu podejmuje całe państwo, ale finansowane będą tylko przez zainteresowanych takim modelem członków utopii. Przewaga propozycji Nozicka polega na tym, iż nie narzucaliby oni swoich koncepcji tym ludziom, którzy preferują życie na warunkach zasad wolnorynkowych. Oni także mogliby tworzyć swoje utopie, podobnie jak wszystkie inne grupy ludzi, którzy odczuwaliby z jakiegokolwiek powodu swoją odmienną i pragnęli żyć razem z tymi, którzy podzielają ich poglądy, wartości, potrzeby, aspiracje czy też styl życia. Uczestnictwo w utopii jest oczywiście całkowicie dobrowolne (przed przymusem chroni libertariańskie państwo) i każdy w każdej chwili może porzucić swoją utopię i wybrać inną. Atrakcyjniejsze utopie będą się więc rozrastać, inne być może ulegną likwidacji. Pluralizm utopii byłby zaprzeczeniem tych koncepcji utopijnych, które zawsze opierały się na próbie narzucenia wszystkim jednego modelu życia, co więcej w najbardziej radykalny i konsekwentny sposób realizowałby ideę pokojowego współżycia obok siebie ludzi o fundamentalnie różnych



Photo by Matt Cannon on Unsplash

światopoglądach, co za cel stawiał sobie także socjalliberał John Rawls. Trudno jednak utrzymać, iż w przypadku koncepcji Nozicka mamy rzeczywiście do czynienia z ideą pluralistycznego społeczeństwa, a nie raczej z wielością odizolowanych od siebie społeczeństw, które złączone są jedynie formalnymi więzami słabego państwa-minimum.

Konieczność powstania państwa Nozick motywuje tym, że w anarchistycznym stanie natury ludzie

tencjonalnego jakiegokolwiek jednostki, przeto nie jest wymuszonym narzuceniem monopolu przymusu.

Etyczną słuszość prawa do własności prywatnej, nawet wówczas gdy dotyczy ona ograniczonych dóbr (więc własność jednych ludzi wyklucza własność innych w danej kategorii dóbr), Nozick uzasadnia możliwościami rozwoju ekonomicznego, które zwiększają się, gdy własność jest w rękach jednostek efektywnie z niej korzystających i wy-

### **Jedynymi prawami człowieka, które muszą mu zostać zagwarantowane, są prawo do życia, wolności od przymusu i agresji oraz własności prywatnej**

są sędziami we własnych sprawach i rozstrzygają spory na swoją korzyść. Prowokuje to akty gwałtu i przemocy powodowane poczuciem braku sprawiedliwości. Pojawienie się państwa minimalnego, którego zarzewiem jest agencja bezpieczeństwa, pełniąca wobec jednostek-klientów funkcje ochronne, przewyższa trudność arbitralności sądów dzięki powszechnie obowiązującemu, obiektywnemu prawu oraz doprowadza do ukrócenia zamachów na życie, wolność i własność drugiego człowieka. Posiada ono w tych dwóch zakresach monopol na stosowanie środków przymusu i jego funkcje w zasadzie do tego się ograniczają. Proces jego powstawania jest spontaniczny niczym procesy rynkowe, nie jest wynikiem działania in-

specjalizowanych w podejmowaniu ryzyka w danej dziedzinie. Taki podział własności umożliwia pomysłowość gospodarczą, dzięki której pozostałe jednostki uzyskują większe szanse na zdobycie własności innej kategorii, a przyszłe pokolenia lepsze perspektywy. Własność ograniczona jest tylko przez prawo do życia i do wolności, rozumianych negatywnie. W żadnym razie nie może być ograniczona subiektywnymi wyobrażeniami na temat teorii sprawiedliwości, gdyż te niemal zawsze mają charakter dystrybucyjny. Uprawniona jest każda własność, która została nabyta w sposób sprawiedliwy, czy to w wyniku pracy jednostki, nabycia własności od innej jednostki uprawnionej lub uzyskana jako zadośćuczynienie

uprzednim krzywdom. Teoria sprawiedliwości Nozicka jest więc teorią czysto legalistyczną, w której warunki nabycia własności jako jedyne przesądają o jej zasadności, abstrahując od dywagacji natury etycznej.

Państwo-minimum jest zatem miejscem, gdzie wszystkie branże i usługi zostały sprywatyzowane, gdzie niemożliwe jest nałożenie na jednostkę prawnych zobowiązań na rzecz innych ludzi (podatki) albo zakazanie jej działań skierowanych przeciwko sobie samej. Ta ostatnia okoliczność prowadzi zwolenników myśli libertariańskiej w różnych kierunkach. Z jednej strony, istnieje radykalny nurt libertarianizmu, który ze względu na

całkowite absolutyzowanie wolności indywidualnej w każdym wymiarze życia człowieka, jest określany mianem anarchokapitalizmu. Postuluje on, aby każda jednostka posiadała nieograniczone prawo do decydowania o własnym losie, także o swojej autodestrukcji. Oznacza to, że państwo nie powinno interweniować i zwalczać takich zjawisk jak samobójstwa, narkomania, alkoholizm, pornografia, prostytutka, eutanazja, czy aborcja (choć ten ostatni problem jest kontrowersyjny ze względu na pytanie, czy jednostka w tym przypadku decyduje wyłącznie o swoim losie, czy także o losie drugiego człowieka, co już nie byłoby zgodne z założeniami libertariańskiego prawa do życia, wolności i własności).

## „Mgła, emocje, paradoksy” - felietony polityczno-społeczne Marka Migalskiego

„Im bardziej więc partie ze sobą wojują, im bardziej dominują w debacie publicznej, im bardziej zawłaszczają każdy temat, żeby wymienić ciosy, tym większą zyskują popularność i sympatię wyborców. Jeśli uda im się tak ustawić dyskurs polityczny, że każda, nawet najmniejsza kwestia, będzie przedmiotem ich zażartego sporu, w którym obie formacje zajmą skrajne pozycje, tym lepiej dla nich, bowiem dzięki temu będą w stanie obsłużyć emocjonalnie prawie całe spektrum społeczne. (...)”

Stracą zaś te ugrupowania, które będą nawoływać do pokoju społecznego, które będą wskazywać na jałowość tego typu sporów oraz wzywać do zakończenia bezsensownych kłótni i zajęcia się sprawami ważnymi dla elektoratu. Tacy »defetyści« na pewno nie zostaną uznani za wartych obdarzenia głosem wyborczym i będą musieli zadowolić się rolą statystów. Bo w polityce, gdzie dwóch się bije, tam obaj korzystają. I tylko oni”.



BIBLIOTEKA LIBERTÉ!



sklep.liberte.pl

Anarchokapitaliści, inaczej niż Nozick, dostrzegają możliwość zniesienia państwa i uniknięcia powrotu do niebezpiecznego stanu natury. Może się to ziszczyć dzięki całkowitemu urynkowaniu i przejęciu funkcji państwa (policyjnych, sądowniczych, penitencjarnych) przez prywatne, konkurujące ze sobą korporacje.

Z drugiej strony, odebranie legislacji państwowej funkcji moralizatorskiej uruchamia tendencje konserwatywne. Dzieje się tak pomimo tego, że Robert Nozick bardzo silnie podkreśla związek wolności ekonomicznej z negatywnie rozumianą wolnością osobistą, wyrażającą się w możliwości swobodnego wyboru osobistego katalogu wartości i stylu życia przez każdego człowieka. Wielu odbiorców myśli libertariańskiej w pozostawieniu ludziom całkowitej wolności w tym zakresie

dostrzega niebezpieczeństwo rozkładu więzi społecznej, co może doprowadzić do upadku państwa-minimum. W miejsce opuszczone przez państwo winny wejść zatem silne organizacje społeczne, religijne i laickie, które powinny wywierać presję i kontrolować ludzi w zakresie życia zgodnego z wymogami tradycyjnej etyki. Postulowanie ich zaleceń byłoby dobrowolne, jednak miałyby one prawo korzystać ze swojej estymy i napiętnować konkretne osoby, których styl życia nie spełniałby rygorystycznych kryteriów. Tą drogą doszło do zaskakującej syntezy poglądów konserwatywnych i libertariańskich. Wielu konserwatystów przeszło na pozycję tak zmodyfikowanego libertarianizmu, akceptując indywidualizm, ale pozostając przy swoich wyobrażeniach etyczno-obyczajowych. ●



## PIOTR BENIUSZYS

Politolog i socjolog, mieszka w Gdańsku. Członek zespołu redakcyjnego i autor licznych publikacji w Liberté!. Specjalizuje się w tematyce ewolucji myśli liberalnej oraz w historii zachodnioeuropejskich partii liberalnych.

# BOGIEM BIZNESU JEST LICZBA. JA PROPONUJĘ INNĄ RACHUBĘ

Z ARTUREM NOWAK-GOCLAWSKIM ROZMAWIA  
AGNIESZKA ROSNER

**Agnieszka Rosner: „W życia wędrówce, na połowie czasu, / Straciwszy z oczu szlak niemylniej drogi, / W głębi ciemnego znalazłem się lasu”. Tak zaczyna się pieśń pierwsza „Boskiej Komedii” Dantego; bohater spotyka w niej Wergiliusza, który prowadzi go przez piekło. Chciałam zapytać, kiedy Artur Nowak-Goćławski był na połowie czasu i czy znalazł się kiedyś w ciemnym lesie?**

Artur Nowak-Goćławski: Teraz jest taki czas, kiedy wydaje mi się jakbym trafił do mrocznego lasu. Czasem jeżdżę do Puszczy Białowieskiej – znam miejsce w puszczy, tuż przy samej granicy z Białorusią, które sprawia wrażenie jak gdyby człowiek nigdy tam nie stanął. Jest ciemno i duszno – i tak się dziś czuję, kiedy patrzę na to, co dookoła.

## **Dlaczego?**

Mam wrażenie, że jako ludzie z upływem czasu tak naprawdę wcale nie stajemy się lepsi. Kiedyś myślałem, że dorobek cywilizacji polega na tym, że społeczeństwa stają się mądrzejsze, wyciągają wnioski z minionych zdarzeń i do pewnych rzeczy nie są już w stanie wrócić. Ale choćby Bośnia i, niedawno, Ukraina, aktualna nietolerancja, homofobia, zyskujące na sile nacjonalizmy pokazują, że niewiele trzeba, by wyciągnąć z nas mroczne demony. Nie stajemy się lepszymi ludźmi.

Podobnie jest w biznesie – jako przedsiębiorcy z branży finansowej od lat bardzo zależy mi na

tym, żebyśmy w swojej działalności stawali się coraz lepsi. Przy pobieżnym spojrzeniu może wydawać się, że tak faktycznie jest – powstają coraz to nowe przedsięwzięcia CSR, akcje charytatywne, mnóstwo rozmaitych inicjatyw społecznych. Ale jest w tym jakaś nieprawda. Nie chcę generalizować, oczywiście są tacy którzy stają się lepsi lub po prostu są dobrzy. Myślę jednak, że mamy dużą umiejętność budowania iluzji czy imaginacji na temat naszego zewnętrznego obrazu, podczas gdy w środku nie jesteśmy wzorem do naśladowania. To jak z etyką, która teraz tak często pojawia się na sztandarach. Mamy komisje i kodeksy, i nawet sami możemy nabrać przekonania, że jesteśmy cholernie etycznymi przedsiębiorcami. Mnie jednak wydaje się, że etyka i moralność przestały mieć dziś jakiegokolwiek znaczenie. Angażujemy się społecznie, by uspokoić własne sumienie, ale niekoniecznie stajemy się lepsi.

## **Jak w takim razie powinna wyglądać społeczna odpowiedzialność biznesu, by nie była tylko mydleniem oczu? Jak chciałbyś ją kształtować?**

Jeśli mówimy o biznesie w szerokim rozumieniu, chciałbym rzetelnej refleksji nad tym, jaka jest jego prawdziwa rola. Bogiem biznesu jest liczba. Gdzie nie spojrzeć, oceną każdej niemal działalności są wskaźniki liczbowe – wzrost, zysk, większe przychody. W związku z tym zbyt mało zastanawiamy się nad tym czy to, co robimy rzeczywiście służy człowiekowi i światu.

### Co to znaczy służyć?

Służyć w takim znaczeniu, by odpowiadać na prawdziwe, a nie sztucznie wykreowane potrzeby. Konsumpcjonizm w znacznej mierze opiera się na tworzeniu nierzeczywistego świata. Możemy wykreować chorobę trzęsących się brwi i na tę przypadłość już za chwilę pojawi się lek, w efekcie – zarobimy dużo pieniędzy. Podobnych przykładów można wskazać mnóstwo. Szczególnie jest to widoczne w branży finansowej, gdzie dotkliwość naszych działań jest olbrzymia. Zawsze to powtarzam – my wpływamy na ludzkie życia. W takim sensie, że możemy uczynić człowieka szczęśliwym albo (i to bez

robimy jest dobre czy złe.

### Gdybyś miał sformułować kilka prostych zasad – co zrobić żeby działając w biznesie, służyć?

Chyba należałoby zacząć od tego, by sobie uświadomić na czym polega biznes. Jest taki owad, który nazywa się nartnik. Nartnik pływa po wodzie, delikatnie tylko muskając jej powierzchnię. My w biznesie często tak właśnie przemycamy „po powierzchni”, nie chcemy zajrzeć głębiej. Nie chcemy tak naprawdę spojrzeć, czy produkt finansowy, który oferujemy, jest w stanie rzeczywiście spełnić określoną ludzką potrzebę.

## Mamy dużą umiejętność budowania iluzji czy imaginacji na temat naszego zewnętrznego obrazu, podczas gdy w środku nie jesteśmy wzorem do naśladowania. To jak z etyką, która teraz tak często pojawia się na sztandarach

zbędnego patosu) złamać go w pół. W związku z tym żaden z produktów finansowych nie powinien być nadmiarowy. Jeśli wymyślę jakiś produkt inwestycyjny, który spowoduje, że zarobię dużo pieniędzy, ale ty swoje stracisz, to to jedynie iluzja zysku. By do takich sytuacji nie dochodziło w biznesie potrzebna jest refleksja w kategoriach dobra i zła. My używamy kompletnie innych narzędzi – technologii, matematyki czy marketingu. A zbyt mało zastanawiamy się nad tym, czy to co

Wbrew pozorom to nie jest wcale skomplikowane – żeby ocenić czy nasza działalność służy, czy nie. Wystarczy zastanowić się czy nasz produkt spełnia potrzeby zamiast je tworzyć.

**Jeśli zastrzegasz: „nie przyszedłem pani/pana oszukać, a jedynie spełnić pani/pana potrzebę”, czy nie zachodzi tu przypadkiem jakiś rodzaj kapitalizacji zaufania? Czy zaufanie nie staje się**



Photo by Kat Yukawa on Unsplash

**wtedy produktem dodanym do usługi, którą sprzedajesz? Innymi słowy, czy to co proponujesz w swojej działalności jest autentycznym gestem etycznym, czy tylko sposobem na większą skuteczność?**

Myślę, że nie robilibyśmy tego wszystkiego, gdybyśmy byli cyniczni. Cynizm można wykorzystać w znacznie lepszy sposób. W tym przypadku byłoby to akurat niezwykle mało efektywne. Mówiąc wprost, gdybyśmy mieli być cyniczni, to zrobilibyśmy to tak, żeby na tym naprawdę zarabiać. Więc odpowiedź brzmi, że nie jesteśmy cyniczni i nie chcemy skapitalizować etyki czy uczciwości. Działamy w segmencie zaufania publicznego. Zaufanie jest bazą tego, co robimy. Musimy działać tak, żeby tego zaufania nie

zawieść. W momencie, kiedy go nadużyjemy, przestaniemy mieć legitymację do działania, czyli teoretycznie stracimy możliwości funkcjonowania. Zaufanie jest pierwsze. My patrzymy na to w ten sposób: są pewne zajęcia, zawody i relacje, których fundamentem jest zaufanie. Poziom skomplikowania materii niektórych dziedzin jest tak duży, że jeżeli chcemy funkcjonować musimy zaufać kompetencjom i intencjom innych osób. Odwiedzając notariusza nie sposób przecież znać wszystkich przepisów czy niuansów na tyle by być dla niego równym partnerem do dialogu, trzeba mu zaufać. To jest baza. Właśnie po to istnieją obwarowania różnymi regulacjami egzaminami licencjonowaniem, certyfikacją czy ubezpieczeniem, żeby to zaufanie było pewniejsze. I podobnie jest z branżą finansową. Zaufa-



## ARTUR NOWAK-GOCLAWSKI

Prezes ANG Spółdzielni oraz Fundacji „Będę Kim Zechcę”, pomysłodawca projektu Nienieodpowiedzialni.pl. Zaangażowany w wiele projektów społecznych w tym w Koalicję Prezesa-Wolontariusze, Nienieodpowiedzialni, Konferencję Przedsiębiorstw Finansowych, Konfederację Lewiatan oraz ThinkTank, zwolennik ekonomii współpracy oraz strategii biznesowych opartych o idee zrównoważonego rozwoju, zaangażowania społecznego i budowy wartości wspólnej.

nie, etyka jest fundamentem naszego funkcjonowania. Jeżeli je tracimy, nie mamy prawa istnieć. Nie lubię kiedy ktoś mówi, że jeżeli będziesz odpowiedzialny, zaangażowany społecznie, to ci się opłaci. Są pewne wybory, pewne decyzje, które nie powinny być podejmowane nie w kategoriach opłacalności, tylko powinności. Nasze zatroskanie o kondycję świata, klimat, przyrodę, Puszcę Białowieską, drugiego człowieka, nie powinno wynikać z pragmatyzmu. Jedynie z powinności. Z praw nadrzędnych. Oczywiście, chciałbym wierzyć, że kiedyś te przedsięwzięcia, które będą służyć ludziom i światu będą doceniane. Ale nie to powinno być motywacją do podjęcia odpowiedzialności społecznej.

Często obserwuję przedsięwzięcia biznesowe, które świetnie rozwijają się latami, niespecjalnie

dbając o dobro wspólne i w pewnym momencie ich właściciele dochodzą do wniosku, że żeby wskoczyć w inny wymiar interesów, należałoby pokazać się i zaangażować w sprawy wspólne. Ale obok funkcjonuje biznes, który od samego początku się rozwija w sposób zrównoważony, zatroskany o człowieka i świat i nie osiąga takich wyników jak ten pierwszy. Istnieje tu pewna niesprawiedliwość. Na który wzorzec powinien powołać się młody człowiek, który zakłada firmę? Czy na ten, który rozwija się szybko, agresywnie, niespecjalnie zwracając uwagę na otoczenie, czy na ten mniejszy, który od samego początku jest społecznie zaangażowany? Jeszcze bardziej przygnębiająca wydaje się sytuacja kiedy ten agresywny i szkodzący światu biznes w pewnym momencie zmienia tor, staje się odpowiedzialny społecznie, bo wymagają

tego akcjonariusze. Co się wówczas okazuje? Mało kto będzie pamiętał tak naprawdę, jaką kto przebył drogę. Nie pytamy ludzi, którzy wydają na coś pieniądze, jak je zarobili. Nie mamy w kulturze takiej tradycji. Czy to było ze szkodą dla innych, czy z łapówki, czy z ciężkiej pracy? Często to obserwuję tę specyficzną dyskrekcję, tym bardziej, że znam wielu ludzi, którzy dość paskudnie zarobili pieniądze. Wielu z nich cieśzy się powszechnym szacunkiem.

zrobimy, to niebawem rozbijemy się o ścianę. Czasami czytam, że jakiś bardzo zamożny przedsiębiorca, który niekoniecznie elegancko tę zamożność zdobył, wspiera fundację, pomaga dzieciom... Nie o to chodzi. Nie w tym rzecz, co zrobisz z zarobionymi pieniędzmi, tylko jak je zarobisz. Nie jestem w stanie usprawiedliwić sytuacji, w której ktoś zarabia 100 milionów złotych ze szkodą dla ludzi, a potem 10 milionów przeznaczają na cele społeczne. Oczywiście,

**Potrzebny jest bunt – jasne stwierdzenie, że nie chcemy takiej branży finansowej, nie zgadzamy się, w związku z tym porozmawiajmy o tym, przepracujmy ten temat. To trochę jak z nałogami – jeżeli nie przepracujemy, to nie zacznie się zmiana**

**Jest takie powiedzenie „jeśli chcesz wygrać w grze, to musisz w nią grać”. By przedsięwzięcie było opłacalne, przynosiło zyski, po prostu musisz zgodzić się na reguły gry i ewentualnie potem możesz się podzielić tym, co udało ci się wygrać.**

Zupełnie się z tym nie zgadzam. Często spotykam się z takim tokiem myślenia, że biznes jest od zarabiania pieniędzy, nie ponosi odpowiedzialności za kwestie społeczne. To nasza odpowiedzialność, że świat się rozwarstwia, że klimat się jest w katastrofalnym stanie i jeśli nic z tym nie

znam tę argumentację, że wszyscy gramy w tę samą grę więc „dlaczego ja miałbym się buntować?”. Właśnie o to chodzi, żeby się buntować. Zło rozwija się wtedy, kiedy dobrzy ludzie nic nie robią. To przez naszą milczącą zgodę jest jak jest. By zmienić *status quo* musimy zacząć od niezgody.

**Projekt Nienieodpowiedzialni jest Twoją formą niezgody? Nawet ta nazwa z podwójnym „nie” jest jakimś znamieniem zbuntowania.**

Mimo że w naszej profesji jest bardzo dużo przyzwyczajonych firm to generalnie ta branża ma spore

problemy ze służbą człowiekowi. Nie potrafimy sobie z tym poradzić. Potrzebny jest bunt – jasne stwierdzenie, że nie chcemy takiej branży finansowej, nie zgadzamy się, w związku z tym porozmawiamy o tym, przepracujemy ten temat. To trochę jak z nałogami – jeżeli nie przepracujemy, to nie zacznie się zmiana. Mamy taką skłonność, jako ludzie i jako przedsiębiorcy, że racjonalizujemy sobie pewne rzeczy, w efekcie zamiatamy problemy pod dywan i udajemy, że nic się nie stało. To bardzo łatwe. Mamy problemy w biznesie i one są dość określone, fundamentalnym jest *misselling*. To dotyczy nie tylko branży finansowej, ale w ogóle nieodpowiedzialnej sprzedaży, czyli sprzedawania ludziom czegoś, czego nie potrzebują, nie rozumieją albo ich na to nie stać. To jest świat, który traktuje nas, konsumentów, jak worek z pieniędzmi. I przeróżni pomysłowi przedsiębiorcy, którzy często tworzą te wymaginowane potrzeby, przychodzą i zabierają coś z tego twojego woreczka. Na samym końcu zostajesz z pustą sakiewką, a cała rzesza wokół szczęśliwie spędza wakacje w Wenecji za twoje pieniądze. To obłąd konsumpcjonizmu. Oczywiście nie mamy lepszego rozwiązania niż gospodarka kapitalistyczna, ale też nie wolno przyznawać, że ona dobrze działa, bo tak nie jest.

**Tematem pierwszej książki, którą wydała prowadzona przez Ciebie fundacja była odpowiedzialność. Druga opowiada o zachłanności, trzecia będzie o bun-**

**cie, o gniewie. Czy w życiu politycznym, w demokracji, gniew jest równie istotny? Jeśli spojrzeć na to, co się dzieje w Polsce, w Europie, na świecie, wcale nie mamy gwarancji czy demokracja przetrwa. Myślisz, że gniew może pomóc? Czy jakiś rodzaj buntu może ją jeszcze ocalić?**

Wszystko wskazuje na to, że gniew znów spycha Europę na skraj rozpadu. Kiedy słucham nowego premiera Wielkiej Brytanii czy wspominam to co jeszcze niedawno działo się we Francji, widzę tylko destrukcję. Potrzeba nam takiego gniewu, który prowadzi do pewnej niezgody i buntu, ale też wiedzie w stronę poszukiwania rozwiązań. Nie wyobrażam sobie świata bez ujednoczenia, jedności. To oczywiście moje prywatne refleksje, nie jestem politykiem, ale biorąc pod uwagę komplikacje świata, jasne wydaje się, że nikt z nas samodzielnie sobie nie poradzi. Zintegrowana Europa i, w konsekwencji, zintegrowany świat, czy pewien rodzaj wspólnoty światowej to jest chyba jedyny sposób żeby nas uratować przed zagładą. Dlatego chciałbym żeby z tego słusznego gniewu, niezgody i buntu powstawały działania, które będą konstruktywne.

**A czego jeszcze chciałbyś dla siebie, i dla świata?**

Dla siebie chciałbym by udało mi się wyjść z mroku lasu. Ale by nie odbyło się to przez zwykłą racjonalizację, pogodzenie się z tym, że mrok jest jakby częścią naszego życia, tak samo, jak zło.

Chciałbym żeby udało mi się znaleźć tę edelmanską słoneczną stronę drogi i wyjść na słońce, nie racjonalizując pewnych wyborów. Nie wiem, czy odpowiedź tkwi w odnalezieniu poczucia pewnego sensu czy spokoju, to wszystko bardzo skomplikowane zagadnienia. Szukam jednak inspiracji w różnych miejscach, dlatego lubię być w Tatrach. Tam mam takie chwile, że jestem szczęśliwy, spokojny – nigdzie nie znajduję takiej ciszy.

Dla świata? Powiem jak modelka czy model w konkursie – chciałbym pokoju na świecie, bo bardzo tego potrzebujemy. A za chwilę możemy go utracić. Naprawdę boję się, że jeszcze za mojego życia zobaczę w mediach krwawą rewolucję na ulicach Europy. Nie dlatego, że biedni zbuntują się przeciwko bogatym, raczej bunt powstanie wśród średniozamożnych. A jeśli dodać do tego problem migracji? W tej chwili w Polsce jesteśmy o krok, by jak w latach

30' w Niemczech, zacząć znakować miejsca, ludzi, wykluczać słowa – to się już trochę zaczyna. W biznesie chciałbym natomiast rewolucji w myśleniu liderów. Takiej rewolucji, w której czymś powszechnym będzie świadomość tego, że to my jesteśmy odpowiedzialni za kształt świata. Jako biznes mamy wszystko, co jest potrzebne, by na to wpłynąć. Mamy pieniądze, talenty, narzędzia, mamy możliwości działania. Naprawa to nie rząd, nie NGOsy – nie umniejszając ich roli, bo na samym końcu chodzi też przecież o współpracę. To biznes jest bezpośrednim sprawcą wielu problemów świata, zaczynając chociażby od klimatu. My jesteśmy sprawcami, ale też mamy narzędzia, żeby coś zmienić. Zawsze rozdzielam liderstwo od przywództwa – kiedy liderzy zaczynają brać odpowiedzialność za coś, co wykracza poza ich naturalny porządek działania, dopiero wtedy mówimy o przywództwie. Więc ja chciałbym zobaczyć w biznesie przywódców. ●



## AGNIESZKA ROZNER

Filozofka polityki, komentatorka i publicystka. Członkini zespołu politycznego Fundacji Szkoła Liderów. W latach 2014-2017 sekretarz redakcji i redaktor prowadząca magazynu „Res Publica Nowa”. Tworzyła dział Idee „Pisma. Magazynu Opinii”. Od 2018 r. członkini redakcji europejskich sieci czasopism Eurozine z siedzibą w Wiedniu. Specjalizuje się we współczesnych teoriach przywództwa, koncepcjach demokracji i demokratyzacji, przygotowuje doktorat z filozofii polityki o kulturowych uwarunkowaniach demokracji po roku '89. Pracowała dla Grupy ANG, Fundacji Nienieodpowiedzialni, Wydawnictwa Znak, magazynu „Libertel” oraz „Gazety Wyborczej”. Stypendystka Friedrich Naumann Foundation for Freedom.



EWA LIPSKA

## KIEDY STALIŚMY SIĘ FAKTEM

kiedy staliśmy się faktem  
na obraz i podobieństwo  
naszego procesora  
okazało się  
że musimy się jeszcze  
wymyślić

Ewa Lipska (ur. 1945) jest przede wszystkim poetką, ale też felietonistką. Wydała wiele zbiorów wierszy, ostatnio między innymi *Droga pani Schubert...* (2012), *Czytnik linii papilarnych* (2015) i *Pamięć operacyjną* (2017). Laureatka najbardziej prestiżowych nagród literackich, między innymi Nagrody Fundacji im. Kościelskich (1973), Nagrody Miasta Krakowa (1995), Nagrodę Miesięcznika „Odra” (2004), Nagrody Literackiej Gdynia (2011), Nagrody Literackiej im. Juliana Tuwima (2017) i Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius za całokształt twórczości (2019). Jej teksty śpiewali między innymi Skaldowie, Marek Grechuta i Grzegorz Turnau. Należy do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i Polskiej Akademii Umiejętności. Mieszka w Krakowie. Wiersz pochodzi z najnowszego zbioru poetki, *Miłość w trybie awaryjnym* (Wydawnictwo Literackie, Kraków 2019).

*Wiersz wolny* to nowa przestrzeń *Liberté!*, uwzględniająca istotne, najbardziej progresywne i dynamiczne przemiany w polskiej poezji ostatnich lat. Wiersze będą reagować na bieżące wydarzenia, ale i stronić od nich, kiedy czasy wymagają politycznego wyciszenia, a afekty nie są dobrym doradcą w interpretacji rzeczywistości.  
Redaguje Rafał Gawin

## REDAKCJA:

### Redaktor naczelny:

Leszek Jażdżewski

### Z-ca redaktora naczelnego:

Magdalena M. Baran

Numer ukazuje się dzięki wsparciu  
ANG Spółdzielni - ogólnopolskiej  
organizacji pośrednictwa finansowego



# ANG

### Zespół *Liberté!*:

Piotr Augustyniak

Piotr Beniuszys

Marcin Celiński

Sławomir Drelich

Marcin Frenkel

Daria Hejwosz-Gromkowska

Krzysztof Iszkowski

Sławomir Kalinowski

Tomasz Kamiński

Tomasz Kasprowicz

Joanna Łopat

Alicja Myśliwiec

Marcin Wojciechowski

## WYDAWCA:

### Fundacja *Liberté!*

ul. Piotrkowska 102,

II piętro, 90-004 Łódź

[www.liberte.pl](http://www.liberte.pl)

### Prezes Zarządu:

Błażej Lenkowski

ISSN: 2080-4326

### Tłumaczenia

### i współpraca zagraniczna:

Olga Łabendowicz

### Koordinacja [liberte.pl](http://liberte.pl)

Joanna Kwiatkowska

### Promocja i kontakt z czytelnikami:

Magda Melnyk

[redakcja@liberte.pl](mailto:redakcja@liberte.pl)

### Koordinacja 6. dzielnicy

Marcin Malecki

### Skład i opracowanie graficzne:

2x3 Studio Kreatywne

### Korekta

Justyna Szczypuła

### Ilustracje:

zdjęcia na licencji CC0

Zdjęcie na okładce: Attentie Attentie  
([unsplash.com](http://unsplash.com))

### Wiceprezes Zarządu

Leszek Jażdżewski

### Sekretarz Zarządu:

Kamil Janiszewski

### Członkowie Zarządu:

Filip Miłoszewski

Rafał Szkudlarek